tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 24 (1170)
6-12.06.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAKIEJ POLSKI CHCĄ ROBOTNICY – PROF. GARDAWSKI

W SIELCACH SPŁONĄŁ SZTAB KOŚCIUSZKOWCÓW

DEMOGRAFIA NAM SIĘ SYPIE

POLKI NIE CHCĄ RODZIĆ I MAJĄ RACJĘ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
24 >
9 771509 311201

eprasa.pl 108212b8c8

STODOLA

T.LOVE

13 PAŹDZIERNIKA • TORUŃ
CKK JORDANKI

14 PAŹDZIERNIKA • GDAŃSK
KLUB B90

10 LISTOPADA • ŁÓDŹ
KLUB WYTWÓRNIA

11 LISTOPADA • WROCŁAW
CENTRUM KONCERTOWE A2

19 LISTOPADA • WARSZAWA
KLUB STODOŁA

23 LISTOPADA • KRAKÓW
KLUB STUDIO

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

eprasa.pl 108212b8c8

Jerzy Domański

Coś optymistycznego

Zachęcany przez redakcję, by w końcu napisać coś optymistycznego, nie musiałem długo szukać. Choć to wydarzenie ma po trosze wymiar lokalny i środowiskowy, bo najbardziej interesuje kibiców, to jednak powrót drużyny Ruchu Chorzów do I ligi piłkarskiej bardzo mnie ucieszył. Nie tylko zresztą mnie. Tak skromnie licząc, jest to dobra wiadomość dla kilku milionów Polaków.

102 lata tradycji od Ruchu Wielkie Hajduki! I 14 tytułów mistrza Polski, które ma w kolekcji klub z Chorzowa, na trwałe zapisanych w pamięci paru pokoleń Polaków. A jeśli na dodatek ktoś, tak jak ja, urodził się w Chorzowie, i to kilkaset metrów od stadionu przy ulicy Cichej, musi mieć Ruch w sercu i głowie. Jak dodatkowy gen. Z piłką już tak jest, i to na całym świecie, że kto jako dziecko zaczął kibicować jakiemuś klubowi, zostaje z nim na całe życie. A w latach 60. Ruch miał znakomity pomysł na przyciąganie dzieciaków. Kto przeszedł pod poprzeczką zawieszoną przy wejściu na stadion, ten nie płacił za bilet. Dla kilkuletnich bajtli niemających kasy była to wyjątkowa okazja. Za darmówkę odpłacali się żywiołowym dopingiem. I przywiązaniem do niebieskich. Wybitnymi zawodnikami, którzy grali w Ruchu, można by obdarować wiele klubów, a jeszcze sporo by zostało. Od Ernesta Wilimowskiego, Teodora Peterka, Gerarda Cieślika, przez Eugeniusza Fabera, braci Wyrobków, Antoniego Piechniczka, Józefa Wandzika, Zygmunta Maszczyka, po Krzysztofa Warzychę. Mógłbym tę listę potroić, ale może to zrobić każdy kibic w Polsce.

Oby nowy Ruch potrafił nawiązać do tej pięknej tradycji. Są talenty piłkarskie. Są kibice, którzy tłumnie wędrowali po całej II-ligowej Polsce. Potrzeba jednak wsparcia materialnego. Kto może, niech wesprze ten klub.

Bardzo optymistyczna jest też informacja o naszym sukcesie. Czytelnicy tygodnika wiedzą, że jako Fundacja Oratio Recta wydaliśmy trylogię Andrzeja Walickiego „PRL i skok do neoliberalizmu". Trzy tomy najważniejszych pism tego wybitnego intelektualisty zostały wyróżnione przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego w konkursie ACADEMIA 2022. Dzięki pracy prof. Joanny Schiller-Walickiej z Instytutu Historii Nauki PAN i Pawła Dybicza, mojego zastępcy, możecie przeczytać dzieła w Polsce unikatowe. Serdecznie im dziękuję. W wyróżnieniu dla trylogii ważny udział mają także panowie Leszek Kamiński i Michał Kabata oraz Włodzimierz Ulicki, prezes Domu Wydawniczego ELIPSA.

Wszystkim bardzo dziękuję! A Czytelników proszę o kupowanie trylogii. Naprawdę warto, poza tym jest to bezpośrednie wsparcie dla PRZEGLĄDU.

BĄKOWSKI

POMAGAMY

UKRAIŃSKI DOM W WARSZAWIE

Wpłat można dokonywać na konto:
39 1440 1387 0000 0000 1295 6509
Więcej informacji:
ukrainskidom.pl

FUNDACJA Pomagam.pl

Zbiórka „Solidarni z Ukrainą" – wpłacać można tutaj:
https://pomagam.pl/solidarnizukraina

FUNDACJA siepomaga

Pomoc ofiarom wojny na Ukrainie – wpłacać można tutaj:
https://www.siepomaga.pl/ukraina

eprasa.pl 108212b8c8

W NUMERZE

KRAJ
8 **Jakiej Polski chcą robotnicy**
– rozmowa z prof. Juliuszem Gardawskim
12 **Polki nie chcą rodzić. I mają rację**
Demografia się sypie
16 **Niemoc państwa w interesie banków**
Skazani na obecny system bankowy
20 **Wyróżnienie dla trylogii prof. Walickiego**

ZAGRANICA
22 **Europa niech broni się sama**
Amerykańscy populiści a wojna
28 **Czy mnie też ktoś w szkole zastrzeli?**
Korespondencja z USA
32 **Głos na stałe**
Irlandzki oficjalnym językiem UE
34 **Koniec pracy w bólu?**
Urlop menstruacyjny w Hiszpanii
48 **Okno życia to 72 godziny**
– rozmowa z dr. Wojciechem Wilkiem

OPINIE
26 **Anatol Lieven**
Groźne skutki forsowania amerykańskiej „wojny zastępczej"

SYLWETKI
36 **Plurimos annos!**
Prof. Aleksander Krawczuk kończy 100 lat

HISTORIA
38 **Zostały tylko zgliszcza**
Spalony sztab kościuszkowców
40 **Świadectwo więźnia nr 6804**
Ucieczka karnej kompanii z KL Auschwitz

KULTURA
44 **Cała niegodziwość świata**
Przypadki Jerzego Skolimowskiego
47 **Qulturalia**
66 **Patrycja Longawa. Plakaty filmowe**

ZDROWIE
52 **Na spanie i dobry nastrój**
– rozmowa z prof. Adamem Wichniakiem

ZWIERZĘTA
54 **Liczymy ptaki**
Są wskaźnikiem jakości środowiska

PSYCHOLOGIA
58 **Wysokowrażliwość**
– błogosławieństwo czy przekleństwo

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Coś optymistycznego
15 **Jan Widacki**
Odnowa czy od nowa?
19 **Andrzej Romanowski**
O wdzięczności
25 **Roman Kurkiewicz**
Zbierajcie chrust, kupujcie obligacje, boga sobie darujcie
31 **Tomasz Jastrun**
Tak zwana praworządność
43 **Wojciech Kuczok**
Ruch ratunkowy

28
ZAGRANICA

CZY MNIE TEŻ KTOŚ W SZKOLE ZASTRZELI?
Korespondencja z USA

54
ZWIERZĘTA

LICZYMY PTAKI
Są wskaźnikiem jakości środowiska

58
PSYCHOLOGIA

WYSOKOWRAŻLIWOŚĆ
– BŁOGOSŁAWIEŃSTWO CZY PRZEKLEŃSTWO

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

Oś Saska powinna zostać odbudowana

W nawiązaniu do artykułu „Stop dla pałacu Saskiego” sądzę, po pierwsze, że prezydentowi Dudzie w peruce jest bardzo do twarzy, a po drugie – Oś Saska powinna zostać odbudowana. Może rzeczywiście nie teraz, ale powinna. Jeśli zajmie się tym zespół dobrych architektów i urbanistów, nowy pałac Saski nie musi być „architektonicznym koszmarem”, nie musi być też kopią starego. Najważniejsze, aby był i zamknął od zachodu plac Piłsudskiego, który w swoim obecnym (bez)kształcie takim koszmarem jest.

Odwiedziłem chyba z tuzin stolic i w żadnej nie widziałem w centrum takiego nieuporządkowanego terenu: tu krzyż, tu maszt, tu wiadome schodki, a w dali parę gmachów każdy z innej epoki... Na tym tle Grób Nieznanego Żołnierza nie jest „porażającym wymową znakiem miasta wymordowanego”, lecz dowodem, że nie dbamy o estetykę lub po prostu porządek. W odróżnieniu od projektodawców Osi Saskiej – oni dbali.

Jerzy Tulisow

Stanowczo za wcześnie

Zbyszek

Szczere i ogromne podziękowania składam za opublikowanie serdecznych wspomnień o Zbyszku Matuszewskim. Zmarł stanowczo za wcześnie. Znaliśmy się w latach 50. (byliśmy sąsiadami). Byłam prawie dorosłą osobą (dziś mam lat 90), on uczniem podstawówki. Interesowały go tylko sprawy ważne. Już wówczas był człowiekiem bardzo dojrzałym, ciekawym świata, bardzo dużo czytał. Wśród rówieśników, a w zasadzie w większym gronie przyjaciół wyróżniały go szerokie zainteresowania. Sporo można było od niego się dowiedzieć. Wyrzysk (bo tam mieszkaliśmy) opuściliśmy w jednym czasie.

W latach 80. nawiązał ze mną ponowny kontakt, będąc służbowo w Opolu. Owocem tego kontaktu były moje spotkania z jego rodziną w Warszawie, głównie z jego matką. Zbyszek zadzwonił do mnie w lutym br. Rozmowa była jak zwykle bardzo ciekawa i swobodna. Nie mówił nic o swojej chorobie. W rozmowie na temat PRZEGLĄDU stwierdził m.in., że dziennikarze tego pisma dla mnie są tylko autorami, a dla niego przyjaciółmi. Obiecaliśmy sobie jeszcze porozmawiać na wiele tematów. Nie zdążyliśmy. Szkoda. Jest mi niezmiernie smutno. Dlatego jestem bardzo wdzięczna Attaché, autorowi rubryki „Kronika dobrej zmiany”, za wspomnienie o Zbigniewie Matuszewskim. Od najmłodszych lat był człowiekiem spragnionym wiedzy, cechującym się zachowaniem godnym podziwu i dostojeństwem.

Teresa Rzitka

ZDJĘCIE TYGODNIA

GRAND Press PHOTO

Zdjęcie roku Grand Press Photo 2022 autorstwa Wojciecha Grzędzińskiego pracującego dla „The Washington Post”. Irina Maniukina gra w swoim dopiero co zbombardowanym przez Rosjan domu.

eprasa.pl 108212b8c8

13,9% wyniosła inflacja w maju (GUS). Od 25 lat nie było tak szybkiego wzrostu cen.

•

Jacek Pałkiewicz, jeden z najbardziej aktywnych podróżników i eksploratorów naszych czasów, obchodzi jubileusz 80. urodzin. Trener i twórca survivalu w Europie. Odkrywca źródeł Amazonki. Szkolił kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne. Autor ponad 40 książek. Współpracownik mediów na całym świecie, w tym „Przeglądu". Członek rzeczywisty Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Ad multos annos, Drogi Panie Jacku.

•

Kapituła Nagrody im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego prof. Tadeusza Kotarbińskiego ogłosiła, że najlepszą książką humanistyczną w Polsce wydaną w 2020 r. jest „Zbyt głośna historyczność. Użytkowanie przeszłości w Azji Wewnętrznej", zgłoszona przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. **Prof. Zbigniew Szmyt**, laureat, otrzymał 50 tys. zł na dalsze badania naukowe („Res Humana").

•

Ander Izagirre został laureatem Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za najlepszy reportaż literacki. Jury uhonorowało Baska za „Potosí. Góra, która zjada ludzi" opublikowaną przez Wydawnictwo Filtry w przekładzie Jerzego Wołka-Łaniewskiego („Gazeta Wyborcza").

•

Piotr Gadzinowski nie jest już redaktorem naczelnym „Trybuny". Redagował ją przez pięć lat, a przejął po Marku Barańskim, niedocenianym przez lewicę publicyście i komentatorze. „Trybuna" Gadzinowskiego ma swój udział w powrocie lewicy do Sejmu w 2019 r. Była otwarta na różne lewicowe poglądy. Nowym redaktorem naczelnym został Michał Piękoś.

•

Tomasz Sekielski, dziennikarz radiowy i telewizyjny, autor filmów dokumentalnych, m.in. „Tylko nie mów nikomu" i „Zabawa w chowanego", oraz reportaży telewizyjnych, laureat m.in. Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego przyznawanej przez Unię Pracy za niezależność dziennikarską i Nagrody im. Bolesława Prusa Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, od lipca będzie redaktorem naczelnym tygodnika „Newsweek Polska".

•

Robertowi Biedroniowi, współprzewodniczącemu Nowej Lewicy, gratulujemy głowy do inwestowania… w nieruchomości. Najnowszy nabytek to lokal o powierzchni ok. 100 m kw. i wartości ok. 2 mln zł, który Biedroń kupił na spółkę z kimś, kogo „Super Express" nie ujawnił. Wziął na ten cel 690 tys. zł kredytu. Resztę uzbierał. Dla Biedronia, szczerze zatroskanego losem młodych niemających mieszkań, jest to już CZWARTE mieszkanie. Jak to mówił Wałęsa? Zdrowie wasze w gardła nasze („Super Express").

•

Ks. prof. Dariusz Oko, zapewne za radą prawników z Ordo Iuris, dogadał się z niemieckim prokuratorem i zawarli ugodę przed sądem. Ksiądz wpłaci 3 tys. euro na ofiary przestępstw seksualnych, prokuratura nie będzie go ścigać, a sąd odstąpi od wymierzenia kary. Ks. Oko przyznał, że niektóre sformułowania w jego opublikowanym po niemiecku artykule były za ostre („Nie").

PRZEBŁYSKI

Kłopoty Franciszka ze Zdortem

Czarne chmury wiszą nad Watykanem. Spełnia się proroctwo Dominika Zdorta, który w „Do Rzeczy" już parę minut po pierwszej wypowiedzi nowego papieża na placu św. Piotra przestrzegł kolegów w redakcji, że „nadchodzą kłopoty". No i tak się stało. Zdort opisuje papieża Franciszka z katolicką powściągliwością: „Miałem rację – nowy papież okazuje się oderwanym od rzeczywistości kosmitą, naiwniakiem, marzycielem, może wręcz prostakiem?".

Choć z drugiej strony czy postać tak wielkiego formatu jak Zdort nie ma prawa sprowadzić na ziemię jakiegoś Bergoglia?

Amnezja Lewandowskiego

Nie tylko polityków poznaje się po tym, jak kończą. Piłkarzy też. Nawet gdy nagle dotyka ich amnezja. Tak jak Roberta Lewandowskiego. Gdy ogłaszał, że jego historia z Bayernem Monachium dobiegła końca, jakoś wypadło mu z pamięci, że ma z tym klubem podpisaną umowę. Ważną jeszcze przez rok. Chyba nie podpisywał jej pod pistoletem. A jak się brało w Monachium wielką kasę, to coś temu klubowi też się należy. Coś więcej niż użeranie się z agentem Lewandowskiego. Wokół piłki kręci się wiele mętnych postaci, ale Izraelczyk Pini Zahavi i tak je przebija. Oszust, fałszerz dokumentów, osobnik zamieszany w pranie brudnych pieniędzy itp. Współpraca z kimś takim to żenada. I pokaz, jak szybko i łatwo spada się z pomnika.

Bezwstydny Świetlik

Odezwał się Wiktor Świetlik. Nie żeby go nie było. Świetlika jest aż nadto. Dojna zmiana, z bliżej nieznanych powodów, obsadzała go na dyrektorskich posadach w mediach, które kiedyś były publiczne. Świetlik to taki gość, że może zaorać wszystko. Dajcie mu mennicę, to szybko zabraknie banknotów. Po odejściu Tomasza Lisa z „Newsweeka" Świetlik w TVP Info zwierzył się, że zna wielu ludzi z „tamtej" strony, którzy, jak mu mówili, wstydzili się za Lisa. Nie podał oczywiście nazwisk, bo nie chce nikogo zwalniać. Jaki jest Tomasz Lis, taki jest. Ale zawsze to gość z pierwszej ligi. A Świetlik? Ilu ludzi wstydziło się za jego rządów, że pracuje w dogorywającej radiowej Trójce? Świetlik codziennie ją ośmieszał. Inteligencką stację sprowadził do swojego poziomu.

Rodzinka z problemami

Bywa, że rodzina pomaga w karierze. Ale to nie jest ten przypadek. Patryk Jaki, który zarabia na szyneczkę w Brukseli, ma z rodziną całą serię kłopotów. Jego brat, czyli Filu Jaki, raper, znany jest z zamiłowania do narkotyków. I za ich posiadanie został skazany. Przez cztery miesiące będzie pracował społecznie, po 20 godzin w miesiącu.

Z kolei ojciec, czyli Ireneusz Jaki, wywianowany przez dojną zmianę funkcją prezesa spółki Wodociągi i Kanalizacja w Opolu, został zawieszony przez radę nadzorczą. Ma zarzuty o mobbing. Sprawa jest rozwojowa. Jakaś pechowa ta rodzinka Jakich.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 108212b8c8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czym najchętniej chwalą się Polacy?

PROF. MIROSŁAWA MARODY,
socjolożka, UW

Polacy przede wszystkim udają, że się nie chwalą, że są ponad to. Co nie oznacza, że nie podejmują działań, które mają im przynieść uznanie otoczenia – bardzo bowiem chcą, żeby to ich chwalono. I to nie za udaną rodzinę, która jest najczęściej wymienianym sukcesem życiowym, lecz za bardziej osobiste dokonania. A ponieważ nadal jesteśmy na etapie społeczeństwa dorabiającego się, to w grę wchodzą przede wszystkim osiągnięcia materialne. Ukrytemu chwaleniu się służą w związku z tym akcesoria ze sfery konsumpcji: samochód, mieszkanie czy podróże zagraniczne. Oczywiście wszystkie te „gadżety sukcesu" są zróżnicowane społecznie – zależą od zasobności osób, które się chwalą – ale tendencja jest wspólna dla ogółu Polaków.

DR PIOTR STANKIEWICZ,
pisarz i filozof, twórca i nauczyciel reformowanego stoicyzmu

Polacy to paradoksalny naród, bo wolą narzekać na siebie, niż się chwalić. Tak bym powiedział jeszcze pięć czy dziesięć lat temu, w tym też duchu pisałem swoje książki. Ale to się zmienia, razem z sytuacją geopolityczną i historyczną. Na pewno wiosną tego roku uwielbiamy być dumni z naszej pomocy dla Ukrainy. I słusznie. Szkoda, że trochę to się już rozmywa i pojawia się coraz więcej głosów sceptycznych. Z drugiej strony – uwielbiamy też Igę Świątek, nowe ucieleśnienie indywidualnego sukcesu. I jakoś między tymi biegunami – między osiągnięciami całego społeczeństwa i przypadkami hiperindywidualnymi – miota się nasze poczucie własnej wartości. Gdzie jest w tym harmonia i droga środka, tego ciągle chyba nie wiemy.

PRZEMYSŁAW KUCHARSKI,
taksówkarz

Ludzie przestali się chwalić. Nawet jeśli są drogo ubrani czy wracają z luksusowych lokali, stali się bardziej dyskretni i nie opowiadają o tym. Z rzeczy powszechnie uważanych za takie, które mogą budzić zazdrość, moi klienci najczęściej mówią o podróżach. Nie jestem jednak wcale przekonany, czy chcą mi w ten sposób zaimponować, czy po prostu dzielą się tym, co dostarczyło im najwięcej wrażeń.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
PIOTR KRZESZEWSKI

Biedą, trudnościami, kłopotami, tragediami, niedogodnościami, brakiem perspektyw, złośliwością i nieudolnością innych, złym światem, potwornymi sąsiadami, głupim szefem, nudną pracą, opresyjną władzą, własną wszechwiedzą i wizjonerstwem spod znaku „a nie mówiłem?".

BARBARA TALIK-GÓRAL

Znajomościami.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 108212b8c8

Jakiej Polski chcą robotnicy

W głowach ludzi nastąpiła rewolucja

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. JULIUSZ GARDAWSKI

Panie profesorze, pisał pan o klasie robotniczej, że to klasa znikająca. Faktycznie znika?

– To już nie jest ta dawna *manual working class*. Oglądałem linię produkcyjną Opla. Lśni podłoga, żywe kwiaty, sunie model za modelem, młodzi ludzie, po szkole średniej, niekiedy po licencjacie, montują w każdym inny element, bo każdy samochód jest inaczej skonfigurowany. A ja ze wzruszeniem wspominam moje badania w fabrykach, w których panował hałas, czuło się zapach oleju i metalu.

Jako młody dziennikarz jeździłem składać gazetę do drukarni. Pamiętam pracę w Domu Słowa Polskiego, w nocy, w ołowiu, w huku maszyn drukarskich.

– Moje najlepsze lata badań poświęciłem klasie robotniczej, publikacje z nich wyznaczały szczeble mojej drogi naukowej i przechodzę na emeryturę, w czasie kiedy ta klasa schodzi ze sceny. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza! Niedawno zniknęła fabryka dźwigów osobowych na warszawskim Służewcu. Widziałem, jak były burzone jej mury. A ja tam prowadziłem badania świadomości ekonomicznej. Zapisały mi się w pamięci rozmowy z robotnikami puławskich Azotów, Kraśnika, Białegostoku, Żyrardowa, fabryk Górnego Śląska.

Czyja fabryka, tego obyczaje

Lubił pan te badania?

– Bardzo! W pierwszym okresie transformacji stwierdziliśmy, że większość robotników przyzwala na pojawienie się gospodarki rynkowej, ale nie akceptuje niektórych jej kosztów społecznych, i tak było przez całą pierwszą dekadę transformacji, nawet w okresie wysokiego bezrobocia. Ta większość nie odczuwała nostalgii za gospodarką centralnie planowaną, pamiętała o nierytmiczności, marnotrawstwie, chociaż z drugiej strony jedna trzecia robotników dobrze wspominała przeszłość. Już pod koniec pierwszej dekady transformacji świat pracy zaczął się rozpadać na segmenty. Gdy prowadziłem w latach dwutysięcznych rozmowy w korporacjach należących do kapitału zagranicznego, w każdej znajdowałem inną kulturę organizacyjną. Amerykańska firma to stresowanie pracowników informacją o notowaniach giełdowych, niemiecka firma – inna kultura, francuska – także inna. Mógł pan przejechać się przez Górny Śląsk, tam gdzie te fabryki powstają, i spotkać całkowicie odmienne światy pracy. Taki heterogeniczny ustrój nazywamy wraz z Ryszardem Rapackim z SGH patchworkiem.

Jak to wygląda w praktyce?

– Przy słabym państwie, słabym przestrzeganiu przepisów prawa pracy, nowe korporacje o różnych logikach działania mogą doklejać się do systemu jak do patchworkowej tkaniny. To od korporacji zależy, w jakim stopniu stosunki pracy będą cywilizowane i czy będą przyjazne pracownikom. Volkswagen był cywilizowany, ale bez trudu można

Juliusz Gardawski – profesor nauk ekonomicznych, socjolog. Wykłada w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Członek Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN. W latach 2004-2006 członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 108212b8c8

wskazać korporacje niechętne pracownikom. To nie brało się tylko z tego, że VW upodobał sobie pracowników w Polsce, ale dbały o to niemieckie związki DGB. One pilnowały, żeby u nas nie zrobiono poligonu dla podręcznikowego liberalizmu. Pamiętam moją rozmowę sprzed wielu lat z działaczem Solidarności w tych zakładach. Mówił, że podczas rekrutacji do Volkswagena zadawano pytanie o przynależność do związków zawodowych. Okazało się, że nie w celu usuwania związkowców, lecz przeciwnie. Firma ich szukała, bo chciała mieć w zakładzie cywilizowane związki, racjonalnie działające w imię interesu załogi. Zapewne miały na to wpływ naciski DGB.

Nacisk zadecydował? A może przyzwyczajenie niemieckich menedżerów?

– Być może, ale znam korporację skandynawską, która w kraju macierzystym współpracowała ze związkami, za to w Polsce radykalnie ograniczyła wolność związkową.

Dlaczego?

– Jak można sądzić, także dlatego, że skandynawskie związki nie były zainteresowane stosunkami pracy panującymi w ich korporacjach w Polsce. Do tego dorzućmy naszych młodych menedżerów, wykształconych na uczelniach ekonomicznych na starej, dwutomowej edycji „Ekonomii" Samuelsona i Nordhausa. Tam jest rozdział o związkach zawodowych, który dowodzi jednoznacznie, że związki zawodowe obniżają efektywność gospodarowania i ich działalność jest niekorzystna dla samych pracowników. Nowsze podręczniki mikroekonomii dają bardziej wyważony obraz, ale również kładą nacisk w większym stopniu na ryzyko związane z usztywnianiem płac i ograniczaniem racjonalizacji zatrudnienia przez związki niż na dodatnie efekty uzwiązkowienia. Tak dano studentowi do zrozumienia, że związki to instytucja, która jest raczej passé.

Dlaczego nie ma związków?

A pan jak uważa?

– Odpowiem kontekstowo: jestem zwolennikiem modelu gospodarki rynkowej, ale koordynowanej, w której ważna rola ustrojowa przypada związkom zawodowym, istnieje dialog między pracą, kapitałem i administracją rządową. W Europie są to modele kontynentalny i skandynawski. Uważam też, że w modelu liberalnej gospodarki rynkowej, modelu anglosaskim, raczej niechętnym związkom, powinny istnieć związki i dialog. Bez czynnika społecznego, hamującego mechanizmy rynkowe, gwałtownie rosną nierówności społeczne i konflikty społeczne. Nie znaczy to, że wszelkie formy aktywności związków są warte wspierania.

Jaki model dominuje w Polsce?

– Firmy publiczne mają związki, korporacje zagraniczne w większości także, duże i średnie polskie przedsiębiorstwa raczej nie mają, pracownicy małych polskich firm są całkowicie ich pozbawieni (3,5 mln osób!). W roku 1999 robiliśmy badanie pracodawców prywatnych i zadaliśmy im pytanie, czy zaakceptowaliby związki zawodowe. Odpowiadali, że nie, natomiast chętnie zaakceptują niezwiązkową reprezentację pracowników w swoich firmach.

Ale pod warunkiem, że będzie uległa.

– Nie! Nie o to chodziło przedsiębiorcom. Oni z jednej strony potrzebowali regularnego kontaktu z pracownikami, z drugiej obawiali się, że związki działające w ich firmach będą uzależnione od central związkowych poza firmami. Jednak niechęć przedsiębiorców do związków miała historyczne przyczyny.

Jakie?

– Na początku transformacji została zalegalizowana Solidarność i w klimacie dużego poparcia załóg inicjowała w przemyśle wybory samorządu pracowniczego, a następnie wybory dyrektorów. Z różnych powodów, nie tylko politycznych, stanowisko tracili często dotychczasowi dyrektorzy i to oni zaczęli zakładać firmy produkcyjne na własną rękę. Nasze badania z 1999 r. pokazały, że 60% właścicieli firm o zatrudnieniu powyżej 15 pracowników to ci dawni dyrektorzy, a 80% to ludzie pracujący przedtem w firmach państwowych. Prof. Witold Kieżun powoływał się na te dane i mówił krytycznie, że sektor prywatny patologicznie opanowała stara nomenklatura.

A pan z tą opinią się nie zgodził?

– Oczywiście. Bo patologii było niemało, ale były marginesem, przeważało tworzenie od podstaw nowych firm. Ich właściciele wykupywali sprzęt i materiały od firm, które w wyniku reformy uderzającej niemiłosiernie w sektor państwowy chętnie się ich pozbywały. Były dyrektor czy kierownik szedł do swojej dawnej fabryki i kupował albo dzierżawił nieużywane zasoby, zatrudniał kilku dawnych pracowników i uruchamiał produkcję. Ale pozostała mu awersja do związków. Wielka szkoda, że środowiska polskich przedsiębiorców prywatnych i związków zawodowych nie umiały stworzyć modus vivendi znanego z wielu krajów europejskich. Mówiąc o związkach, przypomnę wyniki naszych badań z końca 2021 r. Wprawdzie do związków należało jedynie 14% robotników wykwalifikowanych, jednak aż 60% uważało, że związki powinny mieć większy wpływ na gospodarkę kraju.

Jakiej gospodarki chcą robotnicy?

Klasa robotnicza w Polsce jest coraz mniej liczna. Znika.

„Liberałowie", konsekwentni zwolennicy rynku i przeciwnicy protekcjonizmu, są popierani przez nie więcej niż 5% Polaków.

Przyciągamy zagraniczny kapitał produkcyjny, bo mamy pracowitą i kompetentną klasę robotniczą.

eprasa.pl 108212b8c8

– Ale, po pierwsze, wolniej, niż się wydawało. Policzmy. Robotnicy wykwalifikowani to 12% społeczeństwa. Nadzór, brygadziści, mistrzowie, technicy – 3%. Czyli ten dawny świat fordowski, który u nas został, to 15%. Z kolei robotnicy niewykwalifikowani, poza rolnictwem, to 23%.

Bardzo dużo.

– Z tym że warstwa, która kiedyś dominowała, wielkoprzemysłowi robotnicy, to mniejszość. Na przykład pracowników hipermarketów jest więcej niż górników i hutników łącznie. Kluczowa zmiana dotyczy również warunków zatrudnienia. Z badań młodzieży pracującej z 2016 r. wynikało, że 19% pracowało na własny rachunek, 35% miało stały etat, ale aż 45% było na kontraktach elastycznych, prekaryjnych. Dodam, że prawie nikt z tej ostatniej grupy nie był usatysfakcjonowany taką formą zatrudnienia.

Razem robotników jest 38%. To ponad jedna trzecia społeczeństwa.

– Bardzo liczna grupa, więc niektórzy wskazują, że jesteśmy krajem, który jeszcze z epoki industrialnej się nie wydobył. Weźmy motoryzację. Stara FSO na Jagiellońskiej w Warszawie zatrudniała 20 tys. ludzi. Dzisiejszy zakład tego typu ma 1,5-2 tys. pracowników. Przyciągamy zagraniczny kapitał produkcyjny, bo mamy pracowitą i kompetentną klasę robotniczą – trzeba dłużej zostać, to trzeba…

W Oplu, w Gliwicach…

– Z przykrością zauważyłem, że w tej supernowoczesnej fabryce nie było biura rozwojowego, OBR, myśl techniczna była w całości importowana.

Pracowników hipermarketów jest więcej niż górników i hutników łącznie.

W Polsce Ludowej ośrodki badawczo-rozwojowe były w każdym większym zakładzie. Inżynierowie tam pracowali. Często wychodziły im fantastyczne rzeczy.

– Sytuacja nieco się poprawia, powstają gdzieniegdzie odpowiedniki dawnych biur badawczo-rozwojowych, ale skala jest mała. Działający w Polsce nowoczesny przemysł, należący głównie do zagranicznych korporacji, pracuje na importowanej myśli technicznej, badacze nazywają ten model zależną gospodarką rynkową.

Czy robotnicy odczuwają brak krajowej myśli technicznej?

– Od lat badamy, jak pracownicy wyobrażają sobie gospodarkę dobrze urządzoną. Interesują nas przede wszystkim syndromy zasad, w które te wyobrażenia się układają. Są świetnym wskaźnikiem nastrojów gospodarczych społeczeństwa jako całości i poszczególnych klas. Od dawna pojawiają się trzy główne syndromy. Skrajnie rynkowy, nazywamy go liberalnym, umiarkowanie rynkowy i niechętny rynkowi. W ciągu trzech dekad te syndromy przybierały trochę odmienne postacie i różniły się poziomy ich poparcia. Obecnie najczęściej wybierany jest syndrom „protekcjonistycznej gospodarki rozwojowej". Większość pracowników to zwolennicy rynku, ale oczekują protekcjonizmu, a więc stworzenia polskim przedsiębiorstwom lepszych warunków, niż mają zagraniczne, chcą także technologicznej modernizacji polskiej gospodarki. Na drugim miejscu lokuje się syndrom niechętnej rynkowi „antyliberalnej gospodarki korporacyjnej", którego zwolennicy oczekują bezwarunkowej ochrony interesów pracowniczych i silnych związków zawodowych. Na trzecim miejscu są „liberałowie", konsekwentni zwolennicy rynku i przeciwnicy protekcjonizmu, popierani przez nie więcej niż 5% Polaków.

Syndrom umiarkowanie rynkowy

Ten najczęściej wybierany syndrom to przecież kalka niemiecka! Chcieliby tak jak w Niemczech – jest gospodarka rynkowa, ale państwo chroni przemysł, pomaga mu w rozwoju, wspomaga badania.

– Tu są dwie sprawy. Po pierwsze, porównując badania w długim okresie, widzi się, że w Polsce syndrom umiarkowany jest wprawdzie wciąż dominujący, ale coraz bardziej zwiększa się poparcie syndromu niechętnego rynkowi, antyliberalnego, dystans między nimi zmniejsza się, co, jak można sądzić, ma przełożenie na preferencje polityczne. Po drugie, ma pan rację, polski syndrom umiarkowanie rynkowy upodabnia się do niemieckiego modelu społecznej gospodarki rynkowej,

eprasa.pl 108212b8c8

ale w szczegółowych postawach są istotne różnice. W roku 2016 przeprowadziliśmy wraz z zespołem Adama Mrozowickiego z Uniwersytetu Wrocławskiego reprezentatywne badania, tysiąc młodych pracujących Niemców i tysiąc młodych Polaków. Co głównie różnicuje? Partycypacja w zarządzaniu. Dla Niemców zasada, że „pracownicy powinni mieć wpływ na zarządzanie firmami, w których są zatrudnieni", była na drugim miejscu wśród 15 zasad. Dla Polaków – na dziesiątym. Z kolei zasada protekcjonizmu: „powinno się tworzyć sprzyjające warunki dla rodzimych przedsiębiorstw i banków, lepsze niż dla zagranicznych" wśród Polaków znalazła się na drugim miejscu. A wśród Niemców na dziesiątym. Niemcy nie mają kompleksu niedorozwoju gospodarczego.

A jak oceniali ingerencję państwa w gospodarkę?

– To bardziej złożona sprawa. Niemcy wartościują państwo dodatnio. A Polacy traktują je niejednoznacznie. Z jednej strony, oczekują od niego protekcjonizmu, a z drugiej – nie mają do niego zaufania. W badaniach młodzieży z 2016 r. 55% Polaków uważało, że „należy zlikwidować powszechny, administrowany przez państwo system emerytalny i pozwolić, aby obywatele sami decydowali, czy chcą oszczędzać na emeryturę", gdy wśród Niemców tylko 12%.

Jakie są aspiracje tych, którzy pracują? Kim chcieliby być?

– Z badań młodzieży z dwóch krajów wynikało, że niewielu młodych ludzi akceptuje elastyczne formy zatrudnienia, w obu krajach zaledwie kilka procent. Natomiast co do pozostałych form pojawiły się charakterystyczne różnice. Wśród Niemców stały etat wybierało 61%, wśród Polaków 40%, wśród Niemców własny rachunek wybierało 32%, a wśród Polaków 54%.

Trzon, peryferie, aspiracje

A aspiracje dotyczące dzieci? W czasach PRL marzeniem robotnika było, żeby jego syn przyszedł pracować do jego zakładu, ale już jako inżynier.

– Wyobraźnia rzadko wychodziła poza horyzont własnego zakładu.

Coś się zmieniło?

– Dużo się zmieniło. Świat pracy, który był uporządkowany, teraz pęka, staje się elastyczny. Po pierwsze, inaczej różnicuje wielkość zakładów pracy. Jest znacznie mniej wielkich zakładów, powstała natomiast liczna grupa małych i średnich firm prywatnych. Z naszych badań wynikało, że robotnicy najwyżej wykwalifikowani, inaczej niż w przeszłości, są zatrudnieni raczej w mniejszych zakładach. Bo duże są z reguły zautomatyzowane i wystarczy zatrudniać pracowników o średnich kwalifikacjach.

mniej ambitnych celem było osiągnięcie pozycji ojców, dla bardziej ambitnych zdobycie z czasem pozycji wyższej od ojcowskiej, ale na tej samej ścieżce – już nie technik, lecz inżynier, nie brygadzista, lecz mistrz czy kierownik. To się skończyło. Młody pracownik montowni należącej do zagranicznej korporacji zarabia w pierwszym roku pracy więcej niż jego ojciec, pracujący w tradycyjnym zakładzie przemysłowym. Już mówiłem, że większość polskiej młodzieży chciałaby pracować na własny rachunek. Dodajmy otwartość na świat – swobodny przepływ pracowników w ramach Europy popiera 70%.

Robotnicy wykwalifikowani to 12% społeczeństwa. Nadzór, brygadziści, mistrzowie, technicy – 3%, robotnicy niewykwalifikowani – to 23%.

A w małych i średnich zakładach trzeba fachowca.

– Wśród tych firm jest wcale niemały odsetek nowoczesnych, powstałych na bazie dawnych zakładów badawczo-rozwojowych. O małych i średnich zakładach kiedyś mówiło się, że są peryferiami gospodarki. Dziś wiele z nich lokuje się już w trzonie gospodarki.

Co więc jest obecnie trzonem, a co peryferiami?

– Duże fabryki należące do zagranicznych koncernów, produkujących długie serie na podstawie technologii opracowanych w centralach tych koncernów. Jest to produkcja nowoczesna, lecz nie innowacyjna. Powoli dorabiamy się krajowych nowoczesnych dużych fabryk, jest ich jednak bardzo mało. Natomiast nastąpiły zmiany w klasie robotniczej – nieomal zanikł dawny trzon, czyli pracownicy zatrudnieni w jednym zakładzie pracy, należący do związków zawodowych, jedyni żywiciele rodziny, gwałtownie zaś wzrósł zasięg prekariatu – nowych peryferii.

Czy te procesy wpłynęły na aspiracje młodego pokolenia?

– Zdecydowanie. W przeszłości ojcowie pracujący w trzonowym segmencie gospodarki wytyczali aspiracje pokoleniu dzieci. Dla

Kiedyś z wioski do dużego miasta jechało się pół dnia. Pekaesem, pociągiem… Teraz do Londynu, Frankfurtu, Amsterdamu leci się dwie-trzy godziny.

– Młodzi mogą i chcą wybierać, stawiać warunki. Znam wiele takich historii. Skończył młody człowiek uczelnię w Warszawie, zorientował się, że może być co najwyżej urzędnikiem w swojej gminie, więc wyjechał na Zachód. Teraz wrócił z pieniędzmi, prowadzi firmę. Tak jak kończy się u nas fordowska klasa i fordowski przemysł, tak w głowach ludzi nastąpiła rewolucja. Na każdym poziomie. Także w umysłach ludzi o niskim statusie. Szybko to poszło. Lawina ruszyła.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

POLKI NIE CHCĄ RODZIĆ. I MAJĄ RACJĘ

Kobiety, aby rodzić, muszą czuć się pewne i bezpieczne

Anna Stachowiak

GUS alarmuje, że stoimy nad przepaścią demograficzną, a zdaniem PiS remedium na ten kryzys byłoby 700+ zamiast dotychczasowego 500+. Otóż nie, nie byłoby.

Niskie współczynniki dzietności są w Polsce notowane od końca lat 90. Obecnie ze współczynnikiem 1,41 (dane za 2020 r.) znajdujemy się w grupie krajów Unii Europejskiej o najniższej dzietności. W roku 2020 urodziło się o 20 tys. mniej dzieci niż rok wcześniej, zmarło zaś o 70 tys. więcej osób niż w 2019 r. Ponure żniwo zebrała pandemia koronawirusa, jednak to nie ona, lecz nieudolna polityka społeczna i brak wsparcia dla rodzin, zwłaszcza kobiet, powodują ogromną tendencję zniżkową.

Demografowie i inni badacze podkreślają, że kluczowa jest polityka państwa – i nie chodzi tu o świadczenie 500+, ponieważ, jak pokazują statystyki, comiesięczne świadczenie nie wpłynęło na dzietność.

„W działania wprowadzane w XXI w. w ramach polityk publicznych wpisane są sprzeczne założenia. Z jednej strony – część instrumentów ma ułatwiać rodzicom łączenie pracy zawodowej z rodzicielstwem i przez to wyrównywać sytuację rodziców na rynku pracy (np. Ustawa żłobkowa i programy »Maluch« czy »Przedszkole za złotówkę«). Z drugiej jednak strony, niektóre rozwiązania mają odwrotne konsekwencje, np. wydłużenie urlopu macierzyńskiego oraz wprowadzenie urlopu rodzicielskiego bez określenia tej jego części, która mogłaby być wykorzystana tylko przez ojców (tzw. *father's quota*). Takie rozwiązanie pogłębia nierówności w sytuacji kobiet i mężczyzn na rynku pracy, a także wzmacnia tradycyjny podział obowiązków domowych i opiekuńczych, w którym matki są ekspertkami od dzieci, a ojcowie jedynie pomocnikami matek", pisze dr Małgorzata Sikorska z Instytutu Badań Strukturalnych w opracowaniu „Czy zwiększenie dzietności w Polsce jest możliwe?".

Kobiety się boją

Instytut wskazuje, że przyczynami małej liczby urodzeń są sytuacja demograficzna, nieefektywna i niewykazująca cech ciągłości polityka rodzinna oraz czynniki społeczne. By rodzić, kobiety muszą się czuć pewne i bezpieczne. Te warunki nie są spełnione ani na rynku pracy, ani w sposobie, w jaki kobiety są traktowane w rozmaitych aspektach ich społecznego funkcjonowania.

> Kobiety boją się zachodzić w ciążę, bo obowiązujące prawodawstwo paraliżuje lekarzy.

Obecnie, po wyroku Trybunału Konstytucyjnego mgr Julii Przyłębskiej, który orzekł, jakoby przesłanka embriopatologiczna była niezgodna z konstytucją, tym samym wprowadzając de facto zakaz aborcji w Polsce, kobiety boją się zachodzić w ciążę. Obawiają się o zdrowie i życie, bo obowiązujące prawodawstwo paraliżuje lekarzy. A plany są jeszcze szersze: w zamrażarce sejmowej znajduje się projekt zrównujący aborcję z zabójstwem i nie ulega wątpliwości, że fundamentaliści nazywający się „pro-life" tylko czekają na dogodniejszy (jeszcze) klimat, by projekt tej ustawy wyciągnąć ponownie.

Nie ma stabilności, nie ma dzieci

Z kolei według raportu Hays Poland „Kobiety na rynku pracy 2022" aż 53% respondentek w toku pracy zawodowej napotkało przeszkody wynikające z ich płci. To stała obserwacja w kolejnych badaniach i raportach: kobiety na wysokich, kierowniczych stanowiskach częściej doświadczają w miejscu pracy dyskryminacji, stając się ofiarami uprzedzeń i stereotypów. Aż 48% spotkało się z sytuacją, kiedy z góry zakładano ich mniejszą dyspozycyjność z powodu ról społecznych, które odgrywają, i z faktem, że gros wysiłku reprodukcyjnego spoczywa na ich barkach. A, jak mówiła w rozmowie opublikowanej w „Wysokich Obcasach" socjolożka prof. Elżbieta Korolczuk, bez pracy reprodukcyjnej nie ma pracy produkcyjnej. I to jest klucz.

Potwierdzają to dane. W sondażu Centrum Badania Opinii Społecznej główne powody niskiej dzietności to, jak wynika z przeprowadzonych wywiadów: brak stabilności finansowej i niepewność co do przyszłości (59%), trudna sytuacja mieszkaniowa (44%), obawa kobiety przed utratą pracy (44%). Na dalszych miejscach

eprasa.pl 108212b8c8

znalazły się: chęć robienia kariery zawodowej przez kobiety (27%), trudności w godzeniu obowiązków zawodowych i rodzinnych (26%) oraz poczucie braku wsparcia ze strony państwa (23%).

Ten ostatni czynnik, choć zaledwie jedna czwarta respondentów nazywa go wprost, jest szczególnie istotny, a pokazują to kolejne raporty i opracowania. Te kraje, które od lat prowadzą spójną, stabilną politykę skierowaną do rodzin, przodują w rankingach. Na przykład w opublikowanym przez UNICEF raporcie „Are the world's richest countries family friendly? Policy in the OECD and EU" (Czy najbogatsze kraje świata są przyjazne rodzinom? Polityka w OECD i UE) pierwsze miejsca zajmują Szwecja, Norwegia i Islandia, państwa słynące z rozbudowanego systemu opiekuńczego.

Czujesz się bezpiecznie? Rodzisz. Jeśli chcesz

Kraje skandynawskie zapewniają kobietom stabilność zatrudnienia, odpowiednią opiekę medyczną, urlop macierzyński, dostęp do wielu placówek wczesnej edukacji. To działa. W takich warunkach kobiety chętniej decydują się na macierzyństwo, bo mogą się w nim realizować tak, jak chcą. Polki tego komfortu nie mają.

Polska w tym zestawieniu zajmuje 23. miejsce – znajduje się w połowie. To oznacza, że jest średnio. Ów raport to cenne źródło informacji, bo koncentruje się na dwóch zagadnieniach, które mają zasadnicze znaczenie w godzeniu ról społecznych i zawodowych: długości urlopu macierzyńskiego i ojcowskiego oraz wczesnej edukacji dzieci, czyli po prostu dostępności placówek zapewniających opiekę dzienną nad dziećmi poniżej trzeciego roku życia. I choć urlop macierzyński jest długi, bo wynosi 52 tygodnie, to z opieką nad maluchami zapewnianą przez państwo jest fatalnie. Tylko 8% polskich rodziców, jak wynika z raportu UNICEF, korzysta ze żłobków. Zgodnie zaś z danymi Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej odsetek dzieci w wieku 0-3 lata objętych opieką wynosił w 2012 r. 4,5%, w 2013 – 5,7%, w 2014 – 7,1%, a w 2015 – 8,3%. W 2016 r. odsetek ten wzrósł zgodnie z przewidywaniami do 9,3%. Rok później wyniósł 10,4% i był o 0,2% niższy, niż przewidywano. W 2018 r. wzrósł do 13% i znów był niższy, niż przewidywano – o 0,1%. Zgodnie z założeniami określonymi w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do końca 2030 r. wskaźnik objęcia opieką instytucjonalną dzieci w wieku do trzech lat ma wynieść 33%, choć tzw. cele barcelońskie, wyznaczone przez Radę Europejską, przewidywały, że miało to się stać do 2020 r. Dla porównania, w Szwecji ten odsetek wynosi 51%, w Norwegii – 52%, w Islandii – 62%. W tych krajach, wziąwszy pod uwagę długość urlopu macierzyńskiego i regulacje w zakresie ciągłości zatrudnienia, można mówić o postulowanej od 100 lat przez Międzynarodową Organizację Pracy pełnej ochronie macierzyństwa. To jedyna sytuacja, w której kobiety czują się na tyle pewnie i bezpiecznie, by decydować się na rodzenie dzieci.

– Dziś w Polsce na jedną kobietę przypada 1,4 dziecka, co oznacza, że nie mamy prostej reprodukcji ludności. Mówimy o niej wtedy, gdy jedna kobieta rodzi powyżej dwojga dzieci. W prawicowej retoryce to zjawisko traktowane jest jako zagrażające stabilności narodu, podczas gdy prawdziwym problemem jest to, że taka sytuacja zagraża stabilności społecznej w kontekście emerytur. Choćby z tego powodu ochrona macierzyństwa jest tak istotna – komentowała ten trend prof. Elżbieta Korolczuk.

> Przyczyną małej liczby urodzeń jest nieefektywna i niewykazująca cech ciągłości polityka rodzinna.

Ochrona macierzyństwa to prawo człowieka

„Ochrona macierzyństwa to podstawowe prawo człowieka i jest niezbędnym elementem ogólnych zawodowo-rodzinnych polityk", brzmi fragment opracowania „Maternity and paternity at work: law and practice across the world" (Macierzyństwo i ojcostwo w pracy. Prawo i praktyka na świecie), wydanego przez Międzynarodową Organizację Pracy (ILO). ILO podkreśla, jak ważna jest promocja zdrowia matki i dziecka, a przede wszystkim – zapobieganie sytuacjom, w których kobiety są dyskryminowane w pracy.

Jak wygląda sytuacja w Polsce? Z ustawy o pomocy społecznej z 1990 r. wynika, że kobieta ma prawo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

do macierzyńskiego zasiłku okresowego oraz zasiłku jednorazowego. Z kolei Karta Praw Kobiety Rodzącej stanowi, że „macierzyństwo w Polsce znajduje się pod szczególną ochroną" i z tego powodu „polityka rodzinna państwa musi być skoordynowana z polityką zdrowotną nakierowaną na zapewnienie kompleksowej, czynnej, odpowiedniej do potrzeb, bezpłatnej opieki nad matką i dzieckiem".

Brzmi dobrze, ale deklaracje mocno rozjeżdżają się z praktyką. Zasiłki, becikowe i program 500+ nie dają kobietom wystarczającego poczucia bezpieczeństwa, by rodziły (kolejne) dzieci. Sytuacja matek wychowujących dzieci z niepełnosprawnościami jest niezwykle trudna, choćby dlatego, że pobierając niewielki zasiłek, nie mogą podjąć dodatkowej pracy. Do tego dochodzi wspomniane restrykcyjne prawo aborcyjne, które budzi poczucie zagrożenia. W kolejnych latach, pisze dr Małgorzata Sikorska, wzrasta liczba bezdzietnych kobiet: wśród kobiet urodzonych w latach 1945-1955 ok. 8% nie urodziło dziecka, natomiast wśród urodzonych w 1975 r. – już 20%.

500+ na minusie

Remedium miało być wprowadzone przez PiS świadczenie 500+. Jak się okazało, sztandarowy program PiS, które udaje, że tworzy działające państwo opiekuńcze, na zwiększenie dzietności nie wpłynął. Szacowano, że w 2020 r. urodzi się 380 tys. dzieci, a faktycznie pojawiło się ich 360 tys., w 2019 r. oczekiwano 380 tys., a urodziło się 375 tys.

Rynek pracy też, mimo iluzorycznych gwarancji, odnosi się do kobiet – potencjalnych matek, bo przecież tak traktuje je państwo – podejrzliwie. Przedsiębiorczynie zmagają się z drobiazgowymi kontrolami ZUS. Sprawa ma taką skalę, że powstał ruch społeczny Kobiety Na Działalności Gospodarczej Kontra ZUS. „Zauważyłyśmy, że ZUS przeprowadza od 2018 r. liczne postępowania administracyjne i kontrole mające na celu odzyskanie wypłaconych zasiłków bądź wstrzymanie wypłat obecnych. Z tego też powodu powstała skarga skierowana do Rzecznika Praw Obywatelskich i Rzecznika Praw Małych i Średnich Przedsiębiorców", piszą organizatorki ruchu. Wiele kobiet zatrudnionych jest na podstawie umów cywilnoprawnych, bez gwarancji i praw do świadczeń. Do tego dochodzi strach o to, co będzie się działo, jeśli ciąża okaże się powikłana.

Tymczasem PiS, widocznie szykując się do wyborów, zamierza waloryzować 500+. „Nie zaprzeczam, ale też nie potwierdzam, że przedstawimy propozycje ws. waloryzacji 500+. Dziś wartość tych pieniędzy jest mniejsza niż kilka lat temu. Wydaje się, że 500+ należałoby zrewaloryzować na poziomie 40%", mówił w Polskim Radiu poseł PiS Paweł Lisiecki. 500+ nie było waloryzowane od 2016 r., czyli od początku wprowadzenia programu. Podwyżka dałaby dodatkowe 200 zł na każde dziecko do 18. roku życia. Co to oznacza? Że PiS nie umie czytać danych i wyciągać wniosków.

Sztandarowy pisowski program 500+ nie działa. Statystyki pokazują, że comiesięczne świadczenie nie zwiększyło dzietności.

Ideologia zamiast nauki

Świadczy o tym także sytuacja związana z in vitro. Ustawa o leczeniu niepłodności, w której znajdują się regulacje dotyczące stosowania tej metody, uchwalona za czasów koalicji PO-PSL, w 2015 r., od początku budziła niechęć konserwatywnych posłów, konsultanci rządowi przedstawiają tę metodę w złym świetle. Kiedy władzę objęła Zjednoczona Prawica, przepisy nie zostały znowelizowane, za to przestano refundować procedurę w ramach programu rządowego. Z danych Ministerstwa Zdrowia wynika, że w 2020 r. w procedurze in vitro wykorzystano 32 878 zarodków. Ile powstało ciąż, nie wiadomo. Wiadomo za to, że zaniechany przez PiS program finansowania starań zmagających się z niepłodnością par, które skorzystały z in vitro, odpowiadał za 20-procentowy wzrost urodzeń w 2016 r. Program, który działał w latach 2013-2016, kosztował 240 mln zł, a jego efektem były narodziny 19 617 dzieci.

Ale rząd ma plan i zamiast na naukę stawia na krytycznie oceniane przez lekarzy metody. W „Programie kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce na lata 2016-2020" nacisk kładziono na „naturalne metody", w tym naprotechnologię, czyli zestaw procedur i badań, które mają oceniać zdrowie prokreacyjne par. Wyniki są mierne: w pierwszym roku funkcjonowania programu diagnostykę przeszło 1289 par, a stosowanie naprotechnologii pomogło w zajściu w ciążę zaledwie 70. We wrześniu 2019 r. „Dziennik Gazeta Prawna" pisał, że resort zdrowia przestał informować, ile kobiet zaszło w ciążę w ten sposób. Były wiceminister zdrowia Igor Radziewicz-Winnicki, autor programu in vitro, mówił w rozmowach z mediami, że słaba komunikacja ze strony ministerstwa i brak danych ma ukryć fakt, że program był fiaskiem. Potwierdza to kontrola NIK: z programu in vitro skorzystało 12 tys. par, a z paranaukowych metod promowanych przez rząd – 107. „W zamian (za program refundowania in vitro – przyp. red.) dano naprotechnologię. Jaki jest efekt? Zero. 6 tys. urodzeń kontra zero", komentował Cezary Tomczyk z PO na portalu tvn24.pl.

Prof. Marian Szamatowicz z Kliniki Rozrodczości i Endokrynologii Ginekologicznej w Białymstoku podkreślał w jednym z wywiadów, że „między nauką a ideologią nie było porozumienia i nie będzie". „A w Polsce ideologia chce zastąpić naukę", dodał.

I tak to działa. Kobietom odbiera się prawa, matek nikt nie wspiera i same borykają się z codziennością. Na pociechę – i zachętę – rzuca się im ochłap w postaci 500+. To nie działa i nie zadziała. Tymczasem w Polsce seniorzy stanowią już jedną piątą społeczeństwa.

Anna Stachowiak

eprasa.pl 108212b8c8

Z Galicji

Jan Widacki

Odnowa czy od nowa?

Wojna w Ukrainie, inflacja u nas, plus rozpad małżeństwa Kasi Cichopek i wybór klubu, w którym kolejne miliony zarobi odchodzący z Bayernu Robert Lewandowski, zupełnie pochłaniają umysły większości Polaków. Dla niektórych nawet kolejność dramatów jest inna. Mniej istotne, kto wygra wojnę, ważniejsze, gdzie będzie kopał piłkę Robert Lewandowski i w czyich ramionach wyląduje Kasia Cichopek. To zaprząta umysły większości Polaków. Tak dalece, że trudno im się zainteresować czymś innym. Kogo obchodzi los nauki polskiej i jej przyszłość? Kto w ogóle zauważył, że prezydent Duda złożył w Sejmie projekt ustawy o Akademii Kopernikańskiej, a tym bardziej jaki był tego cel i jakie będą skutki. Nawet polityków opozycji i dziennikarzy niespecjalnie to interesuje.

Władza totalitarna, a choćby tylko autorytarna, nie może ścierpieć środowisk, które starają się być od niej niezależne i, co gorsza, próbują niezależnie myśleć. A do takich zawsze należały środowiska naukowe. Każda władza autorytarna miała z nimi kłopot i każda rozprawiała się po swojemu. Dodajmy od razu, z różnym skutkiem. Sanacja nie mogła zdzierżyć, że środowiska naukowe nie wyrażały entuzjazmu dla procesu brzeskiego, i dlatego pacyfikowała uniwersytety za pomocą tzw. reform jędrzejewiczowskich. Nieprawomyślnych profesorów pozbawiano katedr i wysyłano na emeryturę. Komuniści po wojnie z kolei pacyfikowali konserwatywne, nieprzychylne nowej władzy środowiska akademickie. Najpierw odsunęli od wykładów nieprawomyślnych profesorów, by nie buntowali młodzieży. Uczciwie trzeba przyznać, że większość z nich zatrudniono w Polskiej Akademii Nauk, a po 1956 r. przywrócono im prawo wykładania na uniwersytetach. Zlikwidowano też uznaną za siedlisko konserwatywnej reakcji Polską Akademię Umiejętności, powołując w jej miejsce znacznie mniej autonomiczną i bardziej od władzy zależną Polską Akademię Nauk. Gdy w 1968 r. większość profesorów poparła studentów zrewoltowanych przeciw komunistycznej władzy, uczelnie pozbawiono resztek autonomii (odtąd rektorzy i dziekani pochodzili nie z wyboru, ale z nominacji), na wszystkich wydziałach i kierunkach studiów wprowadzono obowiązkowe nauki polityczne, które miały indoktrynować w „jedynie słusznym kierunku". Postanowiono także uzupełnić „niesłuszną" kadrę naukową docentami bez habilitacji, mianowanymi przez władzę, w uznaniu ich „słusznych" poglądów i zasług dla partii. Ci docenci marcowi mieli te same uprawnienia co prawdziwi docenci (z habilitacją) i profesorowie. W sumie jednak nie mianowano ich zbyt wielu, autorytetu nie zdobyli, starej kadry nie zdominowali. Przeciwnie, stali się przedmiotem kpin i anegdot. „Co trzeba zrobić, aby zostać docentem marcowym?", pytano. „Trzeba wydać skrypt i dwóch kolegów", brzmiała odpowiedź.

PiS nie zdołało przekonać do siebie, poza nielicznymi wyjątkami, środowisk naukowych. Nie jest popularne ani na uniwersytetach, ani w PAN, która po latach, a już szczególnie po transformacji, zdobyła się na niezależność, a dla nauki polskiej ma niepodważalne zasługi. Środowiska naukowe są więc solą w oku pisowskiej władzy. Czy jest coś dziwnego w tym, że ludzie wykształceni i myślący nie popierają PiS? Lecz ta formacja, jak każda władza autorytarna, nie znosi środowisk, które nie tylko jej nie popierają, ale w dodatku nie są jej posłuszne. Trzeba zatem te środowiska spacyfikować. Jak? Aparatczycy PiS obmyślili całą strategię. Najpierw ogłosili, że środowiska akademickie są postkomunistyczne, przeżarte bezpieczniacką agenturą (co z tego, że od ponad 30 lat nie ma już SB), w młodszym pokoleniu lewackie i liberalne. Przy czym jedno i drugie brzmi jak obelga. Aby z tymi środowiskami się rozprawić, sięgnięto po stare doświadczenia, zarówno z czasów sanacji, jak i stalinowskich oraz pomarcowych 1968 r. Taka, chciałoby się powiedzieć, polityka historyczna. Pacyfikowanie środowisk akademickich rozpoczął Gowin, pisowski minister od nauki (dziś obok Giertycha pierwszy krytyk PiS, wielbiony z tej racji przez niezbyt mądrą opozycję). Biurokratyzująca uczelnie do granic absurdu „Konstytucja dla nauki" przeprowadziła kolejną lustrację rektorów, dziekanów i członków uczelnianych ciał kolegialnych. To miało usunąć z kadry profesorskiej wydumanych agentów. Wprowadziła również limit wieku dla rektorów, członków uczelnianych senatów i innych ciał kolegialnych w nauce: 67 lat! To miało osłabić wpływ na środowisko profesorów, którzy wedle Gowinowych podejrzeń przesiąkli za młodu komuną. Zwolnione przez nich miejsca zająć mieli młodsi, którzy mieli być za to PiS wdzięczni. Do zlikwidowania PAN brakowało politycznej siły. Przez te lata PAN, utworzona kiedyś w miejsce PAU, rozrosła się, uniezależniła od władzy, zdobyła autorytet w Polsce i w świecie. Zlikwidowanie jej rozpętałoby awanturę na skalę międzynarodową. Zostawiono więc PAN, ale obok niej ma powstać Akademia Kopernikańska. Wzorem niegdysiejszych docentów marcowych konkurencją członków PAN i PAU będą teraz akademicy kopernikańscy. Pierwszych 100 mianuje prezydent Duda, kolejnych ta setka mędrców z prezydenckiej nominacji sama sobie dokooptuje. Resztę załatwi się budżetem. Zobaczymy, ile pieniędzy dostanie PAN, a ile Akademia Kopernikańska. Nie wiem, czy tę ideę Akademii Kopernikańskiej wymyślił pan prezydent osobiście, czy nakazał mu to Jarosław Kaczyński, czy może doradził pierwszy doradca prof. Zybertowicz. Jeśli to ostatnie podejrzenie jest prawdziwe, na miejscu pana prezydenta bardzo bym uważał. Gdyby prof. Zybertowicz był swego czasu doradcą Wojciecha Jaruzelskiego, idąc za jego radami, generał nie robiłby Okrągłego Stołu, nie legalizował Solidarności, tylko reformował partię. Pomysły prof. Zybertowicza, jak uczy historia, bywają czasem chybione.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Niemoc państwa w interesie banków

Czy jesteśmy skazani na obecny system bankowy?

Marek Czarkowski

– Co to jest, 5,25%? Przypominam sobie okres, nie taki dawny, kiedy stopy procentowe sięgały powyżej 20%. I też nie było nieszczęścia – tak prof. Grażyna Ancyparowicz, była członkini Rady Polityki Pieniężnej, a obecnie doradczyni prezesa NBP, skomentowała na antenie TVP spodziewaną kolejną podwyżkę stóp procentowych.

Kredytobiorców przeszły ciarki. Natychmiast pojawiły się złośliwe komentarze i wyliczenia, z których wynikało, że ten, kto rok czy półtora roku temu wziął kredyt hipoteczny w wysokości 400 tys. zł i płacił miesięcznie 1735 zł, po ostatnich podwyżkach będzie musiał wyłożyć 3299 zł. A gdyby wróciły czasy, o których wspominała pani profesor, to miesięczna rata wyniosłaby do 7356 zł!

Chyba nie o to chodziło dynamicznym i przedsiębiorczym trzydziestoparolatkom, którzy chcieli założyć rodzinę, kupić samochód, wysłać dzieci do dobrej prywatnej szkoły i wyjechać na wakacje za granicę. To pokolenie nie pamięta inflacji końca lat 80. XX w. i skutków ubocznych realizacji planu Balcerowicza, gdy w 1990 r. rolnicy indywidualni, właściciele szklarni – tzw. badylarze, posiadacze kredytów mieszkaniowych itp. jęczeli pod ciężarem rosnących z miesiąca na miesiąc rat. Było to straszliwe doświadczenie, którego starsza część społeczeństwa nigdy nie zapomni.

Od ponad 20 lat inflacja, a wraz z nią wysokość oprocentowania kredytów, systematycznie spadała. W ostatnich latach w odniesieniu do kredytów hipotecznych można było powiedzieć, że jest dobrze. I wielu uwierzyło, że dobrze będzie już zawsze. Dlatego dziś w Polsce wartość wszystkich takich kredytów przekroczyła pół biliona złotych. Jeśli choć część kredytobiorców – z powodu galopującej inflacji, problemów gospodarczych i zbyt wysokich odsetek – nie będzie w stanie spłacać zobowiązań, problem będą mieli nie tylko oni i ich rodziny, ale też banki.

Niestety, jesteśmy na równi pochyłej i szybko zbliżamy się do ściany. Skutki zderzenia z nią będą straszne. Społeczeństwo i politycy zrozumieją, że tak dalej być nie może, i pojawi się szansa na zbudowanie systemu finansowego bardziej przyjaznego Polakom. Wolnego od dzisiejszych niedostatków.

Czy się stoi, czy się leży, pół miliona się należy

Współczesna gospodarka bez sprawnego systemu bankowego nie może istnieć. Im bogatszy i bardziej rozwinięty kraj, tym silniejszy jest jego sektor finansowy. Londyn, stolica Wielkiej Brytanii, jest jednym z centrów finansowych świata. Aktywa tamtejszych banków liczone są w bilionach funtów, a gospodarka brytyjska od niemal 200 lat uchodzi za dobrze funkcjonującą. Nie można tego powiedzieć np. o Mołdawii czy Kosowie.

W Polsce po roku 1989 bank mógł założyć prawie każdy. Nawet za pożyczone pieniądze. Z czasem banki ogłoszono „instytucjami zaufania publicznego", a Sejm wyposażył je w przywileje, z których należy wyróżnić dwa – prawo kreacji pieniądza oraz bankowy tytuł egzekucyjny.

Czasem w debatach politycznych pada zarzut, że „rząd drukuje

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

pieniądze". To bzdura. Przed rokiem 1989 premier mógł zadzwonić do dyrektora Państwowej (obecnie: Polskiej) Wytwórni Papierów Wartościowych i polecić włączenie maszyn drukarskich w celu wyprodukowania dodatkowej partii znaków pieniężnych Narodowego Banku Polskiego. W III RP rząd może pożyczyć pieniądze, emitując odpowiednio oprocentowane obligacje skarbowe, i tak pokryć deficyt budżetowy. Dzwonić do szefa PWPW nie ma sensu.

Za to banki zyskały prawo do kreacji pieniądza. Najprostszy sposób polega na udzielaniu kredytów, które w praktyce traktowane są jak gotówka. Bank może udzielić ich znacznie więcej, niż wynosi suma ulokowanych w nim depozytów. Kreacji pieniądza sprzyja powszechne posługiwanie się kartami kredytowymi, korzystanie z elektronicznych rachunków bankowych itp. Procesu tego nie należy mylić z prawem do emisji pieniądza, co jest przywilejem banku centralnego, w Polsce – NBP.

W praktyce banki komercyjne mogą „wykreować" z każdego zdeponowanego 1 tys. zł dodatkowe 9-10 tys. w formie kredytów. I oczywiście świetnie na tym zarobić. Wynagrodzenia prezesów banków komercyjnych należą do najwyższych w naszym kraju. Są one możliwe m.in. dzięki przywilejom, które zostały zapisane w ustawach. Na przykład w roku 1997 Sejm przyjął w ustawie Prawo bankowe bankowy tytuł egzekucyjny (BTE). Był to pozasądowy tytuł stwierdzający istnienie wymagalnej wierzytelności i potwierdzający prawo do egzekucji zobowiązań klienta.

Gdy ktoś nie spłacał zaciągniętego kredytu, bank wnioskował do sądu o nadanie BTE tytułu wykonalności, sędzia klepał to z automatu, do akcji wkraczał komornik i puszczał dłużnika w skarpetkach. Rocznie banki wystawiały kilkaset tysięcy takich kwitów, co z czasem wywołało protesty i wątpliwości, czy strony – bank i kredytobiorca – są w tym postępowaniu równe.

W kwietniu 2015 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przywilej ten jest niezgodny z konstytucją. Rok później bankowy tytuł egzekucyjny przeszedł do historii.

Od początku lat 90. XX w. rosła pozycja działających w Polsce banków, tak że bez względu na koniunkturę gospodarczą osiągały one zyski. Nie zmieniły tego ani światowy kryzys w 2008 r., wywołany upadkiem banku Lehman Brothers, ani pandemia COVID-19, ani wojna w Ukrainie. W I kwartale br. zysk netto sektora bankowego wyniósł 6,21 mld zł, co oznaczało wzrost o 139% w porównaniu z tym samym okresem roku 2021. Dla zarządów banków zapowiada się dobry rok.

Nie ma problemu braku pieniędzy, jest tylko problem braku zaufania

Banki w Polsce muszą strzec reputacji. Inflacja, a co za tym idzie, wzrost oprocentowania kredytów i wysokości spłacanych rat – to wszystko będzie miało wpływ na ich wizerunek. Jeśli się okaże, że ich klienci zmuszeni są pozbywać się majątku, by spłacić zobowiązania, pojawią się głosy, że „trzeba skończyć z bankową samowolą".

Na początku maja premier ruszył z ofensywą medialną, której celem było jakoby przywołanie banków do porządku. Chodziło m.in. o skandaliczną rozbieżność między oprocentowaniem lokat a oprocentowaniem kredytów i wysokością inflacji. Przy inflacji rzędu 12% banki oferowały lokaty na 1-2%, a oprocentowanie niektórych kredytów sięgało 16%. Na apel premiera odpowiedziały banki kontrolowane przez skarb państwa – PKO BP i Pekao SA – podnosząc oprocentowanie lokat do 6%. Banki prywatne powoli podnoszą oprocentowanie dopiero teraz.

Ogłoszony przez Morawieckiego rządowy program pomocy kredytobiorcom zakłada, że banki nie będą mogły odmówić klientom wakacji kredytowych raz na kwartał, do końca roku 2023. Zwiększenie o 1,4 mld zł budżetu Funduszu Wsparcia Kredytobiorców, który pomagałby osobom mającym kłopoty ze spłatą rat, oraz wprowadzenie nowego wskaźnika oprocentowania kredytów w miejsce dotychczasowego WIBOR to krok w dobrym kierunku, lecz czy wystarczający? Obawiam się, że nie.

Za to podnoszenie stóp procentowych przez Radę Polityki Pieniężnej nie tylko przekłada się na wysokość rat kredytów, ale także obniża ocenę zdolności kredytowej potencjalnych klientów. Ktoś, kto w ubiegłym roku mógł liczyć na 400 tys. zł od banku, dziś powinien się zadowolić kwotą 250 tys. A to najczęściej oznacza rezygnację z kredytu.

Jeśli inflacja będzie nadal rosła – a będzie – spadnie liczba klientów, którym można bezpiecznie pożyczyć pieniądze. Nie oznacza to spadku zysków banków. Ponieważ wzrost oprocentowania wcześniej zaciągniętych kredytów zmusi ludzi, by płacili więcej.

Konsekwencje mogą się okazać przykre. W roku 2009 przez Stany Zjednoczone i inne kraje Zachodu przetoczyły się gwałtowne demonstracje, których uczestnicy wyrażali niezadowolenie z tego, co działo się w bankach. W mediach pojawiły się publikacje demaskujące patologie, powszechne w sektorze bankowym.

Podnoszenie stóp procentowych przez RPP obniża ocenę zdolności kredytowej potencjalnych klientów banków.

W Polsce może być gorzej, bo obok inflacji już biją w nas konsekwencje wprowadzenia sankcji wobec Rosji, a dojdą do tego koszty zakupów nowego uzbrojenia oraz środki wydane na pomoc walczącej Ukrainie. Gdy wszyscy z dnia na dzień będą biednieli, banki będą się chwaliły wysokimi zyskami.

Tylko patrzeć, jak pojawi się polityk, który wzorem premiera Morawieckiego zaapeluje, by „podzieliły się zyskami". I czar pryśnie.

Czy Polak będzie mądry po szkodzie?

Nie jesteśmy krajem wysoko rozwiniętym. Nasza gospodarka nadal jest oparta na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych. Z sąsiadami konkurujemy tanią, zdyscyplinowaną

eprasa.pl 108212b8c8

siłą roboczą i niskimi podatkami. Polska słynie z produkcji mebli, żywności, węgla oraz jako europejski hub produkujący telewizory, pralki, lodówki, zmywarki do naczyń, części samochodowe itp. na zlecenie wielkich światowych koncernów.

Nasze największe firmy to PKN Orlen, Jeronimo Martins (czyli Biedronka), PGE, Eurocash i KGHM Polska Miedź. W pierwszej dziesiątce połowa reprezentuje branże: naftową, gazową i energetyczną. Trzy firmy – sprzedaż detaliczną, jedna – wydobycie i jedna – usługi finansowe. O zaawansowanych technologicznie spółkach, które przynajmniej dają nadzieję na rozwój i wysokie zyski, nic nie słychać. Co gorsza, od 2015 r. sukcesywnie spadała stopa inwestycji w przemyśle. W latach 2019 i 2020 była już o prawie jedną trzecią niższa niż w krajach sąsiednich. Przyczyną był spadek inwestycji prywatnych. Mało też inwestowano w najnowsze technologie, co w przyszłości ograniczy nasz potencjał rozwoju gospodarczego.

Banki chętnie pożyczą pieniądze wielkim spółkom państwowym, bo wiedzą, że na tym nie stracą. Dobrze im się żyje z kredytów hipotecznych, gotówkowych, tych udzielanych samorządom i dużym firmom… Dlatego staną się hamulcem rozwoju. Nie będą ryzykowały kredytowania wchodzących na rynek innowacyjnych spółek. Których i tak w naszym kraju zbyt wiele nie ma.

W ostatnich miesiącach Polska stała się państwem frontowym. Trudniej teraz będzie ściągnąć inwestorów. Wojna ich odstraszy. A to oznacza, że wielu młodych Polaków opuści kraj w poszukiwaniu lepszego życia. Wiele musiałoby się zmienić, by powstały warunki, w których życie i prowadzenie działalności gospodarczej nad Wisłą stałyby się łatwiejsze.

Mało kto wie, że w bogatszych od nas państwach ważną rolę w finansach i gospodarce odgrywają instytucje spółdzielcze, w tym banki. Tak jest np. we Francji, gdzie Groupe Crédit Agricole (w Polsce należy do niej Bank Crédit Agricole), Groupe Crédit Mutuel oraz Groupe BPCE to spółdzielnie, a właściwie związki spółdzielni, o rocznych obrotach rzędu 200 mld dol. W Niemczech związek spółdzielni Cooperative Financial Network – BVR ma roczne obroty ponad 56 mld dol. Inna grupa spółdzielni – założona w roku 1927 niemiecka Grupa REWE o rocznych obrotach rzędu 72 mld dol. – ma ponad 11 tys. sklepów i supermarketów na terenie całej Europy. Do jej najbardziej znanych marek należą Billa, Penny i REWE. Podobne związki spółdzielni działają w Japonii, Indiach, USA i świetnie sobie radzą, m.in. dlatego, że nie są nastawione na zysk i cieszą się wsparciem rządów.

Jeśli inflacja będzie rosła, spadnie liczba klientów banków. Nie oznacza to spadku ich zysków.

Polacy po roku 1989 uznali, że spółdzielnie to wymysł komunistów, element starego reżimu i trzeba się ich pozbyć. Tak też się stało. Założona w 1868 r. Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem", która miała wszelkie dane, by po 1989 r. stać się właścicielem sieci hurtowni i supermarketów, jest dziś wspomnieniem dawnej wielkości. W Polsce liczą się obecnie spółdzielnie mleczarskie, w tym największa grupa mleczarska w Europie Środkowo-Wschodniej, Grupa Mlekovita, oraz Mlekpol i OSM Piątnica. Mamy również ponad 500 banków spółdzielczych, lecz nie poszły one w ślady Crédit Agricole i nie mogą się równać z bankami komercyjnymi. Są i spółdzielnie mieszkaniowe, które w przeszłości odgrywały kluczową rolę w zapewnianiu Polakom mieszkań, a dziś przegrywają konkurencję z deweloperami.

Mamy cztery banki hipoteczne – PKO Bank Hipoteczny, Pekao Bank Hipoteczny, mBank Hipoteczny oraz ING Bank Hipoteczny, którego celem, jak się wydaje, jest nie udzielanie kredytów, ale „emisja długoterminowych listów zastawnych, których podstawę stanowić będą wierzytelności z tytułu kredytów zabezpieczonych hipoteką nabywane od ING Banku Śląskiego SA lub innych banków". Oferta tych banków hipotecznych nie różni się od oferty innych. Działają one na takich samych podstawach prawnych, podlegają tym samym regulacjom unijnym oraz rekomendacjom Bazylejskiego Komitetu Nadzoru Bankowego. Nadzór nad polskimi bankami sprawuje Komisja Nadzoru Finansowego, więc pole manewru nie jest duże. Niemalże każdy rząd po 1989 r. zabierał się do budownictwa mieszkaniowego, tworzył programy, obiecywał wsparcie i niewiele z tego wynikało.

Wartość udzielonych przez banki komercyjne kredytów hipotecznych to dziś ponad 500 mld zł. Gdyby istniał należący do państwa bank hipoteczny, który nie byłby nastawiony na zysk i z założenia udzielał bardzo nisko oprocentowanych kredytów, z pewnością odgrywałby ważną rolę nie tylko w gospodarce. Ale to oznaczałoby katastrofę dla banków komercyjnych, które otrzymałyby niewiele ze wspomnianych 500 mld zł. Dlatego taki bank nad Wisłą nigdy nie powstanie. A ci, którzy wzięli kredyt na zakup domu lub mieszkania, będą płakać i płacić.

Nie powstaną też spółdzielnie gromadzące rolników, tak jak w Danii, Holandii czy Japonii. Mają one własne zakłady przetwórcze, magazyny i sklepy, organizują zakup i dostawę nawozów sztucznych, a nawet prowadzą instytuty naukowo-badawcze i produkują maszyny rolnicze. Wszystko, by zapewnić rolnikom godziwy zysk i skutecznie bronić ich interesów. Nasza tradycja jest inna. Jesteśmy indywidualistami gotowymi do bohaterskich zrywów. Systematyczny, uporczywy, mało efektowny wspólny wysiłek nas nie interesuje. Dlatego mieszkania są drogie, a decyzja o wzięciu kredytu hipotecznego jest równoznaczna z popadnięciem w niewolę. Jedyne, czego oczekujemy od rządzących, to „finansowe wsparcie", gdy wpadniemy w kłopoty. Nie zmienimy systemu, nawet jeśli wiemy, że nie można go naprawić. Bo Polak i przed szkodą, i po szkodzie głupi.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

O wdzięczności

Po dwuletniej, pandemicznej przerwie przeszła niedawno w Krakowie, z Wawelu na Skałkę, tradycyjna procesja ku czci św. Stanisława. W dzieciństwie i wczesnej młodości chodziłem na te majowe uroczystości i raz nawet zdarzyło mi się stanąć obok kroczącego dostojnie prymasa, Stefana Wyszyńskiego. Ale z biegiem lat mój świąteczny nastrój malał. Zrozumiałem, że uczestniczę w celebracji mitu.

Mit św. Stanisława BM (Biskupa Męczennika) pełnił w dziejach Polski rolę doniosłą. W dobie rozbicia dzielnicowego traktowano „cudowne zrośnięcie" rozsiekanych członków świętego jako zapowiedź przyszłego zjednoczenia kraju. Potem, w kolejnych stuleciach, ów patron Polski stał się przede wszystkim patronem tradycji wolnościowych, symbolem oporu wobec niesprawiedliwych poczynań władzy. Także władzy zaborczej, choć jej przecież św. Stanisław nie zaznał.

Jeszcze przed niewielu laty, na dziedzińcu kościoła na Skałce, czytałem, jak to król zbrodniarz zabił świętego biskupa odprawiającego mszę. Nie wiem, czy Skałka informuje w ten sposób w dalszym ciągu, nie bywam tam od czasu, gdy obok kościoła ujrzałem Ołtarz Trzech Tysiącleci, niszczący barokową przestrzeń tego miejsca. XX-wieczny Kościół unicestwił XVII-wieczną Skałkę, nie sądzę jednak, by zniszczył tamten propagandowy przekaz.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że król Bolesław Szczodry (Śmiały) nie zabił sam bp. Stanisława, lecz zwołał w tym celu sąd, a na jego czele postawił arcybiskupa gnieźnieńskiego, Bogumiła. „Czyż twój poprzednik bez wiedzy Stolicy Apostolskiej nie skazał biskupa?", pytał z początkiem XII w. papież Paschalis II i choć nie ma pewności, czy słowa te odnoszą się do arcypasterza Gniezna, to większość historyków przychyla się do tej tezy. I może być ona logiczna. W czasach Bolesława Szczodrego musiał istnieć między Krakowem a Gnieznem głęboki spór o charakterze prestiżowym. Kraków był stolicą od niedawna, od czasu Kazimierza Odnowiciela, jednak dysponował tradycjami biskupimi sięgającymi zapewne czasów jeszcze przedpiastowskich. Gniezno miało biskupstwo zaledwie 70-letnie, lecz z rangą metropolii, a stolicą było w najświetniejszych czasach Bolesława Chrobrego. Rywalizacja Krakowa i Gniezna była więc nieuchronna, a skoro król Szczodry koronował się w Gnieźnie, to i opowiedział się za prymatem Gniezna, czemu z kolei Stanisław ze Szczepanowa mógł się przeciwstawiać. Odpowiedzialność za zabójstwo biskupa krakowskiego mogła zatem spoczywać tyleż na królu, co na arcybiskupie gnieźnieńskim, tyleż na władzy świeckiej, co duchownej. Jednak Kościołowi było wygodnie zrzucić całą winę na króla.

Ale chodzi nie tylko o prawdę dziejową – chodzi o wdzięczność. W pasjonującym zbiorze wywiadów Mirosława Maciorowskiego i Beaty Maciejewskiej „Władcy Polski" nieżyjący już prof. Jerzy Wyrozumski opowiada o czynach Bolesława Szczodrego. Król ten „gorliwie odbudowywał w Polsce potęgę Kościoła", „podniósł z gruzów katedrę w Gnieźnie, które znów zaczęło pełnić funkcję metropolii, doprowadził także do ustanowienia biskupstwa w Płocku, miał na koncie wielkie fundacje – osadził benedyktynów w Lubiniu, Mogilnie czy Tyńcu". „Szczodry to jeden z ludzi najbardziej zasłużonych dla Kościoła", puentuje Wyrozumski.

I oto ten właśnie monarcha stał się w przekazach kościelnych czarnym charakterem! Jego zasługi zostały unieważnione i wszystkie źródła średniowieczne, zwłaszcza z XIII w., z okresu kanonizacji biskupa, obrzucały króla inwektywami typu *carnifex* – rzeźnik. A i później kościelna wykładnia tej historii była na ogół taka jak dziś na Skałce. Tymczasem również w XI w. sprawa nie była prosta i nawet wygnanie Bolesława nie było raczej spowodowane śmiercią Stanisława. Pierwsze oznaki kultu świętego można wyśledzić najwcześniej w połowie XII w. W drugiej dekadzie tego stulecia Gall Anonim pisał jeszcze o nim *traditor* – zdrajca. Dopiero głośne w Europie, dokonane w roku 1170, zabójstwo arcybiskupa Canterbury, Tomasza Becketa, przypomniało, że i u nas zdarzyła się kiedyś podobna historia. I tak zaczął się mit.

Z pamięcią o św. Stanisławie obszedł się polski Kościół kłamliwie, ale z pamięcią o królu Bolesławie obszedł się niegodnie. W XIII w. miał przynajmniej cel zbożny – posiadanie własnego, polskiego świętego – ale dziś? Naprawdę nie czuł potrzeby zweryfikowania tendencji? Odrzucenia kłamstwa? Przypomnienia zapomnianego? Wyrażenia wdzięczności? Nie wydaje się, by polski Kościół był kiedykolwiek zdolny do uczucia wdzięczności.

Wszystko wskazuje na to, że król Bolesław Szczodry nie zabił sam bp. Stanisława, lecz zwołał w tym celu sąd, a na jego czele postawił arcybiskupa gnieźnieńskiego, Bogumiła.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Do konkursu ACADEMIA 2022 na najlepsze książki akademickie i naukowe, które ukazały się w latach 2021-2022, 39 wydawców zgłosiło 118 publikacji.

Jury pod przewodnictwem prof. Romana Barlika z Politechniki Warszawskiej i z udziałem prof. Alojzego Z. Nowaka, rektora Uniwersytetu Warszawskiego, wyróżniło trylogię prof. Andrzeja Walickiego „PRL i skok do neoliberalizmu" wydaną przez Fundację Oratio Recta i Instytut Historii Nauki PAN im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów.

Dyplom rektora UW odebrali: prof. Joanna Schiller-Walicka, zastępczyni dyrektora IHN PAN, i Paweł Dybicz, I zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu", którzy są redaktorami trylogii.

Testament polityczny prof. Andrzeja Walickiego to lektura obowiązkowa dla każdego polskiego inteligenta.

WYRÓŻNIENIE DLA TRYLOGII PROF. WALICKIEGO NA TARGACH KSIĄŻKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 108212b8c8

I TOM 75 zł

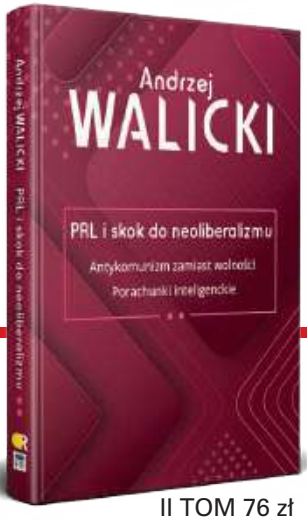

II TOM 76 zł

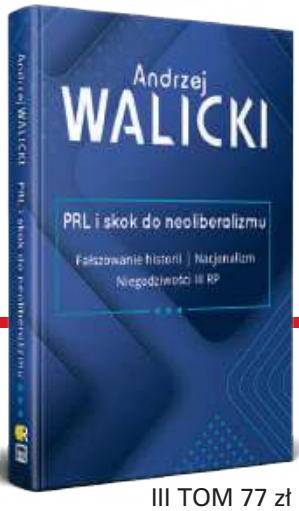

III TOM 77 zł

Pakiet ~~228 zł~~ 190 zł

Kurier GRATIS

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzegląd.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 108212b8c8

Europa niech broni się sama

Najgłośniej przeciwko zaangażowaniu USA w wojnę w Ukrainie protestuje radykalna prawica. I liczy, że Trump wróci do władzy

„Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie, co stanie się z Ukrainą", przekonywał wyborców w lutym republikański kandydat na senatora z Ohio, J.D. Vance.

Jakub Dymek

Nowa zimna wojna w jednym kluczowym aspekcie jest nie kontynuacją, ale zaprzeczeniem tej pierwszej. Niegdyś w USA to lewica i skrajna lewica były przeciwne zaangażowaniu Waszyngtonu w konfrontację militarną ze Związkiem Radzieckim, wojnie w Wietnamie i wyścigowi zbrojeń. A im dalej na prawo, tym żywsze były antykomunizm, wrogość do ZSRR i wsparcie dla *proxy wars*, wojen przez pośredników, toczonych przez USA i ZSRR w krajach od Afganistanu po Nikaragwę. Dziś w odniesieniu do Rosji jest niemal dokładnie na odwrót. To Partia Demokratyczna, w tym jej lewicowe skrzydło, jest partią konfrontacji i ugrupowaniem antyrosyjskim. Sprzeciw wobec angażowania się USA w Ukrainie płynie zaś ze strony najbardziej skrajnych republikanów, tzw. alternatywnej prawicy i konserwatywnych intelektualistów. Nie tylko tych, którzy zostali zaczarowani wizją „Putina – przywódcy wolnego świata" już lata temu, ale także młodszych i bardziej dynamicznych polityków prawicy nowej generacji.

To fascynujące – i momentami przerażające – z co najmniej kilku powodów. Po pierwsze, widzimy już, że ideologiczne i polityczne zmiany w USA, które przyniosła poprzednia dekada, nie skończyły się wraz z Trumpem. Po drugie, w amerykańskiej polityce nie da się oddzielić tego, co globalne (wojna w Ukrainie), od tego, co lokalne (ceny benzyny i brak mleka w proszku dla dzieci). A po trzecie, i może najważniejsze, zaangażowanie Bidena w wojnę w Ukrainie i obronę Europy stało się już elementem walki o reelekcję wiekowego prezydenta. A to znaczy, że przyszłość Ukrainy, Europy i globalnej architektury bezpieczeństwa zależy od ewentualnych zwycięstw lub porażek prawicowych populistów w kilku kluczowych stanach.

Nic bowiem nie stoi na przeszkodzie, by w 2024 r. wybory prezydenckie wygrał kandydat republikański, który powie – zupełnie jak Trump kilka lat wcześniej – że nie będzie bronił cudzych granic i płacił za bezpieczeństwo (i święty spokój) reszty świata. A Europa, jeżeli ma jakiś problem, niech rozwiąże go sama. *America first!*

Czyje granice?

„Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie, co się stanie z Ukrainą", przekonywał wyborców w lutym kandydat na senatora ze stanu Ohio, J.D. Vance. Vance stał się sławny kilka lat temu, gdy napisał bestsellerową autobiografię „Elegia dla bidoków". Książka zdaniem wielu najlepiej tłumaczyła poparcie białych nędzarzy

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 108212b8c8

dla Trumpa i populistycznej prawicy. Dziś Vance – dawno już nie biedak – sam jest takim politykiem, jakiego opisywał. Bogaczem, który za pomocą brutalnego języka i wyrazistych opinii chce trafić do prostego człowieka. „Amerykańskie elity troszczą się o granice Ukrainy, ale nie obchodzą ich narkotyki przemycane przez granicę USA z Meksyku ani to, ilu ludzi przez to umiera. Nie obchodzi ich śmierć moich sąsiadów", dodawał.

Z powodu tych wypowiedzi wielu komentatorów wieszczyło porażkę Vance'a w prawyborach. Jednak w maju zdobył on nominację republikańską i będzie się ubiegał o mandat senatora z białego i postprzemysłowego stanu Ohio. Na razie, choć do wyborów jeszcze daleko, w większości sondaży idzie łeb w łeb z dużo bardziej doświadczonym demokratycznym konkurentem Timem Ryanem. Vance to oczywiście tylko jeden, acz bardzo głośny i wręcz celebrycki, przypadek. Ale jest reprezentatywny dla powszechniejszego trendu.

Gdy prezydent Biden zażądał od Kongresu 33 mld dol., by odpowiedzieć na wojnę Rosji z Ukrainą, Kongres dał mu nawet 40 mld. Za pakietem, w ramach którego miliardy dolarów trafią również do producentów uzbrojenia, Pentagonu i CIA, zagłosowali wszyscy demokraci. W tym najbardziej lewicowa frakcja partii, nazywana The Squad, która wcześniej publicznie sygnalizowała, że nie poprze żadnych projektów zwiększających militarne zaangażowanie USA na świecie. Wszak prezydent Biden złożył obietnicę zakończenia amerykańskich „wiecznych wojen", a po wyjściu z Afganistanu nie tylko wspiera Ukrainę (co budzi najmniej kontrowersji), ale także kontynuuje wsparcie dla toczącej wojnę w Jemenie Arabii Saudyjskiej, a teraz wysłał żołnierzy do Somalii. Cały sprzeciw wobec planów Bidena przyszedł z prawej strony.

Podział na opak

Kim są ludzie, którzy krytykują „wieczne wojny" z prawej flanki? To libertarianie (jak Rand Paul), alternatywna prawica (Josh Hawley) albo telewizyjni demagodzy (Tucker Carlson, który być może też wejdzie za jakiś czas do polityki). Angażując się w wojnę, administracja „przedkłada cudze bezpieczeństwo nad interes samych Amerykanów", przekonują. I dodają, że prawdziwy wróg USA jest w Chinach, im bardziej zaś Ameryka będzie się angażować w Europie, tym później Europa weźmie swoje bezpieczeństwo we własne ręce.

Kusi, by powiedzieć, że lewica i prawica zamieniły się miejscami, ale to nie jest aż tak proste. Dawny sprzeciw lewicy wobec wojen na Bliskim Wschodzie, programu zabójstw za pomocą dronów czy wszystkich *proxy wars* wypływał z pacyfizmu i obaw przed rozrastaniem się „kompleksu militarno-przemysłowego". I przed tym, że znajdująca się w stanie ciągłej wojny i strachu Ameryka będzie bardziej represyjna także wobec swoich obywateli, szczególnie mniejszości. Sprzeciw współczesnej alternatywnej prawicy wobec zaangażowania Bidena w pomoc Ukrainie ma niewiele punktów wspólnych z dawnym pacyfizmem lewicy.

Radykalni trumpiści mówią bowiem, że konfrontacja z Rosją w obronie Ukrainy to „rozmienianie interesu narodowego USA na drobne". Tak twierdzi np. Josh Hawley, charyzmatyczny młody senator ze stanu Missouri. Chodzi o to, że dla prawicy Chiny są najpoważniejszym konkurentem USA w dążeniu do globalnej dominacji, a z perspektywy Waszyngtonu wojnę w Ukrainie należy traktować jak każdy inny konflikt regionalny, a nie sprawę o znaczeniu strategicznym. Badania pokazują, że te różnice widać wśród wyborców: tylko 20% wyborców Bidena uważa Chiny za wroga Ameryki, ale aż 65% wskazuje jako wroga Rosję. Wśród wyborców Trumpa proporcje są dużo bardziej wyrównane: dokładnie tyle samo (58%) uważa oba kraje za wrogie.

Dziś też więcej wyborców demokratów popiera wysyłanie żołnierzy amerykańskich do wschodniej Europy, akcesję Ukrainy do NATO i większe zaangażowanie militarne na świecie – co było raczej domeną strony republikańskiej. Tej wielkiej zmiany nie sposób jednak zrozumieć bez cofnięcia się do lat 2016 i 2017. To wtedy duża część demokratycznego mainstreamu uwierzyła, że wygrana Trumpa jest zasługą Rosji, a być może sam prezydent jest rosyjskim agentem. Za sprawą tzw. *Russiagate* stosunek do Rosji (a później i Ukrainy) stał się zakładnikiem partyjnych podziałów. Plemienna polaryzacja doprowadziła do tego, że w ostatnich latach prawica (wbrew wcześniejszym stanowiskom) zaczęła Rosji bronić, a lewica – obawiać się jej. Gdy kwestia telefonów Trumpa do Zełenskiego (oraz interesów syna Bidena w ukraińskim holdingu Burisma) stała się podstawą do próby impeachmentu, ten podział tylko się zaostrzył. I działa do dziś. Demokraci postanowili szybko zapomnieć, że to administracja Obamy postanowiła „pogodzić się" z aneksją Krymu i nie wspierać Ukrainy zbrojnie. Republikańska opozycja w tamtych czasach była oczywiście odmiennego zdania.

> Dziś to Partia Demokratyczna jest partią konfrontacji i ugrupowaniem antyrosyjskim.

Teraz ten podział – jak wiele innych – staje na głowie. Radykalna lewica rezygnuje z pacyfizmu, radykalna prawica zaś krzyczy, by nie antagonizować Moskwy.

To nie nasza wojna

Notowania Joego Bidena spadły w ostatnim tygodniu maja – gdy

eprasa.pl 108212b8c8

prezydent zbliżał się do 500. dnia na urzędzie – najniżej od początku kadencji. Pracę Bidena oceniało pozytywnie ok. 40,5% obywateli, negatywnie nawet 54,9% – różnica sięgała 14 pkt proc. By znaleźć głowę państwa, która miała w podobnym czasie – czyli mniej niż półtora roku po zaprzysiężeniu – gorsze wyniki, należy się cofnąć do końcówki lat 70. i Jimmy'ego Cartera!

Porównywanie sytuacji Bidena i, dajmy na to, Reagana nie jest oczywiście do końca uczciwe wobec tego pierwszego. Ogromna polaryzacja społeczna i wpływ mediów tożsamościowych skutkują dzisiaj surowszymi ocenami polityków i kandydatów – bez znaczenia, z której partii się wywodzą. Ale głęboki podział społeczny i chaos informacyjny towarzyszy też ocenie roli Bidena w trakcie wojny w Ukrainie. Za pozorną jednością i w tej sprawie ukrywają się głębokie podziały: mniej więcej tyle samo ludzi ocenia działania Bidena dobrze i bardzo dobrze, co źle i bardzo źle. Znaczący odsetek Amerykanów (do 40% badanych w sondażach YouGov) uważa, że USA powinny jeszcze bardziej zaangażować się w konflikt, ale tak samo dużo sądzi, że wojna w Ukrainie napędza inflację w USA. I taki sam odsetek obywateli, czterech na dziesięciu, mówi, że za wysokie ceny benzyny odpowiadają prezydent i polityka Partii Demokratycznej, a nie Putin (badanie Quinnipiac University).

Sprzeciw wobec angażowania się USA w Ukrainie płynie ze strony najbardziej skrajnych republikanów.

To zaś pokazuje jedno. Opinia Amerykanów wobec konfliktu jest wciąż na tyle podzielona, a obawy przed konsekwencjami gospodarczymi na tyle duże, że sprawny populista będzie w stanie rozegrać tę kwestię przeciwko prezydentowi. Jeszcze nie dziś i nie jutro, ale w momencie gdy koszt gospodarczy dalszego zaangażowania USA zacznie ciągnąć w dół notowania kandydatów Partii Demokratycznej w *midterms*, wyborach uzupełniających w połowie kadencji, jesienią tego roku. Czy tym człowiekiem, który to zrobi, będzie sam Trump, czy jakiś jego klon (jak gubernator Florydy Ron DeSantis), jeszcze się okaże.

Jeśli Biden nie odniesie znaczących sukcesów w Donbasie (jakkolwiek dziwnie by to brzmiało), jego szanse na wygraną drastycznie spadną. To nie pierwszy raz, gdy losy odległej wojny są tak związane z kampanią. Trump już raz wygrał na obietnicy zakończenia wojen USA – czego nie zrobił – i postawienia interesów Ameryki na pierwszym miejscu. Wiele wskazuje, że każdy kolejny liczący się republikanin w 2024 r. będzie chciał powtórzyć ten wyczyn. W kolejnym cyklu wyborczym to skrajna prawica pójdzie pod hasłem „To nie nasza wojna".

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zbierajcie chrust, kupujcie obligacje, boga sobie darujcie

Za nami tydzień metafor potężnych jak prawdomówność premiera, jak samodzielność prezydenta, jak gadatliwość pierwszej damy, jak inteligencja Marka Suskiego czy wdzięk Zbigniewa Ziobry.

Dołożył ten tydzień do pieca (nomen omen, bo wchodzi temat grzewczy). W czasie galopady inflacyjnej i rekordowych cen opału, paliwa, gazu ze swadą godną finału Rolanda Garrosa w krasomówstwie wyrywa się jak filip z konopi (tych legalnych albo tych medycznych – i tego się trzymajcie, nie wzięliście recepty, gdyby bagiety pytały, zapomnieliście, macie prawo nie pamiętać, nie jesteście jak niewinny i pamiętliwy Johnny Depp, tik tok, tik tok...) obywatel wiceminister klimatu i środowiska (tak, tak, takie mamy ministerstwo i taki klimat, a środowisko to nie rodzina, nikt go sobie nie wybiera), niejaki Edward „nomen omen, hmmm..." Siarka (wiem, wiem, nieładnie śmiać się z nazwiska i właśnie dlatego należy to robić, bo nieładne jest lepsze niż najdurniejsze). I tenże Siarka prawi: „Cały czas obowiązuje, za zgodą leśniczego, możliwość zbierania gałęzi na opał. W tym roku po rozpoczęciu wojny w Ukrainie i zawirowaniu na rynku energii wzrosły zapytania do nadleśnictw o wskazanie terenu i zgodę na pozyskiwanie drewna opałowego w lokalnych lasach. Priorytetowo należało zadbać, by pierwszeństwo samopozyskiwania drewna miały społeczności lokalne". Zawirowanie??? Benzyna za 7 czy 8 zeta??? Skąd ten wir? Kto tym kręci? Co marudzita, wciąż można zbierać chrust. „Pijcie ocet, Panowie", pisał niezapomniany, czyli nikomu dziś nieznany Daniił Charms, rosyjski oberiuta (takie ugrupowanie literackie). No ale u Charmsa, czyli tak naprawdę Daniiła Iwanowicza Juwaczowa, absurd gonił groteskę i paradoksem poganiał. A Siarka na poważnie: „Chrust zbierajcie, Polaczkowie". Zaprawdę godne to i litościwe ze strony Lasów Państwowych, które Puszczę Białowieską na deski Chińczykom wyprzedały, że możemy se chrustu nanosić. Ale, ale, pamiętajcie: zbierane gałązki grubsze niż 7 cm średnicy żadną miarą być nie mogą – bo kryminał.

Być może jednak jest inny sposób, żeby czoła stawić drożyźnie, jej wysokości inflacji? Może kto doradzi? Może kto wie? Może kto się jej, jak spod kosy Kostusze, wymknął? A i owszem. Trudno uwierzyć, że to znowu on! Przykład nam daje jak jakiś Bonaparte inflacji. To nasz premier Mateusz „przepisałem wszystko na żonę" Morawiecki. Okazuje się, że nie takie wszystko. I jest jak w dowcipie, kiedy ojciec mówi latorośli: „Pamiętaj, synku, pieniądze to w życiu nie wszystko. Są jeszcze nieruchomości, działki od Kościoła za bezdurno pozyskane, brylanty, złoto i (uwaga, uwaga!) obligacje skarbu państwa". Obligacje skarbu państwa zatem skupuje z resztówek swojego mająteczku (bo co cenne – to już żonine) nasz Mateusz „Pinokio" Morawiecki. Wyciąga zaskórniaki, błahostka, 4,5 mln zł z bankowego konta, ZANIM pod jego rządem wykatapultuje inflacja, i cyk, do kasy po obligacje bieży. Kto kształtuje ceny obligacji skarbu państwa? Ano minister finansów. A kto jest jego kierownikiem? Ano Mateusz. Czyli już wiemy, nie ma co biadolić. Bierzemy nasze miliony z konta i przekuwamy w obligacje. I już teraz – w jednej ręce obligacje, w drugiej wiązka chrustu – niczego się nie lękamy, jak mawiał ten, wiecie sami, kto tak mawiał. Nie trzeba już się jego bać, tego wirusa.

Chyba że dotkną nas prześladowania religijne, tak jak zuchów, druhów i druhny z ZHP, który to związek podczas demokratycznego zjazdu, demokratycznie głosując, zadecydował, że odtąd zuszki i harceuszki mogą wybierać w przysiędze swojej, kogo kochają: Boga i Polskę czy tylko Polskę. Taki atak belzebubów się odjaniepawlił. Dobrze, że natychmiast zareagowała Wielka Inkwizycja, o sorry, grupa kapelanów ZHP (ach, gdzież ich nie ma, chyba w „Nie" tylko ich nie ma). „Usunięcie duchowego odniesienia do Boga zawartego w formule »Zuch kocha Boga i Polskę« z Prawa Zucha wyczerpuje znamiona nietolerancji i może być odbierane jako dyskryminacja polegająca na jawnej dechrystianizacji w systemie wychowawczym formacji najmłodszych członków ZHP", napisała – o demokratycznej decyzji – w przesłanym KAI stanowisku Rada Duszpasterstwa Związku Harcerstwa Polskiego. I słychać płacz i zgrzytanie księżowskich zębów, kiedy dociera, że eldorado dominacji chyli się ku końcowi, że zachodzi słoneczko skatolicyzowania całego ruchu harcerskiego. Nie po to wszakże Kościół opędzlował wcześniej Morawieckiemu za bezcen działeczkę, żeby teraz kapelanowie mieli z nędzy po chrust popylać. Harcerzom i harcerkom z ZHP brawa, teraz czekać, jak ich skontroluje Ziobro, skarbóweczka czy inne CBA z druhem Macierewiczem. Muszę kończyć, po ciemku już tego chrustu, co został jeszcze do zebrania, nie widać. A obligacjami palić nie będę, nigdy ich na oczy nie widziałem.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Groźne skutki forsowania amerykańskiej „wojny zastępczej”

Odzyskanie przez Ukrainę – z pomocą Zachodu – wszystkich obszarów utraconych na rzecz Rosji i separatystów od 2014 r. oznacza długą wojnę i cierpienia Ukraińców

Anatol Lieven

Anatol Lieven jest ekspertem od spraw Rosji i Europy w amerykańskim think tanku Quincy Institute for Responsible Statecraft. Grupuje on specjalistów przynależących do realistycznej szkoły myślenia o polityce. Przez ponad 13 lat Lieven jako dziennikarz pracował m.in. w Azji Południowej i byłym ZSRR, relacjonował wojny w Afganistanie i Czeczenii. Jego wiedza wykracza zatem poza obszar Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej. Książka jego autorstwa „Pakistan. A Hard Country” (Pakistan. Trudny kraj) znajduje się na oficjalnej liście lektur amerykańskich i brytyjskich dyplomatów. Inna jego praca, „The Baltic Revolutions: Estonia, Latvia, Lithuania and the Path to Independence” (Bałtycka rewolucja: Estonia, Łotwa, Litwa i droga do niepodległości), została uhonorowana nagrodą im. George’a Orwella. W kontekście konfliktu rosyjsko-ukraińskiego istotna jest książka Lievena „Ukraine and Russia: A Fraternal Rivalry” (Ukraina i Rosja. Braterska rywalizacja).

W prezentowanych rozważaniach Lieven namawia elity polityczne Zachodu do wyraźnego uświadomienia sobie, co jest ich celem w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, która przybrała formę „wojny zastępczej” – *proxy war* – między USA (i sojusznicymi krajami NATO) a Rosją. Czytelnicy PRZEGLĄDU są zaznajomieni z terminem „wojna zastępcza”, odnoszącym się do niektórych konfliktów w czasach zimnej wojny. Wówczas to dwa antagonistyczne supermocarstwa prowadziły niekiedy zmagania zbrojne nie bezpośrednio między sobą, lecz rękami żołnierzy popieranych przez siebie krajów.

W ujęciu Lievena istnieje uprawniony cel wojny w postaci przetrwania Ukrainy jako suwerennego państwa, które może ubiegać się o członkostwo w Unii Europejskiej po zawarciu kompromisowego pokoju z Rosją. Ów kompromisowy pokój oznaczać musi, niestety, pogodzenie się Ukraińców z utratą Krymu, prawdopodobnie Donbasu, a być może jeszcze jakichś terytoriów, oraz zaakceptowanie statusu neutralności. Drugi, karkołomny cel, który mogą sobie wyznaczyć politycy Zachodu, sprowadzałby się do próby odniesienia pełnego zwycięstwa nad Rosją. Jak niebezpieczna byłaby to gra, Lieven pokazuje w poniższych fragmentach tekstu, który ukazał się 27 kwietnia 2022 r. na niezależnym portalu informacyjnym Common Dreams.

Sądząc po ostatnich oświadczeniach, administracja prezydenta Joego Bidena coraz mocniej angażuje się w wykorzystanie konfliktu w Ukrainie do prowadzenia „wojny zastępczej” z Rosją, dążąc do osłabienia lub nawet zniszczenia rosyjskiego państwa. Oznacza to, że Ameryka zwraca się ku strategii, której każdy amerykański prezydent doby zimnowojennej unikał jak ognia – sponsorowania wojny w Europie, któremu towarzyszy poważne ryzyko eskalacji wiodącej do bezpośredniej, wojskowej konfrontacji Rosji z NATO, co może się skończyć nuklearną katastrofą.

(…) Podczas wizyty w Kijowie sekretarz obrony USA Lloyd Austin powiedział, że Stany Zjednoczone chcą widzieć „Rosję osłabioną do tego stopnia, że nie będzie w stanie podejmować działań takich jak inwazja na Ukrainę”. Tego samego dnia rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow oświadczył w rosyjskiej telewizji, że za sprawą wyposażania Ukrainy w broń ciężką NATO „zasadniczo” prowadzi „wojnę zastępczą” z Rosją. (…)

Dwa elementy w wypowiedzi Austina zasługują na bliższe zbadanie. Pierwszy to stwierdzenie, że osłabienie Rosji jest niezbędne, aby zapobiec powtórzeniu ukraińskiego scenariusza gdzie indziej. Słowa te są albo pozbawione treści, albo pełne hipokryzji, albo jedno i drugie. Nie ma żadnych oznak tego, że Rosja pragnie lub w rzeczy samej mogłaby najechać jakieś inne kraje. Jeśli chodzi o atak na NATO, kiepska postawa rosyjskich żołnierzy w Ukrainie powinna jasno uzmysławiać, że to czyste fantazje. Śmieszny jest pomysł rosyjskiego ataku na NATO, skoro Rosja nie potrafi opanować miast leżących ok. 30 km od swojej granicy. Jeśli chodzi o Gruzję, Mołdawię i Białoruś, to Rosja już zajmuje tam pozycje, których potrzebuje. (…)

Austin powiedział też, że przedstawiciele amerykańskiej administracji wierzą, że Ukraina może „wygrać” wojnę z Rosją przy odpowiednim wyposażeniu i wsparciu Zachodu. Pytanie brzmi, co to znaczy „wygrać”. Jeśli oznacza to zachowanie ukraińskiej niepodległości, prawa do przystąpienia do Unii Europejskiej i zachowania władzy nad większością ukraińskiego terytorium, to mamy do czynienia z uprawnionymi i koniecznymi celami. W rzeczy samej, dzięki odwadze Ukraińców i zachodniej broni zostały one w dużym stopniu osiągnięte. Pierwotne zamiary Moskwy obalenia ukraińskiego rządu i podporządkowania sobie całej Ukrainy spaliły na panewce. Biorąc pod uwagę straty, jakie poniosła rosyjska armia, wydaje się wysoce nieprawdopodobne, żeby Rosja mogła opanować jakieś wielkie ukraińskie miasta, nie mówiąc już o podboju całej Ukrainy. Jeśli jednak przez zwycięstwo rozumie się odzyskanie przez Ukraińców – z pomocą Zachodu – wszystkich obszarów utraconych na rzecz Rosji i wspieranych przez Rosjan separatystów od 2014 r.,

eprasa.pl 108212b8c8

wówczas mamy do czynienia z gotowym przepisem na długotrwałą wojnę połączoną z potwornymi stratami i cierpieniami Ukraińców. Ukraińska armia walczyła wspaniale w obronie swoich obszarów zurbanizowanych. Zaatakowanie jednak na otwartym terenie rosyjskich pozycji obronnych to zupełnie inna sprawa. Co więcej, ponieważ Rosja zaanektowała Krym i zdecydowana większość Rosjan uważa go za terytorium rosyjskie, żaden przyszły rosyjski rząd nie może się zgodzić na oddanie go. Czyli cel w postaci zupełnego zwycięstwa Ukrainy naprawdę musi zakładać zniszczenie rosyjskiego państwa, przed czym chroni Rosję jej arsenał nuklearny. (…)

Amerykańska strategia posłużenia się wojną w Ukrainie do osłabienia Rosji kłóci się, rzecz oczywista, z poszukiwaniem możliwości zawieszenia broni czy nawet zawarcia prowizorycznego traktatu pokojowego. Wymaga, aby Waszyngton przeciwstawiał się takim próbom i dążył do kontynuacji wojny. Faktycznie, kiedy w końcu marca ukraiński rząd przedstawił bardzo rozsądny zestaw propozycji pokojowych, uderzający był brak amerykańskiego poparcia dla nich. Nie ulega wątpliwości, że ukraiński traktat o neutralności (taki, jaki zaproponował prezydent Zełenski) jest absolutnie nieodzowną częścią jakiegokolwiek porozumienia. Jednak cel w postaci osłabienia Rosji zakłada utrzymywanie Ukrainy jako de facto sojusznika USA. Amerykańska strategia zarysowana przez Austina naraża Waszyngton na ryzyko uwikłania się w popieranie twardogłowych nacjonalistów przeciwko Zełenskiemu.

Nasuwa się pytanie, jak długo Rosja będzie się zgadzać na taką zachodnią strategię osłabiania jej, nim zdecyduje się na eskalację konfliktu, próbując przede wszystkim przestraszyć Europejczyków, odsunąć ich od Ameryki i zmusić do poszukiwania rozwiązań pokojowych. Nawet jeśli udałoby się uniknąć bezpośredniej wojny pomiędzy Rosją a Zachodem, jak długo zachodnia jedność przetrwałaby w takich warunkach? Jak dotąd rosyjskie ataki mające na celu przerwanie zachodnich dostaw broni ograniczały się do terytorium Ukrainy. Jakie byłyby jednak konsekwencje, gdyby zostały rozszerzone na terytorium Polski? Co, jeśli Ukraina użyje zachodniej broni, aby przeprowadzać ataki na terytorium Rosji, jak zasugerował brytyjski minister obrony w przypływie niemal szalonej nieodpowiedzialności?

Co, jeśli Ukraina użyje zachodniej broni, aby przeprowadzać ataki w Rosji, jak zasugerował brytyjski minister obrony w przypływie nieodpowiedzialności?

Z powodu poniesionych przez rosyjską armię strat wydaje się możliwe, że gdy Rosja opanuje cały Donbas (zakładając, że potrafi to zrobić), zajmie następnie pozycje obronne i zaoferuje zawieszenie broni jako wstęp do negocjacji pokojowych. Zachód stanie wtedy przed trudnym wyborem: przystania na taki stan rzeczy i zastosowania presji ekonomicznej, aby zmusić Rosję do przedłożenia akceptowalnych warunków, albo uzbrojenia i zachęcenia Ukrainy do masowej kontrofensywy.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

LIST

Emigranci i uciekinierzy

Nienawidzę wojny, mam ją w dziecięcej pamięci. Uciekaliśmy do Polski z Wilna przed możliwą wywózką za Kraj Amurski. Wojnę przetrwaliśmy w Rabce. Pamiętam niedzielę, kiedy Niemcy wyprowadzili nas na plac, był strach, bo zabrano żydowską rodzinę mieszkającą w tym samym domu. To się skończyło. Białe postacie przyszły z lasu, ciągnąc po śniegu pulemioty. Podobno zabito Niemca, który miał wysadzać sanatoria. Byli Sowieci, wielu życzliwych, ale nie wszyscy. Matka nie pozwalała mówić naszego nazwiska, które ktoś z nich rozpoznawał. Zapamiętałem NKWD. Wróciliśmy do Warszawy. Moje dzieciństwo, Mokotowska, Hoża, Krucza, leżało w gruzach.

Minęło 77 lat i znowu są tu ludzie ze Wschodu, matki i dzieci, widać smutek w ich oczach i niepewność jutra. Po wojnie opuściło nas ponad 250 tys. Żydów. Teraz mamy ponad 2 mln Ukraińców. Gdy minie czas współczucia i odruchów serca, pojawią się problemy. Ludzie z wykształceniem wyjadą na Zachód, pozostaną słabsi, może się zadomowią, przestaniemy być społeczeństwem jednolitym etnicznie.

Ponad 50 lat żyłem w socjalizmie prawdziwym, a czasem udawanym. Znałem wielu Rosjan, pracowałem z nimi. Bywało różnie, gorzko szczególnie z tymi przy władzy. Znałem i Ukraińców, dobrze ich wspominam. Kacapy i chachły – tak się wzajemnie określali. Teraz jest smutek na duszy i rozterka, nie ma przyjaźni.

W Kijowie jest grób mojej Babci, z którego ktoś zrzucał parę razy katolicki krzyż. Moja Matka urodziła się w Łucku. Nasze korzenie sięgają odległych lat dalekiej Białorusi, Suszczy, Bolina, Sankt Petersburga. Uciekinierami byli i mój Dziad, i jego Synowie. Rżnęli czubaryków, kosołapych, kacapów i chachłów pod Warszawą, odzyskaliśmy wolność. To był początek XX w. Sto lat minęło, dwie emigracje. Ja też byłem emigrantem jako dziecko – niedawno zdałem sobie z tego sprawę. Głęboko współczuję tym ludziom idącym do nas ze Wschodu. Przeraża mnie napastliwy głos wielu przywódców z obu stron. Co nas czeka?

Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi są najlepsze od lat? Kupujemy samoloty, czołgi, pomagamy w transporcie amerykańskiej broni do Ukrainy. Broń trzeba wyprodukować w USA, płaci podatnik, wzbogaca się amerykański producent. Ukraińcy walczą i giną. Kto ma z tego korzyść? Stany Zjednoczone, bo cudzymi rękami osłabiają głównego przeciwnika – Rosję, a jeszcze na tym zarabiają. My nienawidzimy Rosjan, ale czy nam to pomoże? Tego, co produkujemy, nie sprzedamy wiele do USA. Niemcy ociągają się z dostarczaniem broni; gdyby jej nie było, nie byłoby wojny. Mają traumę po II wojnie światowej, ale i interesy z Rosją. Może Rosja zajęłaby część Ukrainy, ale nie ginęliby ludzie. Europa i USA obligują wszystkich do wojny w imię wspólnych wartości. Rosja czuje się okrążona, a co zrobi szczur zagnany w kąt?

Stanisław Rakusa-Suszczewski

eprasa.pl 108212b8c8

Kilka dni po tragedii w Uvalde w Houston odbyła się konwencja Krajowego Związku Strzeleckiego.

Czy mnie też ktoś w szkole zastrzeli?

Oblicza amerykańskiej śmierci z bronią w tle

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

W grudniu minie 10 lat, odkąd młodsza córka, wówczas drugoklasistka, zapytała: „Mamo, czy mnie też ktoś w szkole zastrzeli?”. Gdy odbierałam ją tego dnia po lekcjach, już słyszała o masakrze w Newtown w Connecticut, w podstawówce Sandy Hook, gdzie 20-latek z karabinem zamordował 26 osób, w tym dwadzieścioro pierwszoklasistów. Dowiedziała się o tym pewnie od jakiegoś rówieśnika z komórką. Dziecko miało tego dnia dość strachu i niepewności, potrzebowało zapewnienia, że tragedia, która dotknęła jej rówieśników po drugiej stronie kraju, to wynaturzenie, a my, dorośli, zrobimy wszystko, by nic podobnego już się nie wydarzyło.

24 maja tego roku 18-latek wymordował całą klasę i dwie nauczycielki w szkole podstawowej w Uvalde w Teksasie – scenariusz był zatrważająco podobny. Co gorsza, nie można powiedzieć, że jego zbrodnia była czymś niezwykłym. Od czasów Sandy Hook Stany Zjednoczone doświadczyły 27 masowych strzelanin w szkołach w całym kraju – to więcej niż dwie masakry rocznie – w których zginęło 185 dzieci i nauczycieli, a prawie 320 tys. dzieci tragedie te dotknęły osobiście jako uczniów placówek, gdzie doszło do strzelanin.

Reszta statystyk dotyczących masowych zbrodni z użyciem broni palnej, w większości karabinów maszynowych, też mrozi krew w żyłach. Liczba tego typu zdarzeń nieustannie rośnie i jest trzykrotnie wyższa (w skali roku) niż dekadę temu. Porównywalnie wzrosła liczba ofiar. W 2020 r. według danych z Centrum Prewencji i Kontroli Chorób śmierć od kuli poniosło ponad 19 tys. Amerykanów, czyli ponad 50 osób dziennie. Przeszło 45 tys., jeśli do morderstw dodamy samobójstwa z użyciem broni palnej (124 osoby dziennie). Tylko od początku roku w ten sposób zginęło już prawie 660 dzieci poniżej 17. roku życia, a ponad 1,6 tys. zostało rannych. Od 2020 r. śmierć od ran postrzałowych stała się przyczyną numer jeden zgonów amerykańskich dzieci i młodzieży, wyprzedzając dominującą do tej pory śmierć w wypadku samochodowym.

To sytuacja bez precedensu na tle innych krajów rozwiniętych, zbieżna jedynie z rejonami, gdzie toczy się otwarta wojna. Amerykańskie Towarzystwo Medyczne już w 2016 r. uznało przemoc z użyciem broni palnej za kryzys w obszarze zdrowia publicznego. Po masakrze w Uvalde Krajowe Stowarzyszenie Pediatrów wystąpiło z postulatem, by przemoc z użyciem broni palnej wobec dzieci uznać za kryzys w obszarze zdrowia dziecka w USA.

Kultura śmierci

Nikomu nie trzeba chyba przypominać, że broń w USA jest powszechnie dostępna, a jej liczba na mieszkańca stale rośnie. Ostatnie dane mówią o co najmniej 400 mln sztuk w domowych arsenałach, co oznacza, że na każde pięć osób przypada sześć sztuk broni. Większość czytelników pewnie też słyszała,

eprasa.pl 108212b8c8

że choć badania jednoznacznie wiążą ilość broni z eskalacją przemocy z jej użyciem, próby ograniczenia dostępu do niej czy zaostrzenia praw regulujących, kto i jak może stać się jej nabywcą, kończą się fiaskiem. Na przeszkodzie stoi nie tylko sławetna druga poprawka do konstytucji, interpretowana jako powszechne prawo każdego obywatela do zbrojenia się, ale i pokutująca w USA specyficzna kultura broni. Przewodzi jej NRA, Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie, a ponieważ od co najmniej ćwierć wieku organizacja ta prowadzi silny lobbing i hojnie finansuje prawicowych polityków (100 mln dol. w ostatnich 10 latach na republikańskich kandydatów), ma na smyczy również prawicową amerykańską wierchuszkę, która z prawa do posiadania broni uczyniła papierek lakmusowy „prawdziwego" konserwatyzmu, a z pistoletu za paskiem znak rozpoznawczy „prawdziwego" patrioty.

Choć reszcie świata wydaje się to niewiarygodne i przeczy logice, częścią tej kultury jest nie tylko kampania na rzecz poszerzania dostępu do broni, ale i batalie o sprawy tak podstawowe, jeśli chodzi o ustawodawstwo związane z bronią, jak obowiązkowa weryfikacja przeszłości kryminalnej i stanu zdrowia nabywcy, a nawet wymóg przechowywania broni w specjalnych sejfach. Weryfikacja obowiązuje tylko w 22 na 49 stanów. Paradoksy tej kultury świetnie obrazuje „spór" toczący się od lat wokół karabinów szturmowych. W 2004 r. wygasł federalny zakaz produkcji i sprzedaży tego typu broni cywilom (odpowiedź Billa Clintona na masową strzelaninę w Kalifornii w 1989 r., w której zginęło pięcioro dzieci, a 32 osoby zostały ranne). Od tego czasu karabiny to podstawowe, by nie rzec obowiązkowe wyposażenie każdego sprawcy masowej strzelaniny. Mimo ponawianych przynajmniej raz na dwa, trzy lata prób odnowienia prawa nie tylko nie udało się tego zrobić, ale wszystko wskazuje, że Sąd Najwyższy, kontrolowany obecnie przez konserwatystów, jeszcze w tym roku może na stałe uprawomocnić obecność tej broni w domowych arsenałach.

Co się zmieniło, odkąd trzy lata temu na tych łamach opisywałam kampanię odważnych nastolatków, byłych uczniów liceum w Parkland na Florydzie, którzy w 2018 r. przeżyli masakrę w szkole (zginęło 17 osób, a 17 zostało rannych)? W pierwszym odruchu chciałoby się rzec: nic, prócz tego, że i oni, i ja mamy jeszcze mniej wiary w to, że Ameryka jest w stanie się opamiętać. Ale to nieprawda. Choć nie ma zmian w kluczowej kwestii, tj. kontroli liczby sztuk broni w cywilnych rękach, wiemy dziś dużo więcej o tym, co i jak mogłoby powstrzymać potencjalnych zamachowców przed realizacją ich makabrycznych planów.

W USA już całe nowe pokolenie wychowywało się w realiach szkolnych strzelanin.

Pierwsza zmiana to sposób, w jaki od niedawna zaczęło się przedstawiać masowych morderców w mediach i w przestrzeni publicznej. Maksymalnie ogranicza się informacje na temat profilu sprawców, a zwłaszcza metodyki ich działań, koncentrując za to uwagę na ofiarach, akcji ratunkowej, wreszcie na skutkach takich tragedii. Wszystko po to, by nie kreować zamachowców na celebrytów i bohaterów wśród potencjalnych naśladowców. Myślenie jak najbardziej słuszne, choć w czasach wszystko pamiętającego i przechowującego internetu nie zawsze z szansą na zdziałanie cudów.

Skąd przychodzi śmierć

Inna rzecz wydaje się o wiele istotniejsza: poszukiwanie wspólnego mianownika dla związków przyczynowo-skutkowych w życiorysach zamachowców. Bo takie istnieją. Choć mordercami w ostatnich dwudziestu kilku latach (za jutrzenkę „ery masowych strzelanin" przyjmuje się masakrę w liceum Columbine w Kolorado z 1999 r.) byli ludzie w różnym wieku, 98% stanowili mężczyźni, do tego biali, wreszcie bardzo młodzi, od 17 do dwudziestu kilku lat. Wszyscy bez wyjątku cierpieli na nieleczone, choć często widoczne dla otoczenia zaburzenia psychiczne. Tak było w przypadku 18-letniego mordercy czwartoklasistów z Teksasu. Depresja i poważne zaburzenia osobowości występowały zarówno u 19-letniego mordercy z Parkland na Florydzie, jak i u 20-letniego zamachowca z Newtown. 18-letni biały suprematysta, który ledwie tydzień przed tragedią w Uvalde zastrzelił 10 osób w supermarkecie w Buffalo, był badany i zdiagnozowany jako osoba zaburzona już rok wcześniej. Zbadał go szkolny psychiatra, po tym jak szkoła wezwała policję, bo nastolatek groził, że urządzi strzelaninę. Chorzy psychicznie byli nastoletni mordercy z liceum Columbine (15 ofiar śmiertelnych), 24-letni zabójca z kina w Aurorze (12 ofiar śmiertelnych, 2012 r.), a także 29-letni strzelec z nocnego klubu w Orlando na Florydzie (49 ofiar śmiertelnych, 2016 r.) i 21-letni zamachowiec z Boulder (10 ofiar śmiertelnych, 2021 r.). Większość planowała przy okazji własną śmierć podczas strzelaniny.

Wreszcie rzucają się w oczy zatrważające podobieństwa doświadczeń życiowych morderców z okresu kilku-kilkunastu miesięcy poprzedzających zbrodnię. – Większość z nich miała skomplikowane układy rodzinne i doświadczała przemocy albo w domu, albo w najbliższym otoczeniu, szkole czy pracy. To rodziło frustrację, która rzutowała na stan psychiczny i znajdowała ujście w zachowaniach agresywnych – tłumaczy Kristin Anderson, psychiatra i wykładowczyni na Uniwersytecie Houston w Teksasie. – Agresja to oczywiście problem dotyczący wielu mężczyzn na świecie, ale do tragedii o charakterze, z jakim mamy do czynienia w USA, dochodzi tylko wtedy, gdy ci mężczyźni mają tak łatwy dostęp broni jak tutaj.

Jak łatwy? Czterech na pięciu sprawców szkolnych strzelanin z ostatnich 20 lat miało ją dosłownie na wyciągnięcie ręki, nawet ci jeszcze nieletni. Zabrali broń z domu (własność któregoś z członków rodziny) bądź nabyli bez problemu (bez ▸

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 108212b8c8

jakiejkolwiek weryfikacji) w przededniu ataku (dane z National Institute of Justice).

Informacja, że zamachowcami stają się osoby niestabilne psychicznie, z jednej strony zaprzecza tezie, że nazbyt łatwy dostęp do broni ma coś wspólnego z tragediami. Z drugiej, pokazuje, że osoby, które powinny się leczyć psychiatrycznie, z jakichś powodów tego nie robią. Dlaczego? Odpowiedź jest znana od lat – dla postronnego obserwatora to jeszcze jeden dowód, że mamy do czynienia z sytuacją patologiczną, w wymiarze zarówno systemowym, jak i politycznym. Chodzi oczywiście o brak dostępu do tego rodzaju diagnostyki i leczenia. Ale stoi za tym nie brak wykwalifikowanej kadry, jak ewentualnie w innych krajach rozwiniętych, lecz bariera finansowa. Model służby zdrowia obowiązujący w USA skazuje pacjentów na kosmiczne ceny za leczenie, i to nawet przy wykupionym ubezpieczeniu. Koszt składek dla osoby indywidualnej to obecnie 7,5 tys. dol. rocznie na głowę lub 22 tys. na rodzinę. Koszt ten maleje, jeśli ubezpieczenie pokrywa pracodawca, niestety obecnie już tylko 55% firm oferuje takie świadczenie. Poza tym nawet tzw. porządne plany finansowane przez pracodawcę albo w ogóle nie obejmują refundacji leczenia psychiatrycznego, albo bardzo je ograniczają.

W kwietniu br. ośrodek badawczo-edukacyjny Mental Health America opublikował doroczny raport o stanie zdrowia psychicznego w kraju. Wynika z niego, że w 2019 r. dostępu do leczenia psychiatrycznego nie miało ponad 60% dzieci, młodzieży i ponad 50% dorosłych, mimo diagnozy warunkującej leczenie i chęci odbycia takiej terapii. Jednocześnie co piąty Amerykanin miał symptomy wskazujące na chorobę psychiczną, a co piąty, który rozpoczął leczenie, uważał, że nie spełnia ono jego potrzeb. Bez żadnej formy ubezpieczenia pozostaje co dziewiąty młody i dorosły potrzebujący leczenia psychiatrycznego.

Śmierć pożywiona pandemią

Pandemia przyniosła dodatkowe wyzwania dla zdrowia psychicznego, szczególnie dzieci i młodzieży. Szacuje się, że na depresję cierpi obecnie nawet co trzeci młody Amerykanin. Jesienią ub.r. zespół ekspertów z Krajowego Stowarzyszenia Pediatrów, Stowarzyszenia Psychiatrów Dziecięcych i Związku Szpitalnictwa Dziecięcego zadeklarował stan pogotowia dla zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. James Densley, profesor kryminalistyki i współautor (z Jillian Peterson) książki „The Violence Project: How to Stop a Mass Shooting Epidemic" (Projekt przemoc. Jak powstrzymać epidemię masowych strzelanin), alarmuje, że należy z miejsca zatrudnić w amerykańskich szkołach dodatkowe pół miliona psychologów.

Wiemy dziś dużo więcej o tym, co mogłoby powstrzymać zamachowców przed realizacją ich planów.

– To inwestycja, która pomogłaby identyfikować, leczyć i powstrzymywać osoby zaburzone, nim zmienią się w potwory szalejące po szkole ze śmiercionośną bronią – mówi Densley. Jakie są na to szanse? Żadne. Amerykańskim szkołom, głównie za sprawą coraz to nowych planów cięcia podatków, agresywnie realizowanych wszędzie, gdzie u steru stoją konserwatyści, nie starcza dziś na ławki i krzesła. Nie ma mowy, by znalazło się 35 mld dol. na pensje dla psychologów.

A na tym przecież nie koniec. Problem braku dostępu do leczenia psychiatrycznego ma jeszcze jeden zatrważający wymiar. Pisałam o tym już trzy lata temu, przywołując słowa Dave'a Cullena, badacza masowych strzelanin i autora wielu książek na ten temat. W USA żyje dziś już całe nowe pokolenie, które wychowywało się w realiach szkolnych strzelanin. Wiemy tymczasem – to fundament współczesnej psychiatrii – że traumatyczne przeżycia z dzieciństwa napędzają zaburzenia i depresję w późniejszym wieku.

„Badania potwierdzają, że nawet te dzieci, które nie doświadczyły osobiście strzelaniny w swojej szkole, żyją w ciągłym strachu przed nią. Wiemy dodatkowo, że źródłem stresu wywołującego traumę, a nawet objawy depresji, są dla dzieci szkolenia z bezpieczeństwa na okoliczność strzelaniny, stały element współczesnego życia szkolnego w USA", napisała w komentarzu dla portalu CNN Rinad S. Beidas, profesor psychiatrii na Uniwersytecie Pensylwanii i autorka publikacji na temat źródeł oraz metodologii leczenia traumy u dzieci.

Beidas zalicza się do rosnącego grona ekspertów, którzy przestrzegają, że bez gruntownych zmian w myśleniu o zdrowiu psychicznym i batalii o to, by poszerzyć dostęp nie do broni, ale do opieki lekarskiej, Stany Zjednoczone nie poradzą sobie z kryzysem, który, nie ma co się łudzić, będzie tylko się nasilał. „Musimy działać wspólnie jako społeczeństwo i musimy zrobić z tego narodowy priorytet, by myśl, że ktoś może strzelać z karabinu do naszych dzieci w szkole, znów była nie do wyobrażenia", postuluje Beidas.

Kilka dni po tragedii w Uvalde entuzjaści broni i śmietanka amerykańskiej prawicy spotkali się w Houston po drugiej stronie Teksasu na konwencji NRA. Rodzinom ofiar zaoferowali sakramentalne *thoughts and prayers* (myśli i modlitwy), za tragedię obwinili edukację publiczną, z której wyprowadzono Boga, przez co niszczy ona młode umysły. Po czym spędzili resztę czasu, debatując, jak bronić kultury spod znaku pistoletu i karabinu przed atakami bezbożników. A już 1 czerwca uzbrojony w karabin i pistolet mężczyzna wtargnął do szpitala w Tulsie w Oklahomie, bo obwiniał lekarza o utrzymujący się ból pleców po operacji. Zabił cztery osoby, ranił ok. 10…

Bardzo chciałabym myśleć inaczej, ale mam wręcz pewność, że i rozpaczający rodzice ofiar z Uvalde nie będą ostatnimi, którym to, co niewyobrażalne, zabrało to, co mieli w życiu najdroższe. Wszystko wskazuje, że zarówno liczba sztuk broni, jak i liczba osób, które nigdy nie powinny mieć do niej dostępu, w Stanach Zjednoczonych będzie się tylko powiększać.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 108212b8c8

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Tak zwana praworządność

Dzień w Krakowie. Długi spacer Starym Miastem, a potem wzdłuż Wisły na Podgórze. Mało ostatnio się ruszam, bo jedna noga mi utyka z powodu biodra, a druga z powodu stopy. Trudno o gorsze warunki do spaceru. Nadaję się do generalnego remontu, a na to brakuje mi energii. Ale doszedłem. Galeria Andrzeja Starmacha, a on sam wielki stróż i opiekun spuścizny malarstwa Jerzego Nowosielskiego. Dajemy do ekspertyzy obrazek. Bodaj 30 lat temu dostałem go od pewnej malarki, jako rekompensatę za zaliczkę, której nie chciała oddać mojej mamie, powiedziała, że to Nowosielski, w co za bardzo nie wierzyłem. (Mama wymyśliła sobie, że kupię od malarki mieszkanko, stąd zaliczka, to był fatalny pomysł). Okazuje się, że to pierwszy obraz w katalogu wszystkich prac Nowosielskiego. Malował go w czasie wojny, jeszcze bardzo młody, dlatego jest tak inny stylistycznie od późniejszych dzieł, to zapewne jeden z pierwszych jego obrazów. Nie jest niestety wiele wart, gdyby chcieć go sprzedać, tak twierdzi ekspert, jest mały i cały tonie w mrokach. Dostajemy od ręki atest.

Potem kładką dla pieszych przez Wisłę na Kazimierz. Na ryneczku przy synagodze żydowska kuchnia i dobry obiad. Potem znowu spacer Starym Miastem. Nakładają się wspomnienia, tu, przy Bramie Floriańskiej, spotkałem dawno temu Adama Zagajewskiego, sięgając głębiej w czas, widzę ojca, wczesne lata 20., student Uniwersytetu Jagiellońskiego, spaceruje Plantami z poetą Julianem Przybosiem. Wtedy przyjacielem, a potem śmiertelnym wrogiem. Nie zważając na to, jest mój głos w książce dopiero co wydanej przez Utę, córkę Przybosia, zbiorze wspomnień o jej ojcu, „Świat się wiecznie zaczyna".

•

Wasilij Grossman, rosyjski pisarz o żydowskich korzeniach, którego nie znałem, wstyd, bo to świetny pisarz. Zebrało mi się na czytanie jego potężnej, grubej powieści „Życie i los", w też świetnym przekładzie Jerzego Czecha. I okazało się, że nie daję rady, odpadam po kilkunastu stronach. Część tej powieści to opis obrony Stalingradu przez Rosjan. Jaki talent ten Grossman, jaka siła słowa, a ja go czytać nie mogę. Bo zauważyłem, że w tych wojennych zmaganiach zaczynam kibicować hitlerowcom, a nie Rosjanom. A przecież, jak ktoś pisze o tej powieści, „niemal tysiącstronicowe, monumentalne dzieło wyciągało na wierzch bezsens wojny, brutalność sowieckiego systemu, absurdy i zbrodnie stalinizmu. Zrównywało wręcz nazizm z komunizmem". To, że czytać tego jednak nie mogę, to znak, jak nam zalazł za skórę najazd Rosji na Ukrainę, obudziły się demony przeszłości. Straszne i niewybaczalne, co zrobił Rosji Putin. A przecież Grossman był ofiarą stalinizmu, o mało nie stracił życia za to, co pisał. Uratowała go zapewne śmierć Stalina. Powieść nie ukazała się za jego życia. Nie ukazała się w Związku Radzieckim. Gdy się odważył starać o druk już w okresie odwilży, dygnitarz partyjny powiedział, że ta powieść nie ukaże się prędzej niż za 200 lat. Rękopis w 1961 r., po rewizji, został skonfiskowany przez KGB. Istniała na szczęście ukryta kopia. Sowiecki wysoki urzędnik wprost powiedział Grossmanowi: „Nie czytałem twojej powieści, ale szczegółowo zapoznałem się z jej recenzjami. Patrz, ile mam wypisanych cytatów… Dlaczego mielibyśmy dodać twoją książkę do bomb atomowych, które nasi wrogowie chcą w nas wystrzelić?!". Grossman jest więc ofiarą, a nie oprawcą, a jednak nie mogę.

•

R. od lat męczył mnie na Facebooku, pisząc do mnie listy, czasami niezbyt mądre, ale jakoś się z nim zżyłem. Niedawno jednak ofuknąłem go w gniewie i zerwałem korespondencję, napisał, że trwa inwazja Azji na Polskę, czyli najazd ukraińskich uchodźców. Azja nadal w Polsce jest symbolem czegoś brutalnego i prymitywnego, a też pewnego stanu ducha, który jest zniewolony. Ale jeśli Ukraina jest Azją, to czym są u nas zwolennicy PiS? To również Azja, mamy w sobie potężny ochłap Azji. Nie wypominajmy jej innym, tym, którzy tracą życie, by być Europą.

> Mamy w sobie potężny ochłap Azji. Nie wypominajmy jej tym, którzy tracą życie, by być Europą.

•

Franio idzie z klasą do muzeum Polin. Jakimś cudem panujący nam pisowski reżim nie jest antysemicki. Z rzadka tylko wykorzystuje antysemickie przesądy, dosyć powszechne u starszych, zanikające u młodych. A polityka polska jest bardziej proizraelska niż krajów Europy Zachodniej.

•

Kiedy felieton się ukaże, będzie już wiadomo, czy dostaniemy pieniądze z Funduszu Odbudowy. PiS mówi tak: Polsce należą się te pieniądze jak psu buda, a Unia nie chce nam ich dać, bo chce ograniczyć nam suwerenność, a jak da, to będzie wielki sukces przebiegłej polityki PiS. Pada tu często określenie: „tak zwana praworządność", tego niby chce od nas „tak zwana Unia". A tak zwane jest przecież tylko pisowskie prawo i sprawiedliwość.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Mateusz Mazzini

Głos na stałe

Prawie pół wieku po akcesji irlandzki stał się oficjalnym językiem Unii Europejskiej. Co to zmienia?

„Mówiąc w nim, czuję się wolny. Zdolny do swobodnego wyrażania samego siebie. I żywy, zupełnie jakby przeszywał mnie ogień", powiedział kiedyś o rdzennej mowie Zielonej Wyspy światowej sławy aktor i reżyser Kenneth Branagh. Wprawdzie urodził się w Belfaście, w protestanckiej anglojęzycznej rodzinie, a większość kariery spędził dosłownie i w przenośni w brytyjskiej przestrzeni kulturowej, lecz irlandzki jest mu szczególnie bliski. Sławę zdobywał adaptacjami sztuk Szekspira, to Brytyjczycy nagradzali go prestiżowym wyróżnieniem im. Lawrence'a Oliviera, jednak, jak sam twierdzi, konsekwentnie opiera się przejęciu jego osoby przez anglojęzyczną kulturę i cywilizację.

Tak wyraźna manifestacja miłości do jednego z najstarszych i jednocześnie najbardziej zapomnianych języków Europy zdarza się raczej rzadko, ale przypadek Branagha nie jest odosobniony. W samej pięciomilionowej Republice Irlandii, przynajmniej teoretycznie, zna go dwie trzecie mieszkańców. Do tego należy dodać sporą część obywateli brytyjskich mieszkających w Irlandii Północnej i niemałą globalną diasporę. Irlandzkiego uczy się w szkołach, a największe na wyspie gazety publikują część swoich papierowych wydań w tym języku. Ma to ugruntowanie w historii i tożsamości narodowej. Jak w dziesiątkach innych krajów na świecie zachowanie rdzennej mowy było elementem walki o przetrwanie pod okupacją. Brytyjczycy, których dominację Dublin zrzucił ze swoich barków 101 lat temu, robili wszystko, by mieszkańców wyspy zanglicyzować. Nie było w tym nic dziwnego, to ogólna polityka imperium, stosowana jeszcze od czasów XIX-wiecznego premierostwa Benjamina Disraelego, twórcy „jednego brytyjskiego nacjonalizmu", jak nazywano wtedy oficjalną politykę tożsamościową Londynu. Irlandzki przetrwał mimo to w klasztorach, na tajnych kompletach, w opowieściach ludowych. A przede wszystkim pod lufami strzelb IRA, która do języka przywiązana była nad wyraz.

To wszystko jednak głęboki rys historyczny. Anglików może i dalej tu się nie znosi, ale okupantami raczej nikt ich nie nazywa. IRA podpisała porozumienia pokojowe i nawet jeśli sporadycznie podpala barykady na ulicach Belfastu lub zabija dziennikarzy śledczych, to o zbrojnej reunifikacji obu Irlandii nie mówi się już nawet w żartach. Irlandzki ma status języka oficjalnego, chociaż według danych rządu Republiki na co dzień posługuje się nim zaledwie 70 tys. osób.

Przez lata zresztą rząd w Dublinie traktował irlandzki jako historyczne zobowiązanie połączone z polityczną koncesją wobec radykałów. Wprowadził go do szkół, dotował irlandzkojęzyczne stacje telewizyjne i radiowe, ale nigdy nie inwestował w niego powyżej pewnej granicy. Dr Pádraig Ó Laighin, rzecznik prasowy Stádas, organizacji społecznej prowadzącej kampanie na rzecz popularyzacji irlandzkiego, powiedział nawet kilkanaście lat temu, że rząd wobec rdzennego języka wyspy zachowuje się nie fair.

To Stádas była przez dekady najgłośniejszym adwokatem praw mniejszości mówiącej po irlandzku – nie tylko na forum krajowym. Komentarze o zachowaniu nie fair odnosiły się bowiem również do niedomkniętej sprawy statusu tego języka we Wspólnotach Europejskich. Irlandia dołączyła do nich w 1973 r., ale ówczesnym władzom nie zależało, by irlandzki natychmiast stał się oficjalnym językiem Wspólnot. Dublin zadowolił się pozycją „języka traktatowego". Oznacza to w praktyce, że na irlandzki tłumaczone były tylko unijne traktaty, czyli w przeważającej większości dziś już dokumenty historyczne. Bieżące publikacje, akty prawne czy transkrypcje posiedzeń nie miały irlandzkiej wersji językowej, mieszkańcy i politycy z Republiki Irlandii

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

musieli się zadowolić angielskim. Stádas, która powstała w pierwszej dekadzie XXI w., pierwsze kampanie poświęciła właśnie kwestii unijnej. W 2004 r. aktywiści zorganizowali nawet demonstrację w centrum Dublina. Na ulicę wyprowadzili 5 tys. osób domagających się przekwalifikowania irlandzkiego z języka traktatowego na urzędowy. Wielkiego sukcesu nie odnieśli, przynajmniej nie od razu. Demonstracja przeszła kompletnie bez echa – m.in. dlatego, że Dublin, miasto w dużej mierze projektowane pod okupacją, nie ma porządnej przestrzeni w centrum, na której dałoby się demonstrować i zostać zauważonym ze swoimi postulatami.

Lepiej poszło przygotowywanie petycji. 80 tys. osób podpisało się pod apelem w sprawie nadania irlandzkiemu statusu oficjalnego języka unijnego. Przy czym ludziom pokroju Ó Laighina nie chodziło tylko o tradycję, a dokładniej tylko o przeszłość. Gdyby irlandzki stał się jednym z 24 oficjalnych języków we Wspólnocie, oznaczałoby to konieczność regularnego przekładu tysięcy stron dokumentów. Tego z kolei nie da się zrobić bez armii tłumaczy.

Przez lata to deficytem personelu usprawiedliwiano przeciąganie się zmiany statusu. Po publikacji petycji władze w Dublinie nie mogły już tematu ignorować, ówczesny premier Bertie Ahern zwrócił się więc do Brukseli z prośbą o podniesienie rangi irlandzkiego. Zmiana formalnie nadeszła w 2007 r., lecz do regularnego obiegu język wszedł od 1 stycznia 2022 r. Skąd ta 15-letnia dziura?

Thomas Byrne, dzisiejszy minister ds. europejskich, rozkładał jeszcze niedawno ręce, bezradnie stwierdzając, że brakuje odpowiedniej liczby tłumaczy kompetentnych na tyle, by pracowali z tekstami powstałymi na forum międzynarodowym. Ale pytanie o przyczynę takiego stanu rzeczy to trochę pytanie o jajko i kurę. Obrońcy języka twierdzili bowiem, że taka sytuacja jest rządowi na rękę, choć to on jest winny. Z jednej strony, zaspokaja żądania tradycjonalistów, uzyskując od Unii zgodę na zmianę statusu. Z drugiej – nie zapewnia odpowiednich nakładów na edukację, przez co tłumacze nie kształcą się w kierunku irlandzkiego, a to skutkuje wakatami i niemożnością wprowadzenia irlandzkiego na stałe do unijnego repozytorium językowego. Wilk teoretycznie syty, a owca – czyli stabilność kruchego politycznego status quo – też ma się nie najgorzej.

W liczącej 5 mln obywateli Republice Irlandii język irlandzki zna dwie trzecie mieszkańców.

Skąd więc zmiana akurat teraz? Znowu – Dublin twierdzi, że ma wreszcie odpowiednią liczbę tłumaczy. A dokładniej 170 już pracujących w Brukseli, do których jeszcze przed końcem roku dołączyć ma 30 kolejnych. Istnieje też hipoteza wskazująca większą (tym razem) sprawczość w kwestii językowej samej Unii. Uznanie irlandzkiego za język oficjalny może być odebrane jako danie prztyczka w nos Londynowi po trwającym kilka lat burzliwym rozwodzie ze Wspólnotą Europejską. W momencie gdy rdzenny język Irlandczyków zostaje zrównany z innymi europejskimi, a więc i z angielskim, o żadnej dalszej anglicyzacji Irlandii nie może być mowy, przynajmniej w warstwie symbolicznej.

Londyn na wszelkie wzmocnienia regionalnych tożsamości spogląda z dużym niepokojem.

Zmiana statusu tego języka, mimo wszystko niszowego, przeszłaby pewnie bez echa, gdyby nie ostatnie wybory w Irlandii Północnej. Wraz ze zwycięstwem Sinn Féin w tej części Królestwa Brytyjskiego wrócił temat ewentualnego połączenia dwóch Irlandii. Liderzy lewicowo-nacjonalistycznej partii, choć rządu jeszcze nie sformowali, już mówią, że referendum zjednoczeniowe możliwe jest w perspektywie najbliższych pięciu lat. Jeśli rzeczywiście do niego dojdzie, język będzie zapewne jednym z kampanijnych oręży. I to nie tylko w kontekście Irlandii. W Republice jego obecność jest już znormalizowana. Wciąż bardzo sztuczna, ale nikogo nie dziwi. Każde wydanie „Irish Timesa", największej na wyspie gazety, zawiera dwie kolumny po irlandzku.

Takiego luksusu nie ma prawie stutysięczna mniejszość w Irlandii Północnej, która deklaruje zdolność biegłego komunikowania się w tym języku. Irlandzki jest oczywiście prawnie chroniony również w Wielkiej Brytanii, a ochronę tę wzmocniła decentralizacja wprowadzona przez rząd Tony'ego Blaira w 1997 r. Społecznie czy kulturalnie nie odgrywa jednak takiej roli jak za południową granicą. Dość powiedzieć, że BBC, które w Irlandii Północnej ma dwa kanały telewizyjne i dwa radiowe, z Belfastu nadaje wyłącznie po angielsku (irlandzki ma swoje miejsce w pojedynczych, krótkich programach).

Londyn z oczywistych względów na wszelkie wzmocnienia regionalnych tożsamości spogląda z dużym niepokojem. Irlandzki należy przecież do języków celtyckich, jest pokrewny z gaelickim Szkotów (choć występują między nimi znaczące różnice). Aż do połowy XVII w. oba kraje używały zresztą standaryzowanego formatu literackiego dla gaelickiego, dopiero współczesność odsunęła je od siebie. W Szkotach jednak, w przeciwieństwie do Irlandczyków, ogień niepodległości płonie silniej, a szanse na zwycięstwo independentystów w ewentualnym drugim referendum byłyby niemałe. Może więc się okazać, że Disraeli, jednocząc 150 lat temu Wielką Brytanię wokół flagi, języka i imperialnej tożsamości, dobrze rozpoznał ryzyko dla Londynu. Królestwo mogą ostatecznie dobić demony przeszłości. Nawet jeśli nikt nie będzie rozumiał ich mowy.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Koniec pracy w bólu?

Hiszpania może się stać pierwszym krajem europejskim, który udzieli płatnego urlopu osobom cierpiącym podczas miesiączki

Tomasz Skowronek

„Dosłownie nie mogę się wyprostować. Zawsze w pracy mówię to samo: jeśli chcą, żebym przyszła, będę się czołgać – opowiada Paloma Delgado, która na bolesne miesiączki cierpi od 16. roku życia. – Nikt, kto nie przechodzi przez to samo, nie wie, jak to jest tracić jeden dzień życia każdego miesiąca z powodu bólu i przez kolejne trzy lub cztery zwijać się z bólu". Paloma dodaje, że dzięki ustawie w końcu nie będzie wzbudzać sensacji, kiedy raz w miesiącu poprosi pracodawcę o zwolnienie z powodu bólów miesiączkowych.

Połowa populacji kobiet miesiączkuje mniej więcej co 28 dni przez ok. 40 lat. Wiele z dyskomfortem i bólem. Nie wiadomo dokładnie ile, ale szacuje się, że ok. 15% odczuwa na pewnym etapie ból nie do opisania, zwłaszcza we wczesnych latach życia i przed urodzeniem dziecka.

Paloma cierpi na endometriozę – kiedy endometrium, tkanka wyściełająca wnętrze macicy, wyrasta poza nią, ból jest wręcz nie do wytrzymania. „Aż dziwne, że nikomu wcześniej nie przyszło do głowy, żeby taką ustawę wprowadzić", mówi 36-latka, odwołując się do projektu, którym zajmuje się Ministerstwo Równości. Akt prawny ma dotyczyć aborcji, ale przewiduje również urlop menstruacyjny. Jeśli ustawa zostanie zatwierdzona, osoby doświadczające bólu miesiączkowego będą miały prawo do trzech-pięciu dni wolnego w miesiącu. W celu oszacowania okresu urlopu wymagana będzie konsultacja lekarska. Chociaż nie wszystkie szczegóły są jasne – trzeba by doświadczać poważnych objawów i prawdopodobnie przedstawić zaświadczenie lekarskie, aby ubiegać się o urlop. Ustawa kosztowałaby rząd hiszpański ok. 24 mln euro rocznie.

Według „International Journal of Environmental Research and Public Health" od 60% do 90% kobiet na całym świecie cierpi na bolesne miesiączkowanie (skurcze i bóle miednicy podczas menstruacji). Szacuje się, że w Hiszpanii sytuacja dotyczy 75% miesiączkujących. „Ważne, aby wyjaśnić, czym jest bolesny okres. Nie mówimy o lekkim dyskomforcie, ale o poważnych objawach, takich jak biegunka, silne bóle głowy i gorączka", wyjaśnia hiszpańskim mediom sekretarz stanu ds. równości i przemocy ze względu na płeć Ángela Rodríguez.

Ginekolodzy i lekarze rodzinni nalegają, aby nie bagatelizować problemu wielu miesiączkujących.

Reformę przygotowała minister ds. równości Irene Montero. W wywiadzie radiowym powiedziała, że jest dumna z tego, że to Hiszpania będzie pierwszym krajem w Europie, który wprowadzi takie przepisy. Jej zdaniem reforma pokazuje, że „państwo jest po stronie kobiet".

Zwolnienia lekarskie z powodu poważnych problemów menstruacyjnych wywołały debatę w kongresie i w mediach społecznościowych. Ginekolodzy i lekarze rodzinni nalegają, aby nie bagatelizować problemu wielu miesiączkujących osób. W rozmowie z agencją informacyjną EFE przewodniczący grupy roboczej Towarzystwa Lekarzy Ogólnych i Rodzinnych ds. Zdrowia Kobiet, Lorenzo Armenteros, stwierdził, że bolesne miesiączki powinny być powodem zwolnienia lekarskiego. „Kobieta ma wystarczającą wiedzę, aby odróżnić, kiedy jej okres jest bolesny i powoduje wyłączenie z życia. Taki urlop kobieta powinna dostawać bez większych problemów", uważa Armenteros.

„Kobieta ma prawo do takiego urlopu, a lekarz ma wystarczające kompetencje, aby w razie potrzeby ocenić, czy zwolnienie lekarskie jest konieczne. Nie chodzi o banalizowanie sprawy", przekonuje José Eduardo Arjona z Hiszpańskiego Towarzystwa Ginekologii i Położnictwa (SEGO). Jak zauważa, za bólami może nie stać żadna widoczna przyczyna, ale może to być również wierzchołek góry lodowej problemów zdrowotnych, takich jak wspomniana endometrioza, mięśniaki macicy, anomalie macicy lub inne patologie hormonalne. „Z medycznego punktu widzenia żadna kobieta nie wyolbrzymia bólu związanego z okresem", podkreśla ekspert, który przyznaje, że lekarze często nie traktują bolesnego miesiączkowania z należytą uwagą, przez co kobiety zaczynają traktować ból jako coś normalnego. „Wiele razy muszę nawet karcić pacjentki i mówić im, żeby nie uznawały bólu menstruacyjnego za coś zwyczajnego", dodaje Arjona.

Niestety, pojawiają się również zastrzeżenia co do projektu ustawy. Część hiszpańskich mediów zwraca uwagę, że polityka urlopu menstruacyjnego jest kontrowersyjna, ponieważ podsyca stygmatyzację i dyskryminację, a projekt staje się przedmiotem intensywnej debaty. Minister gospodarki Nadia Calviño ostrzega, że rozporządzenie może „stygmatyzować kobiety" i stawiać je w niekorzystnej sytuacji podczas

eprasa.pl 108212b8c8

ubiegania się o pracę. Cristina Antoñanzas, zastępczyni sekretarza generalnego jednego z największych hiszpańskich związków zawodowych UGT, także uprzedza, że takie rozwiązanie może wpłynąć na dostęp kobiet do rynku pracy: „Musimy być ostrożni z tego typu decyzjami. Ustawa może skupić się z powrotem na kobietach w kwestii, która odróżnia nas od mężczyzn". Według Nadii Calviño, jeśli sprawa się rozwinie, może to być nowy hamulec w uzyskaniu pracy.

Ten punkt widzenia w pewnym stopniu potwierdza przypadek Japonii, która wprowadziła podobną politykę urlopową w 1947 r., w ramach powojennych reform przemysłowych. Niedawne badanie Nikkei wykazało, że mniej niż 10% kobiet ubiega się tam o urlop menstruacyjny, chociaż ok. 48% ankietowanych czasami chce z niego skorzystać, ale nigdy tego nie zrobiło, chociażby dlatego, że nie chcą się zwracać do swojego szefa, lub dlatego, że tak mało innych kobiet wykorzystuje to rozwiązanie.

Również w krajach europejskich, w których obowiązuje hojna polityka urlopowa, nieczęsto wskazuje się miesiączkę jako powód urlopu. Jak podaje portal dw.de, w Holandii badanie przeprowadzone w 2019 r. wśród ponad 30 tys. Holenderek wykazało, że chociaż 14% wzięło urlop w trakcie okresu, tylko 20% podało prawdziwy powód.

Urlop menstruacyjny jest tylko kwestią czasu.

Zwolnienie chorobowe związane z bolesną miesiączką istnieje od ubiegłego wieku w niektórych krajach azjatyckich – poza wspomnianą już Japonią także w Korei Południowej i Indonezji (największym państwie muzułmańskim). W Europie na razie żaden kraj nie stosuje urlopu menstruacyjnego. We Włoszech w 2016 r. przedstawiono taką propozycję ustawy, ale nigdy nie została ona zatwierdzona. We Francji natomiast jest to przedmiot debaty.

Na Półwyspie Iberyjskim pewne kroki w tym kierunku robią niektóre regiony, np. Katalonia. Pracownice rady miejskiej Girony, którym okres uniemożliwia zjawienie się w pracy, mają możliwość ubiegania się o dodatkowy dzień urlopu. Również w Sabadell Rada Rzeczników jednogłośnie zatwierdziła „zwolnienie na okres", zakładające do 12 dni wolnych w roku dla osób zatrudnionych w urzędzie miasta i w spółkach komunalnych. Przyjęcie ustawy, która sprawi, że w całej Hiszpanii będzie obowiązywał urlop menstruacyjny, jest więc tylko kwestią czasu.

To też przykład zmian, jakie zachodzą w Hiszpanii, obecnie jednym z najbardziej feministycznych krajów w Europie – 14 na 22 ministrów w tamtejszym gabinecie to kobiety. Obecny rząd uczynił prawa kobiet jednym ze swoich sztandarowych haseł. Rozporządzenie, które rząd w Madrycie chce przegłosować, przewiduje nie tylko urlop menstruacyjny, lecz także bezpłatny dostęp do tamponów i podpasek w placówkach oświatowych i więzieniach, aborcję od 16. roku życia bez konieczności uzyskania zgody rodziców i urlop macierzyński od 39. tygodnia ciąży. Nowa ustawa będzie również dążyć do promowania antykoncepcji dla mężczyzn i ograniczenia macierzyństwa zastępczego, zakazując reklamowania się przez zagraniczne agencje, które oferują takie usługi.

„Popieramy feminizm. Kobiety powinny mieć możliwość swobodnego decydowania o swoim życiu", napisał na Twitterze premier Pedro Sánchez zaraz po ogłoszeniu projektu ustawy. Jak więc widać, w Hiszpanii dochodzi do feministycznego przewrotu, który już inspiruje kobiece ruchy na całym świecie. ■

W najnowszym numerze tygodnik „NIE" radzi, gdzie przenieść oszczędności, żeby ochronić je przed inflacją.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

Leszek Konarski

Plurimos annos!

Profesor Aleksander Krawczuk kończy 100 lat

Prof. dr hab. Aleksander Krawczuk (ur. w 1922 r. w Krakowie), nestor polskich historyków starożytności, we wtorek 7 czerwca skończy 100 lat. To dzięki niemu Polacy pokochali czasy starożytne, zaciekawili się historią Grecji i Rzymu. W swoich 100 książkach potrafił w pasjonujący sposób opisać cesarzy rzymskich i greckich bohaterów. Starał się ich nie wybielać ani nie oczerniać, lecz opierać się wyłącznie na faktach. Nie krył, że Juliusz Cezar, podbijając Galię, wyrżnął ponad milion ludzi, zburzył takie metropolie jak Kartagina i Korynt, a wielkie Imperium Romanum stało się przykładem dobrobytu i praworządności poprzez morze przelanej krwi. Z tych zbrodni powstało coś, co dzisiaj wszystkim imponuje. Nikt już Rzymianom tych zbrodni nie pamięta, podobnie jak Syryjczykom, Persom czy Mongołom, którzy identycznie postępowali z podbitymi narodami.

To dzięki niemu Polacy pokochali czasy starożytne, zaciekawili się historią Grecji i Rzymu.

Prof. Krawczuk pisze o czasach antyku, ale interesuje się też aktualną polityką, bo sam aktywnie uczestniczył w życiu publicznym jako minister kultury w rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego w latach 1986-1989 oraz poseł I i II kadencji Sejmu z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Na łamach PRZEGLĄDU wielokrotnie ubolewał nad stanem współczesnych badań historycznych, uzależnianiem ich od aktualnej polityki, dzieleniem narodowych bohaterów na „naszych" i „waszych". Przypominał, że tak jak cesarze rzymscy mieli swoich dobrze opłacanych historyków, którzy za pieniądze wychwalali ich pod niebiosa i porównywali do bogów, dzisiaj władza ma swoich historyków, którzy z tych samych powodów potrafią zmieniać historię.

Żadna z moich kilku rozmów z prof. Krawczukiem opublikowanych w PRZEGLĄDZIE nie dotyczyła czasów starożytnych, zawsze rozmawialiśmy o najnowszej historii Polski. W 1985 r. zapytałem prof. Krawczuka, jak ocenia naszą politykę wschodnią, stosunek do Ukrainy, Białorusi, Rosji. Myślę, że warto dzisiaj, gdy w Ukrainie trwa wojna, przypomnieć kilka jego spostrzeżeń sprzed lat, gdy jeszcze istniał Związek Radziecki. Wywiad ukazał się w miesięczniku „Kontrasty" (1985, nr 4). Oto kilka cytatów z tej rozmowy.

Polskie kompleksy

Tragedia naszej polityki zagranicznej polega na tym, że nigdy nie potrafiliśmy być takim normalnym krajem środkowoeuropejskim, targały nas kompleksy. Zawsze w stosunku do terenów Wschodu uważaliśmy się za Zachód, a Zachód uważał nas za państwo leżące na wschodzie Europy. Byliśmy niby-Zachodem i niby-Wschodem. Mieliśmy kompleksy niższości wobec Zachodu i wyższości wobec Wschodu.

Traktowanie sąsiadów

Do mieszkających na Wschodzie Słowian mieliśmy zawsze sporo niechęci, a nawet pogardy. Polak na tych terenach kojarzył się zawsze ze szlachcicem, a Białorusin czy Ukrainiec to chłop. Chcieliśmy ich tylko trzymać w ryzach, narzucić nasz obrządek religijny, język. Niestety, tego zrobić nam się nie udało, bo prowadziliśmy złą politykę. Nie potrafiliśmy ich uznać za współgospodarzy. Zawsze chcieliśmy być warstwą panującą i przyniosło to fatalne skutki. Szczelina pomiędzy naszymi słowiańskimi narodami pogłębiała się coraz bardziej i wszystko prowadziło do bardzo ostrych konfliktów etnicznych.

Podziały religijne

Nie potrafiliśmy się dogadać ze Wschodem w sprawie Kościoła unickiego, którego zadaniem było jednoczenie chrześcijan ze Wschodu i z Zachodu. Unia mogłaby doprowadzić w gruncie rzeczy do wielkiej wygranej sprawy polskiej i stworzyć formułę współistnienia Kościołów. Kościół unicki był przecież związany z Watykanem, ale zachował swoją odrębność. Dlatego zawarcie unii byłoby rodzajem pomostu między jednymi i drugimi. Niestety, pycha polska, która obok snobizmu jest naszą wadą, nie pozwoliła nam na takie rozwiązanie. Rzecz rozbiła się głównie o zrównanie w prawach biskupów unickich z biskupami katolickimi, choć przecież jedni i drudzy należeli do tego samego Kościoła. Skutki tego braku porozumienia w polsko-wschodnich kontaktach okazały się katastrofalne. Nastąpiły podziały na sprawy polskie, ruskie, ukraińskie. Skutki tych podziałów odczuwamy do dnia dzisiejszego. Poza pychą i ślepotą nie ma innego sensownego wyjaśnienia, dlaczego nie doszło do pełnego porozumienia. Szansą dla nas był też Kościół narodowy, który miałby z Rzymem tylko stosunki symboliczne – albo jak w krajach anglosaskich zupełną integralność, wtedy nasza postawa wobec Wschodu, jak i wobec wschodnich Kościołów, musiałaby się radykalnie zmienić.

Moim zdaniem Kościół narodowy był ogromną szansą dla Polski, dla kultury i fakt ten pchnąłby na zupełnie inne tory nie tylko nasz kraj, lecz może i zmieniłby dzieje całej Europy Wschodniej. Niestety, Zygmunt August okazał się zbyt słaby

eprasa.pl 108212b8c8

Panie Profesorze, w imieniu całego zespołu tygodnika PRZEGLĄD, z okazji Pana 100. urodzin, życzymy ad multos annos!

do podjęcia takiej decyzji. Ciekawe, że wielki przedstawiciel krakowskiej szkoły historycznej, Michał Bobrzyński, autor „Dziejów Polski w zarysie" i zarazem człowiek głęboko wierzący, nazywa Zygmunta Augusta Hamletem naszych dziejów i ma mu za złe, że nie utworzył Kościoła narodowego. Tam, gdzie wchodziły w grę wielkie problemy narodu i polityki, Bobrzyński na boku pozostawiał swoje sympatie lub antypatie religijne i pisał, co mu dyktował rozum. Główną przyczyną niepowstania w Polsce Kościoła narodowego była kwestia wprowadzenia do liturgii języka polskiego, co dzisiaj jest już faktem, choć stało się to z opóźnieniem kilku wieków. W łacinie szlachta widziała symbol swojej wyższości nad Wschodem. Ktoś, kto posługiwał się tym językiem, był równocześnie kimś związanym z zachodnią kulturą, był niemal Rzymianinem.

Przez całe pokolenia mówiło się u nas, że Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa. Gdyby ktoś twierdził, że byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa wobec Turków, to mógłbym z tym się zgodzić, choć właściwie tym przedmurzem byli Węgrzy. Nie byliśmy nigdy przedmurzem chrześcijaństwa od wschodu, gdyż przecież Kościoły unicki i prawosławny to też Kościoły chrześcijańskie. Byliśmy więc tylko najbardziej na wschód wysuniętym obrońcą katolicyzmu. Z jednej strony broniliśmy słowiańszczyzny przed wpływami germańskimi, a z drugiej Kościoła rzymskokatolickiego przed wpływami prawosławia.

Stosunki z Rosją

Nie ma co ukrywać, że nasze wzajemne stosunki nigdy nie były sielanką, choć podejmowano próby, aby z naszych podręczników szkolnych wyeliminować wojny polsko-rosyjskie. Tymczasem właśnie powinniśmy sobie nawzajem powiedzieć całą prawdę. Stosunki te układały się przez wieki wręcz tragicznie. Między nami i Rosją wiekami toczyły się potworne wojny. Ogromne ilości krwi przelano po jednej i drugiej stronie. W narodzie polskim jest bardzo dużo pretensji do Rosjan, łącznie z okresem najnowszym, natomiast Rosjanie mają wiele pretensji do nas. Nasza wzajemna historia to jeden wielki bezmiar cierpień. Po obydwu stronach chcemy jednak pamiętać same tylko zwycięstwa. Któż z nas chce wiedzieć, co działo się po zajęciu Moskwy przez polskie wojska? A taki Cudnów na Ukrainie, gdzie w 1660 r. tak wymanewrowaliśmy armię rosyjską, że musiała się poddać. Podpisaliśmy z Rosjanami układ, na mocy którego po złożeniu broni mieli być eskortowani do Kijowa. Tymczasem po podpisaniu układu zostali częściowo wymordowani, a częściowo sprzedani Tatarom.

Nie ma o tym w naszych podręcznikach szkolnych, a Rosjanie o tym wiedzą. Uraz było sporo po obydwu stronach, ale musimy sobie zdać sprawę, że choć wojny polsko-rosyjskie trwały przez tyle wieków, okazało się, że ani my nie byliśmy w stanie ujarzmić Rosji, ani ona nas. Nie powiodły się też w XIX w. wszelkie próby złamania polskości. Mniejszy naród nie pokonał wielkiego i wielki nie dał rady mniejszemu. ■

FOT. LESZEK KONARSKI

eprasa.pl 108212b8c8

Zostały tylko zgliszcza

W Sielcach nad Oką spłonął sztab kościuszkowców

August Grabski

26 maja 2022 r. w Sielcach nad Oką (w obwodzie riazańskim Federacji Rosyjskiej) doszczętnie spłonął historyczny budynek sztabu 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki powstałej w tym miejscu w 1943 r. Niewątpliwie pożar należy wiązać z fatalnymi relacjami polsko-rosyjskimi. Nieznane są jeszcze okoliczności, w których do niego doszło. Śledztwo prowadzi i sprawców poszukuje prokuratura. Budynek sztabu kościuszkowców miał w najbliższym czasie zostać poddany renowacji i stać się miejscem edukacji historycznej pod nazwą Sztab Pamięci Polskiej. Autorem tej inicjatywy był Jerzy Tyc, przewodniczący Stowarzyszenia Kursk działającego od 2008 r.

Budynek sztabu kościuszkowców miał zostać poddany renowacji i stać się miejscem edukacji historycznej pod nazwą Sztab Pamięci Polskiej.

Zaledwie kilkanaście dni przed pożarem, 14 maja, rozpoczął się kolejny etap tego projektu. Data została wybrana świadomie, gdyż 79 lat wcześniej gen. Zygmunt Berling wydał rozkaz organizacyjny dający początek sformowaniu 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Odjeżdżając ze sztabu, Jerzy Tyc przybił na ścianie budynku wiązankę w polskich barwach, by dać znać, że ktoś o tych żołnierzach pamięta. Obecnie realizacja projektu stanęła pod znakiem zapytania.

Wyrzuceni poza nawias historii

Wojenne doświadczenie Polski różni się od doświadczenia wielu krajów Europy Środkowo-Wschodniej tym, że Polska nie zdecydowała się na kolaborację z III Rzeszą, a jej żołnierze nie walczyli po stronie Hitlera. Co więcej, polscy żołnierze u boku Armii Czerwonej zdobyli w maju 1945 r. Berlin. Nie mogą tym się pochwalić Słowacy, Węgrzy czy Rumuni. Kto wie, gdyby mogli – może w ich stolicach na centralnych placach widzielibyśmy dziś pomniki ich zdobywców Berlina? To tylko spekulacja, ale pokazuje, jak dziwny jest wstyd polskiego państwa wobec faktu, że po zwycięskiej stronie walczyło w szeregach Ludowego Wojska Polskiego 370 tys. żołnierzy. Polskie straty przekroczyły 50 tys. osób – zabitych, rannych, zaginionych. Straty zadane przez tzw. berlingowców Niemcom szacowane zaś są – znów sumując zabitych, rannych i zaginionych – na 60 tys.

Od lat w mainstreamowych mediach słyszymy o kolejnych rocznicach bitwy pod Monte Cassino czy wyzwolenia Bredy przez gen. Maczka. Tymczasem o bitwie pod Lenino, walkach na Wale Pomorskim i operacji berlińskiej cicho jak makiem zasiał. Z historii Polski wykreślono więc setki tysięcy żołnierzy, a ich synów i wnuków zawstydzono. W tym samym czasie państwo polskie pośmiertnie awansuje i nagradza różnych „Szarych", „Burych", „Łupaszków" i „Huzarów" – odpowiedzialnych za mordowanie cywilów, w tym kobiet, dzieci i starców.

Rzecz jasna, historia LWP związana jest z projektem politycznym polskich komunistów, którzy uważali, że bez sojuszu ze Związkiem Radzieckim (aprobującego powrót do granic piastowskich) i radykalnych reform Polska byłaby tworem o terytorium Księstwa Warszawskiego, na dodatek zacofanym. I oczywiście miara sukcesów w zakresie odbudowy, uprzemysłowienia, rozwoju oświaty, kultury itp. Polski Ludowej musi budzić gniew prawicy, zważywszy na archaiczność i niedorozwój społeczny II RP. Jednak skala niechęci do LWP doprawdy zadziwia. Wszak tysiące kościuszkowców czy berlingowców to ci, którzy „nie zdążyli do Andersa", którzy przeszli przez stalinowskie łagry, którzy chcieli zamienić mundur radziecki na polski, którzy w swej masie uczęszczali na katolickie nabożeństwa, nie wstąpili do PPR itp. Całkowicie można by wyobrazić sobie potępienie komunizmu połączone z akceptacją zwykłych żołnierzy LWP, tak jak Polska Ludowa zaakceptowała w szeregach ZBoWiD większość akowców i kręciła filmy o bohaterstwie powstańców warszawskich (potępiając dowódców powstania).

Tyle że taki zabieg w wykonaniu polskiej prawicy jest dziś niemożliwy. Byłby bowiem zbyt propaństwowy, jednoczący społeczeństwo, gdy jest ono pogrążone w fanatyzmie ideologicznym i partykularyzmie. Byłby to zabieg przedkładający realia geopolityczne nad serwilistyczną wizję przedmurza Zachodu.

eprasa.pl 108212b8c8

Pod koniec maja w Sielcach nad Oką spłonął historyczny budynek sztabu 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki (nz. warta przed sztabem w 1943 r.).

Pod prąd nacjonalistycznego hejtu

Stowarzyszenie Kursk jest małą inicjatywą, której daleko do bycia szerokim ruchem społecznym. Na Facebooku ma nieco ponad 4,2 tys. obserwujących, a więc stosunkowo niewielu. Wedle deklaracji w internecie zadaniem stowarzyszenia jest wspomaganie samorządów lokalnych w zakresie opieki nad miejscami pamięci różnych formacji zbrojnych. Zajmuje się więc ono wolontariatem na cmentarzach wojennych w Polsce, remontuje miejsca pochówku oraz inne miejsca pamięci, w tym pomniki. Ponadto przy współpracy z Polskim Czerwonym Krzyżem poszukuje grobów żołnierzy WP i ACz poległych na terenie kraju. Ratuje też przed zniszczeniem pamiątki i zabytki związane tematycznie z różnymi formacjami wojskowymi. W ramach obowiązującego prawa reaguje na wszelkie akty wandalizmu wobec miejsc pamięci, powiadamiając odpowiednie instytucje. Czynnie przeciwdziała zakłamywaniu historii, broni dobrego imienia kombatantów oraz żołnierzy WP i ACz poległych podczas wyzwalania Polski spod hitlerowskiej okupacji.

Bez wątpienia powyższe cele Kurska zawsze czyniły jego działania trudnymi w kraju, gdzie rusofobia została przez prawicę wyniesiona do rangi religii obywatelskiej. Dodatkowo – co wzbudziło zgrozę prawicowych publicystów – Jerzy Tyc otrzymał w 2020 r. rosyjski Medal „Pamięci Obrońców Ojczyzny” za pracę na rzecz edukacji historycznej. Jednak po agresji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę w lutym br. działalność Kurska stała się jeszcze trudniejsza. W nocy z 5 na 6 marca nieznany sprawca oblał farbą pomnik na mogile żołnierzy radzieckich w Działdowie. Po kilku dniach ktoś dopełnił dzieła i narysował na pomniku swastykę. 9 marca doszło do zniszczenia pomnika żołnierzy ACz na cmentarzu komunalnym w Koszalinie. W Olsztynie sprofanowano pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej (pierwotnie nazwany pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej) autorstwa Xawerego Dunikowskiego, malując go i wieszając na nim antyrosyjskie plakaty i banery. W Radomiu, gdzie w 2018 r. Stowarzyszenie Kursk wyremontowało cmentarz żołnierzy radzieckich, 23 marca br. dwa pomniki zostały zdewastowane. W połowie kwietnia na cmentarzu wojennym w Kołobrzegu doszło do kradzieży i zniszczeń w pięciu kwaterach z mogiłami żołnierzy polskich i radzieckich walczących o miasto. Wstępna wycena skradzionych emblematów oraz naprawy zniszczeń to kilkadziesiąt tysięcy złotych.

20 kwietnia zniszczono pomniki w wielkopolskim Międzybłociu (podkreślmy, że ten pomnik upamiętniał głównie poległych żołnierzy LWP) i Siedlcu oraz Garncarsku na Dolnym Śląsku (wyremontowany w 2014 r. przez Kursk). Oczywiście takich ataków na miejsca pamięci w skali całego kraju było jeszcze więcej. Bardzo rzadko lokalne władze poczuwały się do naprawienia strat spowodowanych przez wandali. Ale takie sytuacje również miały miejsce. Władze Katowic usunęły ślady dewastacji cmentarza radzieckiego, do której doszło w weekend 26-27 lutego br.

> Dziwny jest wstyd polskiego państwa wobec faktu, że w czasie wojny po zwycięskiej stronie walczyło w szeregach Ludowego Wojska Polskiego 370 tys. żołnierzy.

Gdzie jest lewica?

Konstruktywne działania Kurska mają charakter niszowy. Dodatkowo bardzo niewiele jest podobnych inicjatyw. Wśród nich warto odnotować np. działania Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej. Miejmy nadzieję, że kontynuowany będzie inny projekt Kurska, mający skupiać w symbolicznej „dywizji” potomków i krewnych żołnierzy walczących w Wojsku Polskim. W sytuacji bierności parlamentarnej „lewicy” dawałby on możliwość aktywizacji tych, dla których ważna jest obrona honoru berlingowców i którzy uważają, że niszczenie grobów i pomników wyzwolicieli Polski spod hitlerowskiej tyranii jest po prostu barbarzyństwem. ■

FOT. STOWARZYSZENIE KURSK, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 108212b8c8

Bohdan Piętka

Świadectwo więźnia nr 6804

Tragedia największej zbiorowej ucieczki karnej kompanii z KL Auschwitz

10 czerwca 1942 r. miała miejsce największa – a zarazem jedna z najtragiczniejszych – zbiorowa ucieczka w historii KL Auschwitz. Podjęta została przez ok. 50 polskich więźniów politycznych osadzonych w karnej kompanii (Strafkompanie, SK) w Birkenau. Przyczyną tego ryzykownego kroku była grożąca im śmierć – w wyniku egzekucji lub brutalnego traktowania przez esesmanów i więźniów funkcyjnych. „Uciekali głównie młodzi ludzie 19-, 20-letni, którzy chcieli dalej walczyć z Niemcami", wspominał po latach jeden z siedmiu uczestników ucieczki, którzy ją przeżyli. Był nim August Kowalczyk, urodzony 15 sierpnia 1921 r. w Tarnawie-Górze (powiat włoszczowski), absolwent liceum w Dębicy, aresztowany na Słowacji podczas próby przedostania się do Wojska Polskiego we Francji i deportowany 4 grudnia 1940 r. z więzienia w Tarnowie do KL Auschwitz, gdzie został więźniem nr 6804.

Karne komando męskie zostało utworzone na początku sierpnia 1940 r. Więźniowie uważali osadzenie w nim za jedną z najsurowszych represji.

Karne komando męskie w Auschwitz zostało utworzone na początku sierpnia 1940 r. Osadzenie w nim, kończące się często śmiercią, było słusznie uważane przez więźniów za jedną z najsurowszych represji w obozie. Trafić tam można było m.in. za zabronione kontakty z ludnością cywilną, próbę ucieczki, posiadanie dodatkowej żywności, odzieży, pieniędzy lub fotografii bliskich osób albo za zbyt powolną, według uznania esesmana lub kapo, pracę. Więźniowie tego komanda byli izolowani od pozostałych. Nie wolno im było kontaktować się z innymi więźniami ani otrzymywać listów. Wykonywali najcięższe prace fizyczne i zwykle musieli robić to w biegu. Podlegali też wyjątkowo brutalnemu traktowaniu ze strony esesmanów i więźniów funkcyjnych. Czas osadzenia w karnej kompanii wynosił przeważnie od miesiąca do roku.

Refren kolczastego drutu

W pierwszych dwóch latach kierowano do niej księży katolickich, polskich więźniów politycznych oraz nielicznych jeszcze w tym czasie w obozie Żydów. Z czasem mógł tam trafić każdy więzień. Początkowo karną kompanię umieszczono w obozie macierzystym KL Auschwitz I – w bloku 3, później w 11. W maju 1942 r. została przeniesiona do bloku 1 na odcinku Blb obozu w Birkenau. Przyczynę tego przeniesienia następująco opisał August Kowalczyk we wspomnieniach „Refren kolczastego drutu. Trylogia prawdziwa": „Pod koniec kwietnia 1942 roku, do Auschwitzu, zjechali przedstawiciele Gestapo z różnych miast na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Przeprowadzili kontrolę losów swoich »klientów«, których w swoim czasie przesłali w celu szybkiej i radykalnej likwidacji. Okazało się, że prawie pół tysiąca tych, którzy już dawno powinni wyjść z obozu przez komin krematorium, radzi sobie w obozie, i to wcale nieźle. Były to przeważnie małe numery, z najwcześniejszych transportów. Obóz organizował się w tym czasie. Poszli więc na tak zwane funkcje i atrakcyjne »posady«. Do kuchni, kartoflarni, kantyny więźniarskiej, esesmańskiej. Pracowali w stajni, gospodarstwie rolnym. W ślusarni, kuźni, stolarni. W biurach obozowych i w koszarach SS. Na funkcjach w blokach mieszkalnych (…). Skwapliwie wyłuskano »szczęśliwców« i wysłano do Karnej Kompanii, oznaczając dodatkowo »czerwonymi punktami« (Rotpunkt). Tak dotychczas oznaczano w SK jedynie Żydów i więźniów szczególnie niebezpiecznych, podejrzanych o chęć ucieczki. W Karnej zaczęło gwałtownie ubywać »Rotpunktów«. Wzywani do obozu macierzystego, więcej już nie pojawiali się w SK. Od kolegów pracujących w administracji dowiedzieliśmy się, że są rozstrzeliwani pod ścianą straceń, na dziedzińcu bloku 11".

27 maja 1942 r. osadzono w karnej kompanii ok. 400 polskich więźniów politycznych, których deportowano do obozu w 1941 i 1942 r. z Warszawy i Krakowa (przeważnie byli to żołnierze polskiej konspiracji). Ich nazwiska wyczytano na apelu w obozie macierzystym, po czym odprowadzono ich pod eskortą esesmanów do Birkenau. Następnego dnia dołączono do nich 20 więźniów skierowanych z aresztu obozowego w bloku 11 obozu macierzystego. Znajdował się wśród nich więzień nr 6804, który do aresztu obozowego trafił 13 maja za utrzymywanie kontaktów z ludnością cywilną wraz z trzema innymi więźniami komanda Bodenwirtschaftsdienst z podobozu oświęcimskiego Buna (Monowitz) w Monowicach.

Już podczas śledztwa w wydziale politycznym (obozowa placówka gestapo) esesman Gerhard Lachmann zakomunikował Kowalczykowi, że zginie w karnej kompanii. W dniu skierowania do Birkenau

eprasa.pl 108212b8c8

August Kowalczyk, po wojnie aktor, przez lata występował z monodramem „6804" o swoich obozowych przeżyciach. Ostatni raz zagrał go 10 czerwca 2012 r. na terenie byłego KL Auschwitz II-Birkenau.

grupy 20 więźniów z aresztu obozowego podoficer raportowy Gerhard Palitzsch odczytał każdemu z nich wyroki komendanta obozu. Więzień nr 6804 dowiedział się, że za kontakty z cywilami został skazany na dożywotni pobyt w karnej kompanii, a za posiadanie kwoty pieniędzy niezgodnej z regulaminem na karę chłosty – dwa razy po 25 uderzeń kijem. „Skończyły się marzenia o przeżyciu", podsumował to Kowalczyk we wspomnieniach.

Nie tylko więzień nr 6804 nie wątpił, co go czeka – żaden ze skierowanych do karnej kompanii 27 i 28 maja 1942 r. nie miał złudzeń. Ich obawy potwierdziły się bardzo szybko. 4 czerwca 1942 r. wydział polityczny wezwał z Birkenau do obozu macierzystego 12 więźniów karnej kompanii, osadzonych w niej 27 maja, pochodzących z Warszawy i okolic. Wprowadzono ich do bloku 11, a następnie pomiędzy godz. 15.00 a 15.30 wyprowadzono na dziedziniec bloku 11 i rozstrzelano pod Ścianą Straceń. Byli to: Mirosław Mirowski (nr 12401), Włodzimierz Makaliński (nr 12710), Bolesław Penta (nr 13337), Tadeusz Łącki (nr 16818), Franciszek Jarzyna (nr 16859), Hieronim Klepacki (nr 16897), Jarema Fediw (nr 18390), Stefan Kunka (nr 18484), Stanisław Maliszewski (nr 18504), Stanisław Mucha (nr 18526), Stanisław Paderewski (nr 18554) i Witko Skiepko (nr 18615). Ich zgon potwierdził lekarz SS Friedrich Entress, podając jako przyczynę śmierci „nagły atak serca" (*plötzlicher Herztod*).

Ucieczka na gwizdek

Następna egzekucja więźniów osadzonych w karnej kompanii pod koniec maja odbyła się 6 czerwca. Pod Ścianą Straceń zginęło wtedy dziewięciu Polaków z Warszawy: Stanisław Czech (nr 11227), Franciszek Czerniak (nr 11235), Włodzimierz Goliński (nr 11248), Władysław Joniec (nr 11257), Władysław Jarosz (nr 11258), Zbigniew Kotowski (nr 11264), Aleksander Radomski (nr 12547), Zygmunt Kalinowski (nr 18799) i Feliks Końca (nr 22841).

W tej sytuacji ich koledzy postanowili ratować się ucieczką. Karna kompania wychodziła do pracy niedaleko poza obóz w Birkenau. Kopała tam rów melioracyjno-odpływowy, który miał połączyć obóz w Birkenau z płynącą nieopodal Wisłą, nazwany przez esesmanów rowem królewskim (Königsgraben). Stamtąd więźniowie postanowili uciec po sygnale (gwizdku) obwieszczającym koniec pracy i powrót do obozu. Kommandoführerem karnej kompanii był SS-Hauptscharführer Otto Moll (późniejszy szef krematoriów w obozie Birkenau, odpowiedzialny za akcję masowej zagłady Żydów w komorach gazowych). „Praca pod jego nadzorem staje się zabójcza. Mnożą się morderstwa popełniane na słabych, wycieńczonych więźniach", napisał August Kowalczyk.

10 czerwca 1942 r. rozegrał się dramat. Zgodnie z planem ucieczka miała się rozpocząć na sygnał wieczornego zakończenia pracy. Jednakże z powodu silnej ulewy Moll zarządził wcześniejszą przerwę w pracy. Miało to miejsce około godz. 16.30. Jego gwizdek wprowadził zamieszanie wśród więźniów, ok. 50 rzuciło się do ucieczki. Kilkunastu uciekinierów zawrócili więźniowie funkcyjni (kapo). Esesmani podjęli natychmiastowy pościg, podczas którego strzelali do uciekających seriami z pistoletów maszynowych. Schwytali dwóch więźniów: Tadeusza Pejsika (nr 12549) i Henryka Pajączkowskiego (nr 22867). Dostarczono ich do obozu macierzystego i osadzono w areszcie obozowym w bloku 11. 8 lipca 1942 r. zostali

Więźniowie komanda wykonywali najcięższe prace fizyczne i zwykle musieli robić to w biegu.

eprasa.pl 108212b8c8

powieszeni w pierwszej egzekucji publicznej w obozie macierzystym.

Pozostałych więźniów karnej kompanii, którzy na skutek dezorientacji nie podjęli ucieczki, esesmani popędzili z powrotem do obozu w Birkenau i ustawili do apelu pomiędzy barakami nr 1 i 2 na odcinku BIb. Wkrótce przez bramę wniesiono tam zwłoki 13 więźniów zastrzelonych podczas ucieczki. Byli to: Mieczysław Kawecki (nr 3673), Julian Dębieć (nr 9180), Bolesław Pejsik (nr 12540), Stanisław Maringe (nr 12691), Mieczysław Jaworski (nr 13353), Edward Rogaliński (nr 13407), Bogusław Szubarga (nr 13576), Henryk Lachowicz (nr 16809), Antoni Urban (nr 18647), Władysław Pruszyński (nr 19905), Jerzy Neymann (nr 22293), Władysław Skurczyński (nr 22876) i Adam Paluch (nr 27064).

Ucieczka udała się tylko dziewięciu więźniom. Byli to: August Kowalczyk (nr 6804), Jerzy Łachecki (nr 12541), Jan Laskowski (nr 12543), Zenon Piernikowski (nr 12544), Aleksander Buczyński (nr 12754), Józef Traczyk (nr 13323), Tadeusz Chróścicki (nr 16655), Józef Pamrow (nr 22858) i Eugeniusz Stoczewski (nr 22883). Buczyńskiego i Stoczewskiego schwytano 14 czerwca 25 km od obozu. Obaj zostali osadzeni w areszcie obozowym i rozstrzelani miesiąc później – 14 lipca 1942 r.

11 czerwca, po porannym apelu, ponad 100 więźniów z karnej kompanii oznaczonych czarnymi punktami i kilkunastu z czerwonymi punktami wyprowadzono do pracy przy kopaniu Königsgraben. Natomiast ok. 320 więźniów oznaczonych czerwonymi punktami pozostawiono między blokami nr 1 i 2 w przysiadzie z wyciągniętymi przed siebie rękami. Około godz. 10 przyjechał tam kierownik obozu macierzystego SS-Sturmbannführer Hans Aumeier w asyście esesmanów i zażądał wydania organizatorów buntu. Odpowiedzią było milczenie. Wówczas Aumeier wywołał z szeregów 20 więźniów, z których 17 zastrzelił osobiście, a trzech zastrzelił SS-Hauptscharführer Franz Hössler. Pozostali przez kilka następnych godzin musieli zajmować pozycję w przysiadzie z wyciągniętymi rękami, co powodowało duże cierpienie. Po południu dołączono do nich kilkunastu więźniów z czerwonymi punktami, których przyprowadzono ze szpitala więźniarskiego w Birkenau. Z wszystkich więźniów ściągnięto następnie ubrania obozowe i buty, a ręce skrępowano im na plecach drutem kolczastym. Po przybyciu eskorty z SS-Hauptscharführerem Gerhardem Palitzschem na czele wyprowadzono kolumnę ok. 320 więźniów do Bunkra nr 1 (tzw. Czerwony Domek – pierwsza prowizoryczna komora gazowa w Birkenau), gdzie zabito ich gazem. W sumie rozstrzelanych zostało 20, a zagazowanych ok. 320 więźniów karnej kompanii.

Próbę ucieczki podjęło ok. 50 mężczyzn, udało się zaledwie 9.

Kryjówka na poddaszu

August Kowalczyk po dramatycznej ucieczce ukrywał się w zbożu na terenie miejscowości Bojszowy, gdzie został odnaleziony przez okoliczne kobiety. Zapewniły mu one żeńskie przebranie i wskazały miejsce bezpiecznego schronienia. Ukrywały go śląskie rodziny Lysków i Sklorzy przy wsparciu konspiracji przyobozowej. Przez siedem tygodni przebywał w kryjówce na poddaszu domu rodziny Lysków w Bojszowach, a następnie z fałszywymi dokumentami przedostał się do Generalnego Gubernatorstwa. Początkowo znalazł schronienie na zamku w Pieskowej Skale, gdzie pracował w mieszczącym się tam sierocińcu dla dzieci polskich z Wołynia, których rodzice zostali zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich. Później walczył do końca wojny w szeregach AK w powiecie miechowskim.

W 1948 r. zdał eksternistycznie egzamin aktorski i zadebiutował jako aktor teatralny, a potem także filmowy i telewizyjny oraz reżyser. Wykreował 26 ról filmowych, w tym role gestapowców zagrane sugestywnie w „Stawce większej niż życie" i w „Polskich drogach". Przez wiele lat odtwarzał też, zwłaszcza przed młodą publicznością, monodram „6804". Opowiadał w nim o swoich przeżyciach w KL Auschwitz, w tym o buncie i ucieczce karnej kompanii. Ostatnie „6804" August Kowalczyk odegrał 10 czerwca 2012 r. na terenie byłego KL Auschwitz II-Birkenau, w 70. rocznicę buntu, nieopodal miejsca, gdzie do niego doszło. Była to prawdopodobnie jedna z najlepszych, a może najlepsza rola Augusta Kowalczyka w jego długiej karierze aktorskiej, ponieważ grana ze świadomością, że jest to rola ostatnia. Zmarł siedem tygodni później, 29 lipca 2012 r.

Bohdan Piętka

FOT. MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU, IPN

eprasa.pl 108212b8c8

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Ruch ratunkowy

Przyszło w końcu i mnie napisać felieton w pociągu; choć pół życia spędzam jako pasażer, zwykle w pociągach śpię lub czytam po to, żeby zasnąć. Jakąkolwiek książkę bym napoczął, narkolepsja lokomocyjna pokonuje rozkosze lekturowe, co mi od razu przypomina dzieci moje, które w wieku niemowlęcym najłatwiej zasypiały w ruchu – w nosidle, wózku lub wręcz samochodzie. Przejechałem z małym Antosiem całą Polskę we własnym mieszkaniu, pchając wózek dokoła kuchni, bo na malucha nie działały żadne szumisie ani kołysanki – musiał się przemieszczać, aby odnaleźć błogostan, tymczasem srogie listopadowe wieczory (w Polsce listopad trwa pół roku) nie zachęcały do przechadzek po ciemnym parku. Auta dzisiaj cichutkie w środku, amortyzują wyboje, a i dziur mimo wszystko mniej na drogach niż w czasach gierkowskich, na które przypadło moje dzieciństwo – niestety, cierpiałem w samochodach, mdliło mnie od jazdy, ojciec musiał co chwila przystawać w drodze ze Śląska nad morze, którą sobie rokrocznie poczytywał za wyzwanie wakacyjne jako kierowca polskiego fiata. Cioteczka z miasteczka jodem natchnionego witała mnie niezmiennie, pomstując na moją bladość i słabość, dopiero kiedy stary zafundował mnie i matce kuszetkę, dowiozłem swoje naturalne barwy na kanikułę; odtąd ojciec tłukł się swoim klamotem na kółkach sam, aż w końcu w ogóle zaniechał bałtyckich kąpieli.

Jadę więc i piszę, plecami do kierunku jazdy, cudze lektury podglądam, rozmów nasłuchuję. Polszczyzna w mniejszości, mnóstwo matek Ukrainek z dziatwą, generalnie od kilku miesięcy taki nam obraz się maluje społeczny – Ukraina jest kobietą, uchodźczynią, ofiarą, tymczasem Rosji już nie ma wcale – są Rosjanie rodzaju męskiego, żołdacy, zwyrodnialcy, armia spoconych samców. Pracują wytrwale na wizerunek współczesnych Hunów, nie tylko jako wojsko bezlitosne i bezmyślne, gwałcące i grabiące wszystko, czego nie spopieli, ale czyniąc wrogiem także kulturę: teraz okazuje się, że Ruscy strzelają do bibliotek. To już nawet nie skrajny przejaw bibliofobii, ale okrutny dowód w sprawie – przyszli barbarzyńcy, zapewne wielu spośród nich to analfabeci, nieuświadomiona biedota wiejska albo miejska gówniażeria z blokowisk, wszyscy jednakowo podatni na propagandę i oporni na wiedzę. Patrzę na pierwszego szczeniaka skazanego za zabicie cywila i nie mogę mu nie współczuć: zapewne gdyby ten dzieciak nie zabił na rozkaz dowódcy, sam zostałby zabity, takie jest bezprawie wojny – w jednej chwili stanął przed wyborem nie tyle życia lub śmierci, ile śmierci albo dożywocia.

Nadzwyczaj łatwo przychodzi masom wydawanie wyroków w cudzej sprawie; media społecznościowe stanowią pole nieustannych samosądów, ludzie mają w sobie nieustającą potrzebę plemiennych podziałów, kłótni i wzajemnych poniżeń, jakby nie potrafili budować swojej wartości inaczej, niż umniejszając drugiego. Wschód żyje wojną narodów, Zachód ekscytowała wojna celebrytów – jak odsądzano od czci i wiary Johnny'ego Deppa na fali #MeToo, uznając, że samo oskarżenie o przemoc jest równoznaczne z czynem, tak teraz sieć dokonuje egzekucji na jego byłej małżonce, bo zarzuty okazały się wyssane z palca. Tym samym w swoim czasie oboje ponieśli karę, choć tylko jednemu z dwojga udowodniono winę. Metoda „na przemoc domową" jest niestety częstym nadużyciem – pozwala na błyskawiczne pozbycie się z domu współmałżonka, ale i na założenie mu sprawy karnej, grożącej wieloletnim więzieniem, nawet wyłącznie na podstawie pomówień. Wyrok uniewinniający po kilku latach procesu nie przywróci utraconej czci, opinia publiczna nie jest w takich przypadkach cierpliwa ani łaskawa. Każda przemoc jest złem, nie mniejszym jednak niż publiczne zniesławienie. Jadę, dojeżdżam, choć ostatnio najczęściej chodzę – jako ten biegun z powieści Noblistki, który wierzy, że póki jest w ruchu, demony go nie dogonią.

Nadzwyczaj łatwo przychodzi masom wydawanie wyroków w cudzej sprawie.

Chodzę górami i dolinami po kilkadziesiąt kilometrów dziennie, dostałem chodzonki, od której przybywa mi endorfin i ubywa kilogramów, zaczynam rozumieć transowych pielgrzymów, którzy w jakiejś szlachetnej intencji przemierzają pieszo szlaki, z tym św. Jakuba na czele. Moje chodzenie nie ma dedykacji, jest wędrówką autoratowniczą, tym przyjemniejszą, że wciąż ktoś się do mnie przyłącza, choć przecież nie pytam, jak w liceum dziewczęta się zagadywało: „Chcesz ze mną chodzić?". Synek chodzi ze mną np. po to, żeby wykluwać pokemony z jaj dalekobieżnych – najlepsze się wykluwają po 10 km. Przyjaciel chodzi, żeby zaliczać szczyty do jakiejś tam korony turystycznej. Inny chodzi, bo sobie sprawił krokomierz i wzięło go na bicie rekordów. Chodzi o to, by iść.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 108212b8c8

Cała niegodziwość świata

Współczucie dla słabszych – tego uczy film Jerzego Skolimowskiego. On sam uczył się długo i boleśnie. Na własnym przykładzie

Wiesław Kot

Centralną postacią filmu Skolimowski uczynił osiołka o imieniu Io, które wzięło się od radosnego porykiwania tego zwierzaka. Choć po prawdzie osiołek ma wyjątkowo mało powodów do radości. Spotykamy go w cyrku, gdzie biciem i szykanami przyuczany jest do estradowego fachu, z którego niewiele rozumie. Od tej męczarni uwalniają go wkrótce prozwierzęcy aktywiści, którzy zamierzają go oddać w tzw. dobre ręce. Problem w tym, że dobrych rąk po prostu nie ma. W kolejnych odsłonach historii okazuje się bowiem, że ludzie o bardzo różnej pozycji społecznej, wykształceniu i kulturze zdradzają zadziwiająco zbieżne poglądy w kwestii zwierząt. To dla nich albo maszyny, zdatne jedynie do wykonywania najprostszych prac – gdy się zepsują, po prostu wyrzuca się je i nabywa nowe. Albo szkielety obrośnięte mięsem i tu trzeba zrobić wszystko, żeby tego mięsa wyhodować na kościach jak najwięcej. Zwierzęta bywają poza tym dawcami niewyszukanej rozrywki, jak w cyrku, w zoo czy w trakcie polowania.

Tak czy owak, do ludzkiej świadomości bardzo rzadko przebija się myśl, że to istoty czujące, mające własny „psychiczny świat", i traktowane bywają zaskakująco nierówno. Ulubionego psa czy kota właściciel potrafi hołubić, dogadzać mu na setki sposobów, ale wobec zwierząt rzeźnych czy koni, wołów i osiołków roboczych człowieka stać jedynie na brutalną eksploatację i pogardę. Z rzadka budzi się w nas nutka współczucia. W filmie zdobywa się na nie tylko podrzędna cyrkówka – może dlatego, że sama wegetuje na marginesie. A także uczniowie ze szkoły dla dzieci z niepełnosprawnościami, ponieważ osiołek jest wobec nich o wiele bardziej przyjazny i rozumiejący niż większość ludzi.

Ta franciszkańska nuta współczucia wobec „braci mniejszych" odzywa się w kinie raz po raz, choć stanowczo zbyt rzadko. O wiele częściej oglądamy zwierzęta w filmach przyrodniczych, gdzie kamera podpatruje z podziwem ten ich osobny świat. A dzieciaki widują zwierzęta w pogodnych animacjach, gdzie te zachowują się i mówią jak ludzie. Trudno więc stąd wyciągnąć naukę, że są to jednak odrębne byty, którym należy się zrozumienie i szacunek dla ich odmienności.

Sam Jerzy Skolimowski podobno wzruszał się do łez, kiedy oglądał jeszcze w połowie lat 60. film francuskiego klasyka Roberta Bressona „Na los szczęścia, Baltazarze!". Tutaj reżyser, który nieustannie zmagał się z zakłamaną religijnością własnego kraju, świętym uczynił osiołka. Nieskończenie cierpliwe, pracowite zwierzątko przechodzi z rąk do rąk, w każdych traktowane jak rzecz, ze wzgardą i agresją. W jego ogromnych, smutnych oczach odbijała się cała niegodziwość świata.

Essential Skolimowski

Może komuś takiemu jak Skolimowski łatwiej wczuć się w niedolę zwierzaka, bo sam szedł przez życie nieźle poobijany? Z okupacji spędzonej w łódzkiej kamienicy wyniósł klaustrofobię – rodzice rzadko wypuszczali go z mieszkania, żeby nie rozgadał, że przechowują w szafie Żydów, którzy uciekli z getta. W dodatku trzykrotnie zapadał wtedy na zapalenie opon mózgowych, po chorobach została mu „ciężka mowa", do dziś się zacina. Tatę Niemcy zagazowali na Majdanku, z matką nigdy nie czuł szczególniejszych więzi. Zresztą zaraz po wojnie odsyłała chłopca do kolejnych prewentoriów, byle pozbyć się go z domu – sama zajęta pracą na odcinku likwidowania analfabetyzmu. Jerzy trochę chuliganił (notowany i zatrzymywany przez MO) i żył raczej bezcelowo. A to próbował się dostać na akademię sztuk pięknych, a to boksował w klubie Sparta. No i pisał. Wydali mu mroczne wiersze w tonacji prozy Marka Hłaski i dzięki temu został nawet najmłodszym członkiem Związku Literatów Polskich.

> Skolimowski chciał kręcić filmy o ludziach takich jak on sam. Żyjących z dnia na dzień, bez jasnego celu i dla kilku prostych przyjemności.

Wreszcie łódzka Filmówka. I tutaj wiedział już, czego nie chce kręcić, a co jest tematem stworzonym dla niego. Otóż nie chciał kręcić – wbrew narzucanej w latach 60. odgórnej modzie – filmów o wojnie. Natomiast bardzo chciał kręcić o ludziach takich jak on sam. Żyjących z dnia na dzień, bez jasnego celu i dla kilku prostych przyjemności. Kiedy Andrzej Wajda przygotowywał film „Niewinni czarodzieje" o młodych Polakach roku 1960 i dał młodemu adeptowi reżyserii Jerzemu Skolimowskiemu tekst do konsultacji, ten z wysokości swoich dwudziestu kilku lat orzekł, że to stek bzdur. I w ciągu jednej nocy przerobił historię tak, by trzymała się realiów z Kercelaka, z Bazaru Różyckiego i z Hali Mirowskiej. Wajdzie ten temat nie leżał, nie rozumiał i nie czuł młodzieży epoki „naszej małej stabilizacji". „Niewinnych czarodziejów" uważał

eprasa.pl 108212b8c8

Jerzy Skolimowski za film „Io" otrzymał nagrodę jury festiwalu w Cannes.

za film nieudany i nawet wiedział dlaczego. „Wtedy otarłem się o człowieka, jakiego potrzebowałem, on się nawet przewinął przez ten film: Skolimowski – konkludował po latach. – To o nim powinien być film, a nie o wymyślonej postaci".

Kiedy jednak sam Skolimowski próbował drążyć temat, nie posunął się za daleko. W 1967 r. nakręcił film o rocznicowym spotkaniu dawnych kumpli ze studiów, którzy zamienili młodzieńcze ideały na płaskie dorobkiewiczostwo i obrali sobie pseudonimy od marek aut, którymi się wożą: Zastawa, Opel Rekord, Wartburg… Władze film zatrzymały, Skolimowski poszedł z interwencją do samego Zenona Kliszki (drugi po Gomułce), odgrażając się, że jeśli nie zwolnią mu tego zatrzymanego, to następnego w Polsce nie zrobi. Kliszko odpowiedział, że „Polska Ludowa jakoś to wytrzyma", a na reżysera jutro czeka paszport. Skolimowski poczuł się dotknięty do żywego, z paszportu skorzystał. Na Zachodzie od razu powierzono „młodemu geniuszowi zza żelaznej kurtyny" duże produkcje komercyjne z gwiazdami rangi Claudii Cardinale. A on przecież nie miał bladego pojęcia, jak wygląda kierowanie dużą zachodnią produkcją

filmową. Bo kto i gdzie miał go tego nauczyć. Producenci szybko się nim rozczarowali.

W latach 90. wrócił do Polski, więcej czasu spędzał jednak na odpoczynku (ostatecznie to rocznik 1936) w wiejskim domku pod Pasymiem na Pojezierzu Olsztyńskim. Przypomniał o sobie – i to szeroko, całemu światu – w roku 2010. Reżyserowaną przez niego międzynarodową produkcję „Essential Killing" na Festiwalu w Wenecji premiowano nagrodą specjalną jury. A składowi przewodniczył Quentin Tarantino. Jedni widzowie podczas projekcji manifestacyjnie wychodzili z kina, a drudzy po seansie bili brawa na stojąco. Skrajne reakcje brały się stąd, że film opowiada o Afgańczyku, który najpierw zabija z przenośnej wyrzutni rakiet trzech Amerykanów, a potem dla ich kolegów staje się zwierzyną łowną. Nie wiadomo, co kierowało afgańskim zabójcą – patriotyzm, misja terrorystyczna, nienawiść do Zachodu. W każdym razie wiadomo, co kieruje amerykańskimi „mścicielami" – to żądza mordu, *essential killing*. I po przeszło dekadzie Skolimowski na tegorocznym Cannes został nagrodzony za podejmowanie równie niepokojącego zagadnienia moralnego.

Nasze Palmy. Złote, srebrne i inne

W Cannes nasze kino nagradzano dość często, choć z doskoku. I to niemal od początku. Na przykład Daniel Olbrychski grał aż w dziesięciu filmach pokazywanych na festiwalu. Zresztą pierwsza edycja imprezy planowana była na 1 września 1939 r. i została odwołana w ostatniej chwili, kiedy radio podało wiadomość, że Hitler najechał na Polskę. Każda nagroda wiąże się jednak z pouczającą anegdotą.

Oto już w 1947 r. „reportaż specjalny Polskiej Kroniki Filmowej" zatytułowany „Lody ruszyły!" autorstwa Jerzego Bossaka (tekst czytał Andrzej Łapicki) o powodzi, która podtopiła kraj, zgarnął grand prix w kategorii filmu dokumentalnego. Niszcząca siła żywiołu została pokazana tak stylowo, że widzowie niemal żałowali, że powódź w dalekiej Polsce trwała tak krótko. Później raz po raz wpadały nagrody w niższych kategoriach. Aleksander Ford został uhonorowany za „Piątkę z ulicy Barskiej" (1954), Stanisław Różewicz za „Świadectwo urodzenia" (1962), Andrzej Munk za „Pasażerkę" (1964), Witold Leszczyński za „Żywot Mateusza" (1968), Wojciech J. Has za „Sanatorium pod Klepsydrą" (1973) itd.

Srebrną Palmę odebrał Andrzej Wajda w roku 1957 za „Kanał". „Jak pan wpadł na tak rewelacyjny pomysł, żeby akcję filmu umieścić w kanałach?", pytali dziennikarze. Z trudem przebijało się tłumaczenie,

FOT. MICHAŁ ENGLERT, ANETA I FILIP GĘBSCY

eprasa.pl 108212b8c8

że to nie reżyser przeniósł ludzkie sprawy do kanałów, lecz historia. W kwestii delegowania do Cannes „Człowieka z marmuru" władze były zdecydowanie na „nie", ale kopię filmu kupił tymczasem dystrybutor francuski i zaproponował go dyrekcji festiwalu do kategorii film surprise (nikt nie wie, co pokażą). Pokazano więc „Człowieka…" już z francuskimi napisami w roku 1978. Skończyło się przyznaniem jednogłośnie nagrody dziennikarzy FIPRESCI, którzy w protokole zobowiązali się do pisania o filmie, gdzie tylko się da, bo wiadomo, jakie trudności dzieło ma w kraju. Wajda dziękował powściągliwie, wiedział, że stąpa po kruchym lodzie. Dał też wywiad w tym tonie dla paryskiego tygodnika „L'Express". Kiedy zacytowała go Wolna Europa, sygnalista z resortu, który nadzorował reżysera, dopisał w raporcie: „Ze względu na prezentowane poglądy przez Wajdę uważam, że niewskazanym byłoby ułatwianie mu dodatkowych zarobków oraz dalsze lansowanie jego osoby".

W kwestii „Człowieka z żelaza" sprawa była jeszcze bardziej delikatna. Film był gotowy w maju 1981 r. i władza uznała, że jest absolutnie niecenzuralny – po pierwszym pokazie cenzor zalecił wycięcie 21 scen w całości, drobiazgów nie licząc. I ruszyły pertraktacje, w trakcie których Wajda sugerował, że jeśli władze wydelegują film na festiwal do Cannes, to on – później – rozważy niektóre sugestie cenzury. Grał na czas, ale wtedy mógł sobie na to pozwolić, bo miał za sobą potężny związek zawodowy. Władza się ugięła i film, o którym sam reżyser mówił później, że może za bardzo schematyczny, zbytnio zaangażowany politycznie, wrócił z Cannes ze Złotą Palmą. Jury podkreślało, że oto historia dzieje się na naszych oczach w Polsce i ta sama historia rozgrywa się na ekranie.

Dwie dekady wcześniej, w 1961 r., ze Srebrną Palmą za „Matkę Joannę od Aniołów" wyjechał z Cannes Jerzy Kawalerowicz. Film też wciskano do programu kolanem, bo zarówno rodzimy episkopat, jak i Watykan użyły wszelkich zakulisowych wpływów, by nie dopuścić dzieła na festiwalowe ekrany. W ich interpretacji nakręcono bowiem – za komunistyczne pieniądze – paszkwil na kler. Bo taka miała być wymowa historii o miłości jezuity i opętanej zakonnicy gdzieś na kresach dawnej Rzeczypospolitej. W ocenie naszych biskupów adresowanej do wiernych film określono jako „niedozwolony, który wprost lub pośrednio występuje przeciwko chrześcijańskim zasadom wiary i obyczajów". Dzieło nie podobało się również – choć z innych powodów – ówczesnym władzom. Po co wyrzucać pieniądze – pytały – na jakieś wydumane problemy „środowiska klerykalnego", w dodatku sprzed kilkuset lat?!

Poważną interwencją moralną był – podobnie jak tegoroczny obraz Skolimowskiego – „Krótki film o zabijaniu" Krzysztofa Kieślowskiego. W 1988 r. w Cannes zdobył nagrodę jury i nagrodę FIPRESCI. Film był o tym, jak bezmyślny chłopak zabija taksówkarza i jak bezmyślne państwo zabija potem tego chłopaka. Nie było w tym większej różnicy. „Jestem członkiem tego społeczeństwa, jestem obywatelem tego kraju i jeżeli ktoś komuś zakłada pętlę na szyję i wytrąca stołek spod nóg, to robi to w moim imieniu – tłumaczył wtedy Kieślowski. – A ja sobie tego nie życzę". Z tym że publiczność festiwalowa ledwo wytrzymywała: najpierw nieskończenie długą scenę pozbawiania życia taksówkarza, a potem pokazaną detalicznie egzekucję w podziemiach więzienia. Część widzów wyszła. Jednak ci, którzy zostali, przyjęli film owacją na stojąco. A dystrybutorzy z całego świata od razu ustawili się w kolejce przy polskim stoisku po zakup dzieła. Zaczęła się światowa koniunktura na Kieślowskiego.

A kiedy Roman Polański w 2002 r. pokazał „Pianistę", standing ovation trwała równe 14 minut. Oczywiście – Złota Palma. A potem to już się posypało: film roku w Anglii, Francji, Hiszpanii, we Włoszech i w Polsce, siedem nominacji i trzy Oscary. Te najważniejsze: dla reżysera, za scenariusz i dla Adriena Brody'ego, odtwórcy roli Władysława Szpilmana.

Tak nawiasem – pierwszą nominację do Oscara Polański zdobył w roku 1963 za „Nóż w wodzie". Współscenarzystą filmu był… Jerzy Skolimowski. A teraz obaj panowie kręcą w Szwajcarii kolejny wspólny film. Czarna komedia nazywa się „The Palace" i opowiada o sylwestrze roku 1999 w luksusowym alpejskim hotelu. Scenariusz Polański i Skolimowski napisali wspólnie. Kto wie, może wyniknie z tego kolejna Palma?

Wiesław Kot

eprasa.pl 108212b8c8

MIĘDZY OKŁADKAMI

Liane Moriarty
Niedaleko pada jabłko
tłum. Aleksandra Kamińska
Znak Literanova, Kraków 2022

Zaginięcie Joy Delaney coraz bardziej wygląda na morderstwo. Główny podejrzany – mąż. Banalna sprawa? Poniosło go podczas kłótni, potem pozbył się zwłok i zatarł ślady, we własnym mniemaniu doskonale? O Delaneyach, pozornie zgranej tenisowej rodzinie, dowiadujemy się więcej i więcej, aż – jak w klasycznym kryminale – wszystkie elementy zagadki wskakują na swoje miejsce. Okazuje się, że Liane Moriarty podsuwała je nam niczym Agatha Christie. Powieści Australijki są doskonałą rozrywką, ale, choć wydobywają komizm sytuacji i zachowań, odwołują się do konkretnych problemów. Sporo tu tego: nawarstwianie się żalów przez lata małżeństwa, odruchowe usuwanie się kobiet na drugi plan, by pierwszy pozostawić mężowi, robienie z dzieci narzędzia zaspokajania ambicji dorosłych, różne oblicza przemocy wobec najbliższych… Moriarty w mistrzowskiej formie – jak czołówka Australian Open i Wimbledonu.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Decapitated
Cancer culture
Nuclear Blast/Mystic

Można by przypuszczać, że po dekadach od narodzin death metalu zagrano już wszystko. Jednak ekipa z powstałego w Krośnie w 1996 r. Decapitated wciąż zaskakuje. Na najnowszy album składa się 10 utworów nasyconych gęstymi gitarowymi riffami i deathmetalowym wokalem Rafała „Rasty" Piotrowskiego. Otwierający płytę instrumentalny „From Nothingness With Love" z marszowym rytmem powoli prowadzi do mocnego „Cancer culture". Dla złapania oddechu Decapitated serwuje klimatyczny „Just a Cigarette", by za chwilę przywalić niczym obuchem w „No Cure". „Hello Death" zwalnia delikatnie przy partiach śpiewanych przez Tatianę Shmailyuk z ukraińskiego zespołu Jinjer. Nie jest ona jedynym zagranicznym gościem, w „Iconoclast" pojawia się Robb Flynn, frontman amerykańskiego Machine Head. Mamy zatem zmiany tempa, ciężkie brzmienie oraz nieoczywiste linie melodyczne dające poczucie przestrzeni pośród gitarowej ściany dźwięku. Mrocznie i ciężko, ale z polotem.

Rafał Pyznar

NA EKRANACH

Między dwoma światami
reż. Emmanuel Carrère, prod. Francja, w kinach od 10 czerwca

Juliette Binoche gra Marianne Winckler, pisarkę, która stawia na reportaże wcieleniowe. Ona nie chce tylko opisać biednych, zamierza przekonać się na własnej skórze, jak żyją. Wkłada więc lateksowe rękawiczki i szoruje publiczne toalety i kajuty na promach. Jednak film „Między dwoma światami" nie jest nastawiony na pornografię przemocy. Reżysera, poczytnego prozaika Emmanuela Carrère'a, który tym razem pracował nie na swoim tekście, nie interesuje współczucie ani litość. Bardziej zajmują go niewidzialne bariery odgradzające świat biednych i uprzywilejowanych. Bo choć Marianne przeżywa fascynację opisywanymi ludźmi i ich rzeczywistością, nigdy przecież nie stanie się jedną z nich. Reżyser zadaje tym samym niewygodne pytanie, na kogo tak naprawdę gra pisarka: na tych, którym poświęca kolejne strony, czy na siebie, a ubogich bohaterów jedynie eksploatuje. Sprawnie opowiedziany i przekonująco zagrany film.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

Martwa królowa

„Maria Stuart" Schillera najwyraźniej chodzi za Grzegorzem Wiśniewskim, bo realizuje on ten dramat po raz trzeci. Przy czym konsekwentnie usuwa na drugi plan Marię, koncentrując uwagę na tym, co się dzieje wokół niej. Pewnie to jedna z przyczyn niepowodzenia aktorskiego Wiktorii Gorodeckiej, tyle razy podziwianej na scenie narodowej. Tym razem zawiodła jako Maria nawet technicznie (więcej niż połowy jej kwestii nie słychać). Koncepcja ostrego przechodzenia od szeptu i mamrotania do wrzasku okazała się dla jej roli samobójcza.

Początek zapowiadał spektakl inny: w surowej przestrzeni zamku-twierdzy tkwiła bez ruchu królowa Elżbieta, w każdej chwili spodziewająca się ciosu. Ten początek był mocny, tak jak zakończenie, które też należało do Elżbiety – Danuta Stenka w scenie wymownego milczenia kobiety zwycięskiej i jednocześnie przegranej dawała świadectwo udręczenia królowej, która musi być twarda, choć wolałaby być kimś innym. Ale między dwiema monumentalnymi scenami było mnóstwo przerażającej pustki – walka na dworze Elżbiety o wpływy wypadła retorycznie, a Mortimer (Karol Pocheć) modelowany na posłańca niebios okazał się gwałcicielem spod ciemnej gwiazdy. Królowe padały na scenie ofiarą przemocy seksualnej – te sytuacje upodrzędniania kobiet budziły podejrzenie, że reżyser lubi epatować takimi środkami, a puszcza niedopracowane dialogi.

Tomasz Miłkowski

Friedrich Schiller, „Maria Stuart", tłumaczenie Jacek St. Buras, reżyseria Grzegorz Wiśniewski, Teatr Narodowy, premiera 21 maja 2022

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, AURORA FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 108212b8c8

Okno życia to 72 godziny

Jak wygląda ratowanie ofiar trzęsień ziemi

Rozmawia Marcin Ogdowski

W potocznym wyobrażeniu ziemia drży dziś wyłącznie od wystrzałów armatnich. Wojna zdominowała percepcję, ale natura robi swoje. W ostatnich kilkunastu dniach doszło do poważnych wstrząsów w Timorze, Peru i Chinach. Dla organizacji humanitarnych stan pogotowia trwa cały czas, ale rozumiem, że nie każde trzęsienie ziemi wymaga reakcji.

– W ich przypadku istotne są dla nas trzy czynniki. Po pierwsze, siła. Dziś mierzymy ją w magnitudzie, przy czym każda z tych wielkości jest 10 razy większa niż poprzednia. Trzęsienie ziemi o magnitudzie 9 jest zatem 1000 razy silniejsze od tego o magnitudzie 6. Drugi czynnik to głębokość. Jeśli do rozładowania naprężeń w skorupie ziemskiej dochodzi nie więcej niż 20 km od powierzchni, a już szczególnie 10 km i mniej, wstrząsy będą bardzo odczuwalne. I w tym momencie dochodzi trzeci czynnik – gęstość i rodzaj zasiedlenia obszaru dotkniętego kataklizmem. W 2011 r. w Japonii mieliśmy jedno z najsilniejszych trzęsień ziemi w historii pomiarów. Zniszczenia przez nie wywołane były minimalne. To, co działo się później w Fukushimie, było efektem tsunami.

Dokonania japońskich inżynierów są już legendarne. Ale nawet oni nie byli w stanie zapobiec katastrofie, która w 1995 r. nawiedziła Kobe. W trzęsieniu ziemi zginęło wówczas 6,5 tys. mieszkańców.

– Do wstrząsów doszło pod półtoramilionowym miastem. A śmiertelne żniwo zebrały przede wszystkim walące się wiadukty i inne elementy infrastruktury. Budynki mieszkalne, spełniające wyśrubowane japońskie standardy bezpieczeństwa, przetrwały.

Co prowadzi do wniosku, że skutki trzęsień ziemi są związane z zamożnością dotkniętych nimi regionów. Bogatsze kraje mają własne zespoły ratunkowe i medyczne, biedniejsze muszą liczyć na pomoc zagraniczną. W kwietniu 2015 r. w takiej sytuacji znalazł się Nepal.

– A my, Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej, właśnie wtedy zakończyliśmy kompletowanie zespołu ratunkowego. Odwiedzałem przy tej okazji media i gdy czekałem na wejście do studia TVN, na skrzynkę w telefonie przyszedł mejl z Globalnego Systemu Informowania o Katastrofach (Global Disaster Alert and Coordination System, GDACS).

Czyj jest ten system?

– Prowadzi go ONZ przy współfinansowaniu Unii Europejskiej. W alercie mowa była o trzęsieniu ziemi w Nepalu o magnitudzie 8,8, na głębokości 10 km. Musiałem wyłączyć komórkę, wszedłem na wizję, ale z tyłu głowy miałem ten alert. Odpaliłem komórkę zaraz po nagraniu. W skrzynce był już drugi alert – ta sama siła i głębokość. Byłem pewien, że tak płytkie rozładowania naprężeń musiały spowodować dużo ofiar na powierzchni. I że Nepal będzie potrzebował natychmiastowej pomocy medycznej. W ciągu dwóch-trzech godzin zebraliśmy pierwszy zespół ludzi i kupiliśmy bilety na następny dzień na lot do Nepalu. Taki zespół medyczny powinien liczyć 15-20 osób, ale nas było sześcioro.

> Po trzęsieniu w Nepalu w ciągu dwóch-trzech godzin zebraliśmy pierwszy zespół. Powinien liczyć 15-20 osób, ale nas było sześcioro.

Dr Wojciech Wilk – współzałożyciel i prezes Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, kieruje medycznym zespołem szybkiego reagowania PCPM, działającym w ramach systemu Światowej Organizacji Zdrowia; niegdyś pracownik, obecnie ekspert ONZ.

eprasa.pl 108212b8c8

Problemy z mobilizacją?

– Skąd! Szybko pojawiły się informacje, że na skutek wstrząsów pękła nawierzchnia pasa startowego w Katmandu, stolicy kraju. A to jedyne lotnisko w Nepalu. Ryzyko, że lecąc samolotem komercyjnym, nie dotrzemy na miejsce, było zbyt duże. Wówczas utrzymywanie 15-20 osób, powiedzmy przez tydzień w Katarze, gdzie czekalibyśmy na jakiś lot, było poza naszymi możliwościami finansowymi.

Zespół musiał być lekki, mobilny – właśnie z uwagi na konieczność lotu samolotem komercyjnym.

– Od początku budowaliśmy go z założeniem, że będziemy się przemieszczać głównie zwykłymi liniami lotniczymi. Widzieliśmy, jak długo trwał proces decyzyjny, żeby wysłać samolot rządowy z grupą ratowniczą na Haiti – kilka dni. Tymczasem w przypadku trzęsień ziemi pomoc medyczna jest potrzebna jak najszybciej. „Okno życia" na wyciągnięcie ludzi spod gruzów to 72 godziny. Potem śmiertelność bardzo szybko rośnie. W szóstej dobie od wstrząsów przeżywalność osób zawalonych nie przekracza 3%.

W tym samym czasie do Nepalu wybierał się też zespół poszukiwawczo-ratowniczy straży pożarnej.

– Strażacy polecieli czarterowanym samolotem, który mieli tylko dla siebie, my zabraliśmy się z Qatar Airways. I gdy dotarliśmy do Kataru, okazało się, że loty do Katmandu są poopóźniane albo anulowane.

Dramat.

– Nasz samolot miał startować z kilkugodzinnym opóźnieniem. Poszedłem do stanowiska przebukowywania biletów i poprosiłem o rozmowę z szefem zespołu. Dowiedziałem się, że trzy godziny przed naszym planowanym lotem do Katmandu leci inny samolot Qatar Airways, pusty. W stolicy Nepalu czekało wówczas na wylot ok. 5 tys. spanikowanych pasażerów, których należało jak najszybciej ewakuować. Przebukowaliśmy więc bilety i wsiedliśmy do szerokokadłubowego airbusa, gdzie oprócz naszej szóstki była tylko załoga i kilkoro pasażerów.

Pamiętam informacje z mediów, że trzęsienie ziemi dotknęło głównie Katmandu, są powalone budynki, tysiące ofiar.

– Na bazie tych danych polska straż pożarna i inne jednostki ratunkowe wysłały do Nepalu tzw. ciężkie zespoły poszukiwawczo-ratownicze, składające się z minimum 80 osób, mające do dyspozycji psy i przede wszystkim sprzęt do cięcia stali i betonu oraz wszystko to, co niezbędne do wyciągania ludzi spod gruzów wielopiętrowych budynków. My też założyliśmy, że będziemy działać głównie w gruzach Katmandu. Pamiętam więc swoje zdziwienie, gdy samolot podchodził do lądowania. Patrzyłem przez okno, myśląc: „Przecież tu nie ma żadnych zniszczeń".

Wylądowaliście i?

– Pierwsze, co powinien zrobić zespół ratunkowy, to zameldować się w specjalnym punkcie przyjęć. W Katmandu pracownik ONZ, który ten punkt obsługiwał, przyleciał pół godziny wcześniej. Nie było więc mowy, byśmy dostali informacje na temat bieżącej sytuacji i konkretny przydział. Wiadomo było tylko, że poza stolicą są poważne zniszczenia i sporo ofiar.

Co zrobiliście?

– Mieliśmy szczęście, bo dzięki znajomym odebrał nas Nepalczyk, który zajmował się oprowadzaniem polskich turystów. Zabrał nas do domu, skąd po szybkim prysznicu ruszyłem na rekonesans po Katmandu. Uszkodzonych bądź zawalonych budynków było raptem kilkadziesiąt – w mieście zamieszkanym przez 1,5 mln ludzi.

Najwięcej ofiar pochłonęło zawalenie się wieży w centrum Katmandu, z której można było podziwiać panoramę miasta.

– Zbudowano ją z glinianych cegieł, więc na skutek wstrząsów po prostu się rozsypała. Na miejscu były już ekipy, więc udałem się do lokalnego centrum koordynacyjnego (On-Site Operations Coordination Centre, OSOCC) na parkingu przy miejscowym biurze ONZ. Tam skierowano mnie do ministerstwa zdrowia.

Katmandu było wówczas miastem duchów.

– Sklepy pozamykane, pustki na ulicach, niewielki ruch samochodowy. Wszyscy, którzy mogli, wyjechali do rodzinnych miasteczek i wiosek, żeby pomagać poszkodowanym rodzinom. Na piechotę dotarłem do ministerstwa zdrowia, gdzie złożyłem wymagany dokument rejestracji zespołu medycznego. Tam poproszono mnie, byśmy pojechali do regionu Sindhupalchok. Był poniedziałek rano.

Wioska po wiosce – wszystkie leżały w gruzach. Ocalały tylko budynki, których elementy nośne wykonano ze zbrojonego betonu.

Sindhupalchok to prowincja przylegająca od wschodu do Katmandu.

– „Nie mamy kontaktu z ludnością w 11 dolinach górskich", przyznali urzędnicy resortu zdrowia. Następnego dnia nasi ratownicy medyczni wynajęli motocykle i pojechali do Sindhupalchok. W samej stolicy prowincji wielkich zniszczeń nie było. Lokalne władze informowały za to o dramatycznej sytuacji niżej, wokół miasta Melamchi, dokąd nie dotarły jeszcze zespoły ratunkowe.

Co z tą wiadomością zrobiło ministerstwo zdrowia?

– Pod koniec tego dnia zobaczyłem przed gmachem resortu dużą korkową tablicę, a na niej mapę Sindhupalchok. W plamę oznaczającą stolicę prowincji wbito pinezkę, z której na sznurku zwisała karteczka z napisem „Polish Medical Team". Tak dowiedziałem się o przydziale. W środę załadowaliśmy się na samochody i pojechaliśmy do Melamchi. W linii prostej to może 45 km, ale jechać trzeba było naokoło. I gdy zagłębiliśmy się w dolinę, ukazały się apokaliptyczne widoki. Wioska po wiosce – wszystkie leżały w gruzach. Nie przetrwał żaden dom zbudowany w tradycyjny sposób, czyli z kamieni. Ocalały tylko budynki, których elementy nośne wykonano ze zbrojonego betonu. Było ich naprawdę niewiele.

To był już piąty dzień po trzęsieniu ziemi – fetor rozkładających się ciał musiał wam mocno dokuczać.

eprasa.pl 108212b8c8

– Momentami był nie do zniesienia. Mimo to miejscowi próbowali odzyskać z gruzowisk jakieś okna, drzwi i inne przydatne przedmioty.

Pewnie wciąż szukano przysypanych.

– Oczywiście. W Melamchi skierowano nas do pobliskiej bazy armii nepalskiej. Lądowały tam małe helikoptery, przewożące rannych z okolicznych wsi. Następnie większe maszyny – należące do armii indyjskiej – zabierały poszkodowanych do Katmandu. Przed naszym przyjazdem każdy ranny przywieziony z górskich wsi był potem transportowany do Katmandu. Tymczasem w wielu przypadkach nie miało to sensu. Niewielkie rany można było opatrzyć na lądowisku.

Potrzebny był sensowny triaż, by nie zapychać szpitali w stolicy.

– Nie tylko dlatego. Osoba, która była tam wysyłana, z reguły nie miała przy sobie pieniędzy, więc jej powrót do rodzinnej miejscowości był wyzwaniem.

Zajęliście się więc selekcją pacjentów.

– Rozstawiliśmy namioty na lądowisku, gdzie przez kolejne pięć dni przywożono rannych z doliny. Lekarze i ratownicy na miejscu pomagali lżej poszkodowanym, natomiast osoby z cięższymi obrażeniami przygotowywali do dalszego transportu lotniczego. Indyjski śmigłowiec Mi-17, na pokładzie którego mieściło się osiem par noszy, przylatywał dwa-trzy razy dziennie.

Mi-17 ma potężną moc.

– Po tym jak wznoszący się helikopter porwał nasze namioty, przed każdym kolejnym startem trzymaliśmy je z całych sił, przy wydatnej pomocy nepalskich żołnierzy. O zakotwieniu schronień w betonie nie było mowy.

W przypadku klęsk żywiołowych często korzysta się z zasobów armii, nawet obcych państw. Jak to działało w tym przypadku?

– Bardzo dobrze. Siedemnastki, które przylatywały do naszej bazy, przywoziły pomoc humanitarną, głównie jedzenie, a zabierały rannych. W żadną stronę nie leciały na pusto. Widać było, że ktoś to wszystko sensownie koordynował. W Nepalu działali wtedy także wojskowi z Chin i USA. Amerykanie zresztą mieli pecha – nad Himalajami rozbił się jeden z ich śmigłowców. Zginęło wówczas kilku wojskowych medyków i załoga.

Najwyższe góry świata wymagają od pilotów doskonałych umiejętności, a od maszyn potężnej mocy rotorów.

– Któregoś razu wylądował u nas Mi-17, który wcześniej zabrał z więziennego szpitala pięciu rannych. My zaś przygotowaliśmy do transportu siedmiu ludzi w bardzo ciężkim stanie. Wymagali pilnej ewakuacji medycznej do Katmandu. Kapitan indyjskiej maszyny załamał ręce i mówi: „Wszystkich nie wezmę, a wrócić po resztę nie zdążę. To Himalaje, tu nie lata się w nocy". Ja na to, że rozumiem, ale ci ludzie do rana nie przeżyją. Trochę nawet się pokłóciliśmy, więc poprosiłem Nepalczyków, żeby nosze z siódemką naszych rannych położyli przed nosem helikoptera. „Dobra, wybieraj, których czterech ma umrzeć", usiłowałem zagrać va banque. Nie udało się – pilot zabrał tylko trzy osoby. Przekonani, że nasi pacjenci umrą, jakiś czas później usłyszeliśmy charakterystyczny dźwięk rotorów. Było tuż przed zachodem słońca, a mimo to siedemnastka wróciła po rannych.

Z kolejnych podobnych dylematów wyratowali was sąsiedzi.

– Kilka dni po naszym przyjeździe w dole doliny pojawił się czeski zespół medyczny. Czesi rozlokowali się w częściowo zniszczonym budynku kliniki i mieli więcej sprzętu niż my. Od tej pory osoby, które wymagały obserwacji, a nie załapały się na transport do Katmandu, zwoziliśmy samochodem do doliny.

Zwykle po kilku dniach intensywność działań ratowniczych spada.

– W siódmym dniu pobytu w Melamchi nie przyleciał żaden helikopter. Nic się nie działo. Lecz dobrze wiedzieliśmy, że koniec ostrej fazy nie oznacza, że nie ma już co robić. Medycy znów wsiedli na motocykle i ruszyli do okolicznych wsi. Dom po domu sprawdzali, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. To samo robiły inne zespoły ratunkowe, które zaczęły docierać do doliny. W pewnym momencie ekipa z Tajlandii przywiozła nam kobietę z zawałem serca. Wezwałem przez telefon satelitarny helikopter z Katmandu, ale pacjentka wymagała natychmiastowego działania. Nam tymczasem rozładował się defibrylator – i nie było żadnego sposobu, by go naładować. Zawołałem więc przez radio Czechów, którzy szybko pojawili się ze sprzętem. Gdy go odpalili, maszyna przemówiła: „Odstupte se od pacienta". Wiadomo, jak na Polaków działa język czeski – poczułem, jak wraz ze śmiechem schodzi ze mnie napięcie.

Pacjentka przeżyła.

– Tak, została dostarczona do indyjskiego szpitala polowego. Na

Jesteśmy 29. certyfikowanym zespołem na świecie. Siódmym prowadzonym przez organizacje pozarządowe.

W szóstej dobie od wstrząsów przeżywalność osób zawalonych nie przekracza 3%.

eprasa.pl 108212b8c8

Akcja ratunkowa po trzęsieniu ziemi w Nepalu.

wszelki wypadek poleciał z nią nasz ratownik. Reszta, koszmarnie zmęczona, spakowała się i zjechała do Katmandu, a potem do kraju.

W tym czasie na miejsce dotarł kolejny wasz zespół.

– Nastąpiło drugie trzęsienie ziemi, bardzo silny wstrząs wtórny na wschód od prowincji, gdzie pracowaliśmy. Spowodował on dodatkowe zniszczenia i konieczne było przesunięcie operacji ratunkowej na nowy obszar.

Ekipa przyleciała samolotem transportowym C-130 Polskich Sił Powietrznych.

– Polski rząd zorganizował przerzut pomocy humanitarnej, zebranej przez Caritas i PCK. Zostało trochę wolnego miejsca, akurat by się zmieścił zespół ratunkowy PCPM. Nie obyło się jednak bez kłopotów, bo lotnisko w Katmandu ma tylko osiem miejsc postojowych. A władze nepalskie nadal zmagały się z kłopotem w postaci zagranicznych turystów koczujących w porcie lotniczym, wciąż utrzymując priorytet dla samolotów pasażerskich. Nam to wcześniej pomogło, ale druga ekipa zahaczyła najpierw o Delhi. C-130 z Polski, tak samo jak inne samoloty, musiał czekać w stolicy Indii na zielone światło z Katmandu.

Wasz team jeszcze miał czym się zająć, ale szybko okazało się, że pomocy doraźnej – typu koce czy materace – przywieziono do Nepalu za dużo.

– Był już początek maja, a pod koniec czerwca zaczyna się pora monsunowa. Przez dwa miesiące spada ok. 1,5 m deszczu na metr kwadratowy, czyli mniej więcej tyle, ile w Polsce w ciągu dwóch-trzech lat. Najlepszy koc nie stanowi wówczas żadnego zabezpieczenia, jeśli ludzie nie mają dachu nad głową. Namioty też nie były żadnym rozwiązaniem, bo nie były w stanie wytrzymać naporu wody – jak nie z góry, to z dołu. Konieczne było znalezienie rozwiązania odpornego na te warunki i bezpiecznego w przypadku wstrząsów wtórnych. A przy tym w miarę taniego.

Bambus nadaje się idealnie.

– Jeżdżąc po zniszczonej dolinie, natknąłem się na ogromną stodołę, wysoką na 10 m, w której mieszkało kilka rodzin, pozbawionych wcześniej domów. Wykonany z bambusa budynek nie poddał się wstrząsom. Bambusowych konstrukcji nie zbija się gwoździmi, tylko się je wiąże, całość więc – poza tym, że trwała – jest w miarę elastyczna. Przyszło mi do głowy, że o to chodzi – że rozwiązaniem są chatki z bambusowymi ścianami, przykryte blachą falistą. Ostatnim dużym projektem PCPM w Nepalu była budowa ponad 30 takich domów w dwóch wsiach.

Podczas trzęsienia ziemi zginęło prawie 9 tys. osób. Rannych było trzy razy tyle. W sumie pomogliście 450 osobom, zbierając przy okazji masę doświadczeń. Co było dalej?

– Po powrocie z Nepalu otrzymałem mejl ze Światowej Organizacji Zdrowia, a w nim zaproszenie dla zespołu ratunkowego PCPM do przejścia certyfikacji w ramach systemu Emergency Medical Team. Przejrzałem wytyczne dla tego systemu – pokrywały się z tym, co robiliśmy i zamierzaliśmy robić. Chodziło w nich o dwudziestokilkuosobowy team, wyposażony w sprzęt o wadze do kilku ton, zdolny dotrzeć na miejsce samolotem komercyjnym. Podjęliśmy więc wyzwanie zbudowania EMT pierwszego poziomu, którego zadaniem jest triaż i stabilizacja rannych, a następnie pozostanie w miejscu katastrofy przez kilka tygodni, jako zastępczy ośrodek zdrowia dla osób chorych i cierpiących na wtórne konsekwencje kataklizmu.

Ten proces zajął wam cztery lata.

– W tym czasie waga naszego wyposażenia wzrosła z 400 kg do prawie 5 ton, a liczba namiotów z dwóch do dziesięciu. Ze względu na coraz bardziej wygórowane wymagania WHO zespół wzbogacił się o sale do przyjmowania porodów, sale dla lżej i ciężej rannych, systemy dekontaminacji chorych na choroby zakaźne, izolatki, systemy spalania śmieci medycznych, oczyszczania wody, no i zaplecze socjalno-obozowe dla 20 osób.

Jak mały szpital polowy.

– Jesteśmy 29. certyfikowanym medycznym zespołem szybkiego reagowania na świecie. Siódmym prowadzonym przez organizacje pozarządowe.

Każdy ranny przywieziony z górskich wsi był transportowany do Katmandu, choć niewielkie rany można było opatrzyć już na lądowisku.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PCPM (2)

eprasa.pl 108212b8c8

Na spanie i dobry nastrój

Benzodiazepiny powinny być lekiem doraźnym, a są brane nawet latami

Rozmawia
Ewa Smolińska-Borecka

PROF. ADAM WICHNIAK
– psychiatra, neurofizjolog kliniczny

Podobno lawinowo wzrasta uzależnienie Polaków od benzodiazepin.

– Rzeczywiście obserwujemy przyrost osób używających szkodliwie leków uspokajających z grupy benzodiazepin. Bierze się to stąd, że w społeczeństwie bardzo zwiększyło się rozpowszechnienie zaburzeń psychicznych, na które one pomagają, czyli zaburzeń nastroju, zaburzeń lękowych i bezsenności.

Z czego wynika ten nie najlepszy stan psychiki?

– Między innymi z trwającej od 2020 r. pandemii COVID-19, której konsekwencją był lęk o zdrowie własne i najbliższych, z braku poczucia bezpieczeństwa finansowego, a ostatnio dołożyły się inflacja i wojna w Ukrainie.

Benzodiazepiny są w takiej sytuacji złotym środkiem?

– Oczywiście, że nie. Ale użycie leku uspokajającego jest najprostszą metodą, żeby sobie pomóc. Problem w tym, że lek uspokajający powinien być jedynie pomocą doraźną. Czyli pacjent, który ma obniżony nastrój, zaburzenia lękowe, bezsenność, powinien pójść do lekarza rodzinnego, otrzymać krótkotrwałą pomoc lekiem uspokajającym, a potem trafić do opieki psychiatrycznej i otrzymać właściwą pomoc, czyli metody leczenia, które są skuteczne. A tak się nie dzieje. Pacjenci wpadają w dziurę braku opieki lekarskiej. Potrzeby społeczne są ogromne, bo bezsenność i lęk to są zaburzenia psychiczne, które dotyczą okresowo od 25% do 50% populacji. Jeśli system opieki zdrowotnej nie ma im nic do zaproponowania poza lekami uspokajającymi, które pomyślane są, żeby łagodzić dolegliwość i żeby pacjent dotrwał do wizyty i otrzymania właściwej pomocy, przyjmowanie tych preparatów staje się długoterminowe. A to prowadzi do uzależnienia.

Czyli pacjenci z problemami psychicznymi są w pewnym sensie pozostawieni samym sobie. Naprawdę jest tak źle?

– Jest dramatycznie źle. Nastąpiło załamanie opieki psychiatrycznej w Polsce. W dużych miastach w tej chwili właściwie nie ma szans na pomoc w poradniach zdrowia psychicznego w ramach NFZ w ciągu miesiąca od zgłoszenia. Osoby, które mają środki finansowe, podejmują leczenie w ośrodkach prywatnych. Alternatywą dostępną dla większości ludzi są albo leki uspokajające, albo – co jest wyjściem znacznie gorszym – alkohol. Od początku pandemii obserwujemy ogromny wzrost spożycia alkoholu i liczby osób, które przyjmują leki uspokajające. Taka sytuacja jest nie tylko w Polsce. W zasadzie w większości krajów europejskich systemy opieki zdrowotnej nie radzą sobie z lawinowo rosnącym rozpowszechnieniem zaburzeń psychicznych. W wielu krajach – tutaj najmocniejsze dane, które znam, są z Francji – liczba osób przyjmujących benzodiazepiny podwoiła się.

Jak jest w przypadku Polaków?

– Przed pandemią osoby przyjmujące leki uspokajające, głównie benzodiazepiny, stanowiły między 5% a 10% społeczeństwa. Aktualnych danych nie mamy, ale szacujemy, że to ponad 10%.

Ktoś te leki przepisuje.

– No tak, ale lekarz rodzinny chce pomóc pacjentowi. Jeżeli nie ma dobrej alternatywy, nie ma gdzie tych pacjentów przekierować do opieki psychiatrycznej, nie ma edukacji prozdrowotnej, to oczywiste, że stosuje się benzodiazepiny, które mają wskazanie do leczenia bezsenności, lęku, do leczenia skojarzonego w zaburzeniach nastroju. Tylko że to, co powinno być krótkotrwałe, czyli trwać od czterech do sześciu tygodni, zmienia się w leczenie przewlekłe. A trudno, żeby się nie zmieniło, skoro do psychiatry czeka się

Prof. dr hab. n. med. Adam Wichniak – kierownik III Kliniki Psychiatrycznej i Ośrodka Medycyny Snu w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Członek m.in. Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (przewodniczący Sekcji Psychiatrii Biologicznej) i European Sleep Research Society.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 108212b8c8

w Warszawie trzy miesiące – albo i sześć. Jak lekarz rodzinny ma sobie poradzić, jeśli ma do dyspozycji lek, który powinien być stosowany przez cztery-sześć tygodni, a skierowanie do psychiatry, które wystawia i z którego pacjent być może chciałby skorzystać, najwcześniej może być zrealizowane po kilku miesiącach?

Można powiedzieć – tragedia.

– Ten problem jest dostrzegany przez Ministerstwo Zdrowia. Trwa teraz ogromna reforma psychiatrii, która ma zmienić opiekę szpitalną w środowiskową. Duży nacisk kładzie się na rozbudowę poradni zdrowia psychicznego, na poprawę dostępności opieki psychologicznej. To kolejny problem – w Polsce leczymy zaburzenia psychiczne głównie medykamentami, a można je także leczyć za pomocą skutecznych interwencji psychologicznych. I to, że ludzie sięgają po alkohol, po leki, jest zrozumiałe. Nie mają innego wyboru, jeśli chcą zmniejszyć swoje dolegliwości. A długotrwałe zaburzenia snu, zaburzenia lękowe i zaburzenia nastroju to czynniki rujnujące jakość życia.

Ale chyba nie bardziej niż choroby somatyczne?

– Często się ocenia, że psychiatria to mniej dolegliwy obszar zdrowotny niż np. choroby nowotworowe, zawały serca, udary. W krótkim okresie tak. Ale dramatem psychiatrii jest to, że jeśli tych ludzi nie leczymy i problemy psychiczne trwają miesiącami czy latami, to ich zdolności do pracy, do zarabiania się zmniejszają, a w rezultacie spada poziom życia i stan materialny rodzin. Ten spadek, jak pokazują analizy ekonomiczne, bywa większy niż w przypadku ciężkich chorób somatycznych.

W poradniku dla lekarzy rodzinnych, którego jest pan współautorem, jednym z przykazań dla lekarzy jest, by stosować benzodiazepiny w jak najniższej dawce i nie zapisywać leku na zapas. Czyli teoretycznie nie powinny być dostępne w takiej ilości, żeby przyjmować je nadmiarowo i się uzależnić.

– To trochę tak jak z lekami przeciwbólowymi. Jeżeli raz się je poda, a nie zaoferuje pacjentowi nic, co zmniejszy jego cierpienie, to potem od tych leków nie sposób odejść. Lekarz rodzinny, widząc cierpienie człowieka, przepisuje mu benzodiazepiny, a ponieważ pacjent nie otrzymuje innej formy pomocy, potem są trudności, aby od tych leków odejść. Wiele osób rozpoczyna też przyjmowanie ich na własną rękę, dostając pierwsze tabletki od bliskich. Czyli ktoś z rodziny ma lek przepisany na receptę i mówi: „Mnie pomaga, weź, to ci też pomoże". Lekarz rodzinny, mając chorego, który sam zaczął te leki przyjmować, próbuje przekierować go do opieki psychiatrycznej, ale nie jest w stanie tego zrobić. Jeśli pacjent cierpi na bezsenność, standardy medyczne mówią, że podstawową formą leczenia jest terapia poznawczo-behawioralna. 10% społeczeństwa w krajach rozwiniętych cierpi na bezsenność, a 30-50% społeczeństwa ma okresy bezsenności bądź jej objawy. To ogromna grupa ludzi. A ile mamy w Polsce zakontraktowanych poradni leczenia zaburzeń snu?

Pan profesor kieruje Ośrodkiem Medycyny Snu w Instytucie Psychiatrii i Neurologii.

– Ten ośrodek nie jest zakontraktowany przez NFZ. W Polsce zakontraktowanych jest zero (!) przychodni leczenia zaburzeń snu. Medycyną snu zajmują się poradnie zdrowia psychicznego, niewydolne z powodu ogromu własnych problemów: depresji, schizofrenii, otępienia, starzejącego się społeczeństwa. W rezultacie pacjenci z zaburzeniami lękowymi, z bezsennością, w trudnych sytuacjach życiowych, w ostrej reakcji na stres czy w przewlekłym stresie są sami. Ci ludzie gdzieś muszą pójść. Albo pójdą do sklepu i kupią butelkę alkoholu, albo pójdą do lekarza rodzinnego i powiedzą, że już nie są w stanie wytrzymać, mają dość życia, tak się męczą, że najchętniej by skoczyli z mostu. I co ten lekarz może zrobić, mając przed sobą człowieka, który nie śpi, jest wylękniony, napięty, którego nie można przekierować do opieki psychiatrycznej i który mówi, że by ze sobą skończył?

Przepisuje zatem benzodiazepiny, a pacjent chwyta się ich jak tonący brzytwy. Ile ma pan w swojej klinice osób, które wychodzą z uzależnienia od benzodiazepin?

– W naszym instytucie mamy na szczęście oddział detoksykacji z alkoholu, leków uspokajających i nasennych. Gdybyśmy go nie mieli, ci pacjenci stanowiliby jedną trzecią osób leczonych na oddziałach psychiatrycznych.

Jedni starają się wyrwać z uzależnienia od benzodiazepin, drudzy biorą je rekreacyjnie, bo wprowadzają w łagodny stan euforii. Liczba tych osób też rośnie?

– Tak, to wynika z tzw. poszukiwania nowości. Rzeczywiście obserwujemy, że młodzi ludzie, żeby się dobrze bawić, sięgają po nowe doznania w postaci łączenia leków psychiatrycznych z nielegalnymi substancjami psychoaktywnymi albo poprzez łączenie substancji nielegalnych, leków psychiatrycznych z alkoholem. To stan, który grozi powikłaniami w postaci niewydolności krążeniowo-oddechowej czy psychiatrycznymi i neurologicznymi: napadami drgawkowymi i padaczkowymi, zaburzeniami świadomości, stanami psychotycznymi, stanami pobudzenia.

e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Bezsenność i lęk to zaburzenia psychiczne, które dotyczą okresowo 25-50% populacji.

Zaburzenia psychiczne leczymy głównie medykamentami, a można je także leczyć za pomocą skutecznych interwencji psychologicznych.

eprasa.pl 108212b8c8

Dudka słychać z dużych odległości, a dźwięk płata figle, odbijając się od ścian budynków czy lasu. Łatwo wówczas policzyć jednego ptaka jako dwa.

Liczymy ptaki

Ptaki są dobrym wskaźnikiem jakości środowiska, dlatego ich obserwacje stanowią system wczesnego ostrzegania

Konrad Malec

Spośród prac ornitologicznych najbardziej lubię monitoringi przyrodnicze. Mam przyjemność brać udział w dwóch: pospolitych ptaków lęgowych i łabędzi krzykliwych, choć marzy mi się dołączenie do zimowych liczeń ptaków na rzekach, ptaków siewkowych oraz sów. Niestety, uczestnictwo w kolejnych programach mogłoby zostać źle przyjęte w domu, już bowiem dotychczasowe zobowiązania wywołują pomruki świadczące o wątłej tolerancji na dziwactwa.

Po co liczyć ptaki?

Gdy wspominam o udziale w monitoringach, zwykle pada pytanie, po co to robić. Ale zacznę od innej sprawy, czyli od wyjaśnienia, że słowo monitoring bywa nadużywane. Często nazywa się tak badania poprzedzające inwestycję potencjalnie szkodliwą dla środowiska, np. ustawienie farmy solarnej czy wiatrowej. W rzeczywistości to inwentaryzacje określające, jakie ptaki (oraz inne zwierzęta, rośliny, grzyby i siedliska) żyją w danym miejscu. Pozwalają one oszacować, co stracimy, a co możemy zyskać, czy więcej zyskamy, czy stracimy, wliczając w to środowisko naturalne. Monitoring prowadzony jest przez wiele lat, według określonych kryteriów. Inwentaryzacja, choć korzysta z podobnych metod (prowadząc inwentaryzację przedinwestycyjną, zwykle korzystam z metod monitoringowych), to działanie w ciągu kilku miesięcy, najwyżej pięciu lat. Wyniki takich inwentaryzacji nie są wykorzystywane w monitoringach, choć dobrze by było, gdyby trafiały do baz ogólnopolskich. Mogłyby wówczas pomóc w określeniu liczebności ptaków (lub innych istot) w skali kraju. Natomiast dane z monitoringów są niezbędne do napisania raportu oddziaływania na środowisko.

Monitoringi to programy długofalowe, mamy ich obecnie 32, w tym najnowszy, poświęcony gęsi zbożowej, który wystartował w minionym sezonie migracyjno-zimowym. Stał się konieczny, ponieważ najnowsze badania wykazały, że gęsi zbożowe to nie jeden gatunek, ale dwa. Aby poprawnie wywiązać się ze zobowiązań Polski z umów międzynarodowych, musimy uwzględnić, ile w Polsce mamy gęsi zbożowych, a ile tundrowych (wydzielonych ze zbożowych, u nas ten gatunek jest znacznie liczniejszy niż gęś zbożowa). Warto mieć na uwadze, że owo odkrycie nie znalazło odbicia w prawodawstwie. W rozporządzeniu o gatunkach łowieckich nadal znajduje się po prostu gęś zbożowa, z podaną nazwą naukową *Anser fabalis*, co oznacza, że myśliwi strzelający do gęsi tundrowej łamią prawo. Co ciekawe, polskie władze znalazły czas, by rozporządzenie

Monitoring ptaków rozpoczął się w 2000 r. od liczenia pospolitych ptaków lęgowych.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

zmienić, dodając do niego szakala złocistego, który niedawno zaczął zasiedlać Polskę.

I tak znowu dochodzimy do pytania, po co to robić. Powodów jest wiele, m.in. wspomniane umowy międzynarodowe, np. w ramach Unii Europejskiej musimy raportować stan gatunków – ochrona ptaków jest jednym z obowiązków, które państwo bierze na siebie, wstępując do UE. Nim jednak przejdziemy do ujadań na brukselską biurokrację, warto przypomnieć, że ochronę ptaków współfinansuje Unia, na czym zyskują polscy rolnicy (za odpowiednie gospodarowanie obszarem można dostać dodatkowe pieniądze). Monitoring Ptaków Polski jest częścią Państwowego Monitoringu Środowiska, którego zadaniem jest informowanie o stanie środowiska obywateli, jak również włodarzy, by mogli wprowadzać chroniące nas prawo i zarządzać środowiskiem. Zabrzmi górnolotnie, ale jesteśmy częścią środowiska, więc jeśli coś z nim się dzieje, może to uderzyć w nas. Ptaki są dobrym wskaźnikiem jakości środowiska, dlatego ich obserwacje stanowią system wczesnego ostrzegania. Wreszcie jest sprawa naszej odpowiedzialności – nie jesteśmy jedynymi mieszkańcami planety, powinniśmy z niej tak korzystać, by nie krzywdzić innych bytów. Dlatego zmiany w ornitofaunie są jednym ze wskaźników zrównoważonego rozwoju.

Jak to się liczy?

Najczęściej zadawane pytanie brzmi: jak wy je liczycie? Przecież one się ruszają! Wbrew pozorom nie jest to aż tak trudne. Oczywiście konieczne są odrobina wprawy i znajomość biologii ptaków, ale nikt nie puszcza żółtodzioba od razu na badania terenowe. Jeśli ktoś lubi ptaki, czyta o nich i je obserwuje, szybko nabiera stosownych umiejętności, zwłaszcza pod okiem kogoś doświadczonego. Nie bez znaczenia jest termin wykonywania badań. Zwykle celuje się w czas godów poszczególnych gatunków lub ich grup. W okresie tym ptaki, a przynajmniej jedna płeć, są mniej mobilne, ponieważ zajmują terytoria, których bronią przed rywalami. Tu konieczna jest znajomość ptasich głosów. To również umiejętność, którą trzeba zdobyć w terenie, ale jest wiele pomocy do nauki (polecam płytę „Jaki to ptak" Tomasza Ogrodowczyka). W tym czasie ptaki są mniej ruchliwe, zwykle śpiewają z jednego miejsca, co oznacza nieraz konkretną gałąź, a innym razem pewien obszar. Są poza tym rzeczy, których trzeba doświadczyć, inaczej trudno się połapać. Sztandarowym przykładem może być dudek lub kukułka. Ptaki te słychać z dużych odległości, do tego potrafią śpiewać z różnych punktów. Przy znaczących odległościach dźwięk płata figle, odbijając się od ścian budynków czy lasu. Łatwo wówczas policzyć jednego ptaka jako dwa.

Nieco inaczej rzecz się ma z ptakami w czasie migracji lub zimowania. Podczas przelotów na wybrzeżu czy przełęczach górskich sprawa jest prosta, ale komplikuje się na nizinach. Bywa, że żurawie czy niektóre drapieżne nie lecą liniowo, lecz kołują. Trzeba wówczas wykazać się czujnością, by ptaków nie policzyć dwukrotnie. Trzeba też nią się wykazać w przypadku ptaków zimujących na rzekach. Spłoszone obecnością obserwatora – odlatują. Należy zapamiętać, ile ptaków poleciało i w którym kierunku. Kiedy za parę kilometrów znów spotkamy ptaki tego samego gatunku i podobnej liczebności, będą to najprawdopodobniej nasi uciekinierzy.

Partnerstwo naukowo-rządowo-społeczne

Monitoring ptaków rozpoczął się w 2000 r. od liczenia pospolitych ptaków lęgowych. W kolejnych latach dokładano moduły, tak by objąć nim możliwie dużą część ptaków spotykanych w Polsce. To znaczące koszty. Z odsieczą przychodzą amatorzy i zawodowcy. Słowo amator nie oznacza kogoś mniej wartościowego niż zawodowiec, znam wielu lepszych ode mnie ptasiarzy, którzy na co dzień zajmują się czymś zupełnie innym. Monitoring ptaków jest częścią Państwowego Monitoringu Środowiska, prowadzonego przez Główny Inspektorat Środowiska. Część poświęconą ptakom realizuje konsorcjum Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków oraz Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, we współpracy z innymi organizacjami.

Same prace terenowe wykonują wolontariusze lub osoby pracujące po kosztach. Główną motywacją uczestników jest chęć wzięcia udziału w badaniach, dzięki którym lepiej poznamy ptaki, co przełoży się na ich ochronę. To nauka obywatelska, w której może brać udział każdy, nawet początkujący miłośnik ptaków.

Są ptaki, które staramy się policzyć co do pary, jak łabędzie krzykliwe – w zeszłym roku rekordowe 284.

Wystarczy się zarejestrować na jednym z portali do zbierania danych, np. o ptakach. Polecam największy tego typu portal w Polsce, Ornitho.pl, z towarzyszącą mu aplikacją NaturaList. Warto podkreślić, że bez rzeszy ochotników państwo polskie miałoby kłopot z wywiązaniem się ze swoich zobowiązań wobec obywateli i z umów międzynarodowych.

Dostarczone przez ochotników dane, zarówno te z monitoringów, jak i z innych źródeł, poza okresowymi raportami (publikowanymi np. jako Biuletyny Monitoringu Przyrody, można je pobrać ze strony monitoringptakow.gios.gov.pl), posłużyły do opracowania Czerwonej listy ptaków Polski, zawierającej spis zagrożonych gatunków, z kategorią zagrożenia i opisem. Listę można pobrać ze strony otop.org.pl. Choć ona sama nie jest dokumentem prawnym, to w procesie uzyskiwania pozwolenia środowiskowego uwzględniane są gatunki na niej figurujące. Ponadto z zebranych informacji korzystają naukowcy prowadzący badania nad ptakami. Wśród beneficjentów jest także biznes – dane są wykorzystywane przy pisaniu raportów środowiskowych związanych z inwestycjami.

eprasa.pl 108212b8c8

Spis ludności

Z monitoringów wynika, że najliczniejszym ptakiem w Polsce jest skowronek, przeszło 10 mln par, ale jego liczebność spada. Z tychże badań wiemy również, że choć populacja gawrona liczy ok. 120 tys. par, to szybko maleje, przez co znalazł się on na czerwonej liście. Badania wykazały także utratę wielu gatunków, np. dzierzby czarnoczelnej, świstuna czy biegusa zmiennego. Temu ostatniemu poświęcony był osobny monitoring, ale ponieważ od 2005 r. nie obserwowano lęgów, a od 2010 r. toków, w 2021 r. zamknięto program. Gatunki wymarłe w naszych granicach możemy nadal spotkać, niekiedy nawet dość często, jak wspomnianego świstuna, który licznie zimuje w Polsce (co wiemy z monitoringów i Ornitho). Obecnie trwają prace nad czerwoną listą dla ptaków wędrownych i zimujących w naszym kraju.

Liczebność większości ptaków podaje się w parach. Wyniki nie uwzględniają ptaków nielęgowych, które nie znalazły partnera albo miejsca na lęgi. Dane przedstawiane są zwykle w widełkach, np. dla znanej i lubianej bogatki wynoszą one 4,487-5,113 mln par. Widełki odzwierciedlają stopień naszej niepewności i wahania pomiędzy kolejnymi sezonami lęgowymi. Niepewność bierze się z tego, że wnioskujemy o liczbie par na podstawie próbkowania, trochę jak w sondażach opinii publicznej. Są też gatunki, które staramy się co roku policzyć co do pary, chociażby wspomniane łabędzie krzykliwe (w zeszłym roku rekordowe 284) czy orliki grubodziobe (18 par, choć niektóre w parach mieszanych z orlikiem krzykliwym). U innych gatunków liczymy tylko samce, ponieważ nie tworzą one par, a samice zwykle nie rzucają się w oko ani ucho, np. bąki, wodniczki czy bażanty.

Najliczniejszym ptakiem w Polsce jest skowronek, przeszło 10 mln par, ale jego liczebność spada.

Generalnie ubywa ptaków krajobrazu rolniczego, które straciły 20% liczebności od początków obecnego stulecia. Rzecz jasna, nie wszyscy tracą po równo, np. populacja przepiórek zmalała o 60%. Podobnie fatalnie wygląda sytuacja ptaków wodnych i terenów podmokłych. W tej grupie jest 63% ptaków zagrożonych wyginięciem w Polsce. Liczebność perkoza rdzawoszyjego w ciągu niecałych dwóch dekad spadła trzykrotnie, poniżej 900 par! Najgorzej wypadają ptaki podmokłych łąk, takie jak czajka (spadek z przeszło miliona par do poniżej 90 tys.) czy kulik wielki, którego Jan Sokołowski w połowie minionego wieku określił jako pospolitego, a dziś jego liczebność nie przekracza 250 par. Innymi przegranymi są rycyki (krytycznie zagrożone, tempo zaniku 9% rocznie), błotniaki łąkowe (podobne tempo zaniku), świergotki łąkowe (zanik w tempie 7% rocznie) czy moje ulubione słowiki szare (5,5%) i dubelty (mniej niż 450 tokujących samców, spadek o ponad połowę w ciągu dekady).

Za spadki odpowiadają niekorzystne zmiany w rolnictwie, które przestało się opierać na małych gospodarstwach rolnych. W większości małe są one tylko z nazwy, pola obrabiają sąsiedzi w myśl umowy: co zbierzesz, to twoje, ja biorę dopłaty. A że zysk jest najważniejszy, intensyfikuje się prace polowe i opryski, a pod uprawę wyzyskuje każdy centymetr kwadratowy. W takich warunkach nie ma miejsca na miedze, chwasty czy drzewa i krzewy wzdłuż pól (stan zadrzewień śródpolnych w Polsce należy do najsłabszych w UE). Wszystko to odbija się na jakości naszego pożywienia, ubożeniu pól (pozbawione osłony miedz, krzewów i drzew ulegają erozji wietrznej i wodnej) i wreszcie utracie różnorodności przyrodniczej, która była jednym z atutów przy wstępowaniu do UE. Ptaki są najłatwiejszym do uchwycenia elementem, ale mówi on nie tylko o ptakach, ów ubytek wynika ze skurczenia się bazy żerowej w postaci owadów i nasion roślin polnych.

W przypadku ptaków środowisk wodnych za spadki odpowiada utrata siedlisk. Pozostało nam mniej niż 10% obszarów podmokłych, przy czym w dobrym stanie mniej niż 1%. Tu winna jest melioracja, która w Polsce jedynie odwadnia, nie służy nawodnieniu czy choćby utrzymaniu wody. Na ten kłopot nakładają się zmiany klimatu. Kolejne suche lata i bezśnieżne zimy powodują

eprasa.pl 108212b8c8

wysychanie mokradeł. Najgorzej jest na styku z rolnictwem, na podmokłych łąkach i pastwiskach. Obecnie eliminuje się wypas bydła (stanowi ono osłonę dla wielu ptaków), łąki zaś poddane są presji użytkowej, by wycisnąć, ile się da. Pierwsze sianokosy są znacznie wcześniej niż jeszcze półtorej dekady temu. Z tego powodu wiele ptaków traci lęgi. Wiele podmokłych łąk zamienia się w uprawy kukurydzy, która przyśpiesza osuszanie terenu i jest nieprzyjazna dla ptaków.

Nie wszystkim powodzi się źle, nawet w obrębie wspomnianych grup są ptaki, którym się poprawia. Słowiki rdzawe zastępują w wielu miejscach swoich pobratymców, tolerując gorsze warunki wodne (wzrost o 6,5% rocznie). Podobnie ma się rzecz z gęgawą (4%) czy trzciniakiem (1,3%). W klasyfikacji drużynowej zwyciężają ptaki krajobrazu leśnego, choć trend wzrostowy powoli wyhamowuje. Myliłby się jednak ten, kto by pomyślał, że przynajmniej na tym odcinku wszystko gra. W lasach gospodarczych jest więcej ptaków niż w lasach naturalnych. To znaczy w lesie naturalnym jest więcej gatunków, ale żyją one w mniejszych zagęszczeniach. Lasy naturalne są jak niezwykle żyzna oaza na pustyni, tyle że pod ostrzałem snajpera. Więcej tu (naturalnych) zagrożeń niż w lesie sadzonym w rządek, za sprawą większej różnorodności siedlisk i kryjówek. Ponadto na wsiach, w przydomowych ogródkach i obejściach, ptaki leśne zastępują ptaki do niedawna utożsamiane z wiejskim podwórkiem. To pochodna zmian – skoro nie ma już gospodarstwa, to nie ma wielu źródeł pokarmu, np. kur, którym można podkraść ziarno, a w oborze zamienionej w mieszkanie nie zamieszka dymówka. Miejsca dawnych podwórek zajmują przydomowe ogrody, często z drzewami i krzewami. A to okazja dla mieszkańców lasu. Obserwuję ten proces w sąsiedztwie. Po dwóch najbliższych gniazdach bocianów zostały platformy na słupach. Łąki zmieniły się w działki rekreacyjne z drzewami.

Programy monitoringowe pokazują też, czy przyjęte działania ochronne mają sens i czy nie są marnotrawione. Dzięki działaniom ochronnym udało się zwiększyć i utrzymać na stabilnym poziomie populacje bocianów czarnych, bielików czy orlików krzykliwych. Niestety, nie na każdym froncie mamy sukcesy, spada liczebność błotniaków łąkowych (zmiany w rolnictwie), a populacja rybołowów ledwo zipie (przez celowe zabijanie).

To lubię!

Pochwaliłem koleżanki i kolegów po fachu i zamiłowaniu, którzy poświęcają swój czas, a nierzadko środki, na udział w badaniach. W wielu przypadkach nie byłoby to możliwe, gdyby nie życzliwość, a często i wsparcie właścicieli lub administratorów terenu. Niestety, wraz z upowszechnianiem się upodobania do obserwacji ptaków rośnie liczba konfliktów. I nie mam tu na myśli jedynie zachowań wynikających z braków w kulturze osobistej (nazywając tak delikatnie wjazd samochodem terenowym na łąkę). Ostatnio na jeden z zaprzyjaźnionych stawów dwójka amatorów fotografii przyrody przypadkiem przeniosła wirusa, który uśmiercił 300 tys. narybku. Olbrzymia strata dla właściciela, a także dla innych miłośników ptaków. W efekcie właściciel pozwolił mi wchodzić (po wcześniejszym uprzedzeniu), ale zabronił wprowadzania turystów. Szkoda, bo na jego stawach wielu ludziom pokazałem mnóstwo rzadkich i ciekawych ptaków. Z tego też powodu jestem wdzięczny wszystkim, którzy pozwalają mi wejść na swoje stawy, np. panu Tomaszowi, który gospodaruje na stawach, gdzie monitoruję krzykliwce.

A nierzadko przy okazji pracy, która sama w sobie jest bardzo fajna, mam inne fascynujące obserwacje. Przed rokiem na jednym z bezwodnych stawów pana Tomka zaobserwowałem spore stado migrujących ptaków siewkowych. Wśród nich był rzadki bekasik. Wówczas jedyny raz w życiu widziałem kulawego samca bataliona. Na monitoring ptaków pospolitych wypływam kajakiem przed świtem, często nad wodą unosi się mgła. To znakomita okazja do spotkania z bobrami. Pozostaje mi życzyć sobie i Państwu, byśmy nadal mogli się cieszyć różnorodnością ptaków na polach i mokradłach, w miastach i lasach. A wraz z nimi pełną różnorodnością życia, będącą owocem 4,5 mld lat ewolucji naszej planety.

Konrad Malec

Żurawie i niektóre drapieżne nie lecą liniowo, lecz kołują. Wówczas łatwo ptaki policzyć dwukrotnie.

KSIĄŻKA

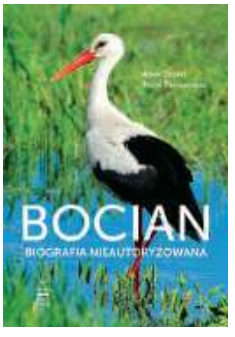

Adam Zbyryt, Piotr Tryjanowski
Bocian. Biografia nieautoryzowana
Paśny Buriat, Kielce 2022

„Czytelnikom PRZEGLĄDU powinno się spodobać, w książce jest wątek chłopsko-klasowy", powiedział jeden z autorów. Zapomniał dodać, że jest również wątek arystokratyczny, ale miał rację co do tego, że książka przypadnie do gustu naszym Czytelnikom. Obaj autorzy są świetnymi ornitologami, którzy umiejętnie przedstawiają nieznane prawdy o nieoficjalnym symbolu Polski i brawurowo obalają obiegowe opinie. Naukowe ustalenia na temat życia bocianów podane są w lekkim stylu, z subtelnym poczuciem humoru. Dzięki temu nie zauważa się, że to publikacja popularnonaukowa. Książkę z pożytkiem dla siebie przeczyta zawodowy ornitolog, a jeśli ktoś wcześniej nie miał do czynienia z pozycjami o przyrodzie, ta jest świetną kandydaturą na pierwszą.

Konrad Malec

eprasa.pl 108212b8c8

WYSOKOWRAŻLIWOŚĆ

– błogosławieństwo czy przekleństwo?

Silniej reagują na dźwięki, obrazy czy zapachy, są bardziej emocjonalni. Ale łatwiej im zrozumieć innych

Dominika Tworek

Pojęcie i koncepcję wysokowrażliwości rozwinęła amerykańska psycholog Elaine N. Aron w książce „Wysoko wrażliwi". Opisuje w niej ludzi, którzy „mają bogate życie wewnętrzne, czują się przytłoczeni emocjami, inaczej odbierają świat". Według badaczki wysokowrażliwość to cecha osobowości związana z genetyką, a osoby wysokowrażliwe stanowią od 15% do 20% populacji.

Przytoczone w książce badania wskazują, że wysokowrażliwi mają mniejszy dostęp do serotoniny – neuroprzekaźnika odpowiadającego za poczucie harmonii i spokoju w życiu, w związku z czym na co dzień muszą wykazywać więcej starań, aby osiągnąć spokój. Dodatkowo wyposażeni są genetycznie w większą wrażliwość na dźwięki, obrazy czy zapachy, są również bardziej wrażliwi emocjonalnie. Nie tylko bardziej czują emocje – swoje i innych – ale też silniej analizują różne wpływające na nie zależności. Ponieważ ich mózgi wyłapują więcej bodźców i mocniej na nie reagują, wysokowrażliwi bardzo łatwo ulegają przebodźcowaniu.

Słabość czy siła?

Jakub, zwariowany 28-latek z dredami, dowiedział się o wysokowrażliwości trzy lata temu, kiedy zadał sobie pytanie, kim jest. Niemalże od razu przypasował tę koncepcję do swojej osobowości. Dziś twierdzi, że diagnoza ta pomogła mu lepiej poznać siebie. Nie czuje się już inny czy z innej planety. Zrozumiał, że taka jest jego natura. Akceptacja zaś ułatwia mu dorosłe życie.

– Od dziecka zauważałem, że jestem bardziej wrażliwy, ale uznawałem tę cechę za swoją słabość. Nikt za bardzo nie rozumiał, że taką mam naturę. Zawsze czułem, że jestem inny. I choć usilnie chciałem się dopasować do jakiejś grupy, zawsze byłem gdzieś pośrodku. W szkole wylądowałem między „lepszymi" a „gorszymi". Potrafiłem się dostosować do otoczenia, ale nie mogłem znaleźć swojego miejsca. Teraz rozumiem, że każdy jest inny, niektórym jest łatwiej, innym trudniej, a każdego dnia możemy trochę inaczej patrzeć na świat – opowiada.

Wysokowrażliwość ma swoje mocne strony oraz słabości, co u Jakuba widać zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym: – Niedługo rozpoczynam pracę w IT, ale zastanawiałem się, jaki zawód powinienem wybrać, aby móc się utrzymać, a jednocześnie pomagać innym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 108212b8c8

ludziom. Bo uwielbiam pomagać. Strzałem w dziesiątkę okazała się obsługa klienta. Ludzie mnie lubią, bo jestem empatyczny i w pełni angażuję się w ich problemy. Myślę, że wysokowrażliwość pomaga mi lepiej zrozumieć ich potrzeby. Ale to ma drugą stronę, bardziej bolesną. Przez to, że mocno czuję ludzkie emocje, osoba, która jest zdenerwowana, nawet jeśli znajduje się po drugiej stronie słuchawki, bardzo szybko zużywa moje zasoby energii. Podobnie jest zresztą w życiu prywatnym. Aury znajomych bardzo na mnie wpływają. Samo przebywanie z kimś, kto jest smutny, sprawia, że gorzej się czuję.

Dla mężczyzny bardzo istotną sferą jest intymność: – Krępuje mnie dotyk. Mam swoją przestrzeń i nie chcę, żeby ktoś, kogo nie znam, ją przekraczał. Wpuszczam do niej jedynie bardzo bliskie mi osoby. Jednocześnie mam bardzo wyczulony zmysł dotyku. Uwielbiam masować ludzi, czuję pod palcami bolące ich miejsca. Dużo osób to chwali, a przy okazji jest to sposób na przełamanie bariery bliskości z drugim człowiekiem, który sprawia mi dużą przyjemność, pozwala odreagować codzienne stresy i trudności.

Jakub silnie reaguje także na dźwięki. Odgłos piłowania paznokci potrafi doprowadzić go do szału. Nie lubi gwarnych, krzykliwych miejsc. – Choć wszystko zależy od dnia. Czasem bez problemu jestem w stanie wejść na wielki koncert i nie zwracać na nic uwagi, tylko skupić się na sobie i dobrze się bawić, ale przeważnie czuję się przytłoczony nadmiarem hałasu. Zarazem uwielbiam muzykę i taniec. To pozwala mi dać upust emocjom, które odkładają się w moim ciele. Bo na co dzień ciężko radzę sobie ze stresem i lękiem – przyznaje. – Kiedyś, jak jeszcze nie wiedziałem, jak działa mój organizm, i odpowiednio o niego nie dbałem, skracałem swoje cierpienia paleniem marihuany. Dzisiaj widzę, że używki nie są dobrą drogą do osiągania spokoju. I przede wszystkim potrafię zauważyć, że doświadczam przebodźcowania. Wtedy nie jestem w stanie na niczym się skupić, wychodzą ze mnie emocje, które starałem się ukryć. Wiem, że potrzebuję czasu dla siebie. Cisza, spokój, dobre jedzenie, dźwięki natury czy zapach lawendy potrafią mnie uspokoić. Ale – niestety – czasem ten wewnętrzny niepokój jest tak duży, że obrywają moi bliscy, bo reaguję wybuchem złości, wylewając na nich całą swoją frustrację.

Ucieczka w świat wyobrażeń

Z kolei Dominika, 27-latka o filigranowym ciele, szarobłękitnych oczach i subtelnych rysach twarzy, woli, by nie nazywać jej wysokowrażliwą. Mówi o sobie, że jest po prostu wrażliwa. Nie uważa siebie za wrażliwszą od innych, argumentując, że wrażliwość może uwidaczniać się na różne sposoby i często trudno o obiektywną ocenę ludzkich odczuć. Niemniej jednak emocjonalność i empatia ukierunkowały ją w stronę zawodu psychologa.

– Od zawsze czułam się bardziej wrażliwa niż inni członkowie mojej rodziny. Na początku uzewnętrzniało się to przede wszystkim w stosunku do zwierząt. Opiekowałam się różnymi „znajdami", a gdy nie miałam możliwości zabrać ich do domu, zajmowałam się nimi na dworze. I strasznie przeżywałam, kiedy któreś umarło. Miesiącami płakałam za moimi chomikami. Było mi też bardzo smutno, kiedy dziadek łowił ryby, bo one umrą, a my je zjemy. Moja rodzina nie zawsze potrafiła właściwie reagować na moje przeżycia emocjonalne, czasem coś wydawało się im zabawne i śmiali się z tego, nie rozumiejąc powagi moich uczuć, a czasem czuli się nimi po prostu przytłoczeni i dawali mi to odczuć. Często słyszałam, że moje emocje są za silne, że mam się uspokoić. Zrozumiałam ich perspektywę, dopiero jak dorosłam i poznałam siebie. Jako dziecko czułam, że moje emocje nie są akceptowane – wspomina.

Nadwrażliwość Dominiki unaoczniała się także w odbiorze zmysłami. Opowiada: – Zauważyłam, że gwałtowne dźwięki, takie jak trzask czy wybuch, doprowadzają moje ciało do drgań, zanim jeszcze te sygnały dotrą do świadomości. Można to porównać do reakcji krowy, na którą siada mucha. Tak jak ciało zwierzęcia natychmiastowo się spina i wykonuje gest, by pozbyć się owada, tak samo mój organizm reaguje na ostre dźwięki. One całkowicie go przeszywają.

Odgłos piłowania paznokci potrafi doprowadzić do szału.

Jako dziecko bardzo intensywnie odczuwała również dotyk. Nie znosiła, gdy ktoś ograniczał jej ruchy. W domu szukała sposobów, by wyswobodzić się z rodzicielskiego objęcia, a podczas spacerów – puścić matczyną dłoń. Za to uwielbiała muzykę. Marzyła, by zostać śpiewaczką. Ale już w małej dziewczynce pojawił się opór przed publicznym występowaniem. Ustawicznie starała się przełamać lęk, całą uwagę skupiając na tym, żeby zrozumieć, dlaczego się boi, i znaleźć sposób, by nad tym zapanować. Emocje stały się głównym obiektem jej zainteresowań. Zarówno te dotkliwe, jak i przyjemne. Podczas zabaw z rówieśnikami Dominika zatrzymywała się, by poczuć, co się dzieje w jej ciele, zarazem rozsmakowując się w ekstatycznym stanie ducha.

– Byłam bardzo odważnym dzieckiem, z ogromną potrzebą doznań. Jednak wraz z dojrzewaniem uaktywniły się we mnie reakcje lękowe, związane głównie z kontaktami społecznymi. Na jakiś czas lęk przejął dowodzenie nad moim życiem, potrzeba doznawania zmalała. Wraz z pragnieniami, które odczuwałam, pojawiały się uczucia lękowe, które nie pozwalały przeżywać pełni

W centrach handlowych jest za dużo bodźców.

eprasa.pl 108212b8c8

przyjemności z doświadczeń. Zaczęłam wyłączać się ze świata, bo kolejne bodźce były coraz trudniejsze do zniesienia. Ale gdy moje ogólne samopoczucie jest dobre i stabilne, fascynacja życiem powraca – mówi.

Dominika, podobnie jak inne osoby wysokowrażliwe, źle się czuje w tłumie. Wolny czas spędza w niewielkim gronie przyjaciół lub oddając się swojej pasji – fotografii. – Przez długi czas przebywanie wśród dużej liczby ludzi było dla mnie męką. Ale znalazłam na to metodę – ograniczenie uwagi. Nauczyłam się wyłączać zmysły i przekierowywać uwagę na jakiś jeden aspekt. Często wybierałam świat myśli i wyobrażeń i uciekałam w nierealne. Do dzisiaj bardzo źle się czuję w centrach handlowych. Tam jest dla mnie za dużo bodźców. Najdłużej potrafię wytrzymać w takich miejscach godzinę, później zaczynam czuć się wyssana z energii i nie jestem w stanie skupić uwagi. Gdy jesteśmy razem na zakupach, mama mówi mi, żebym dalej przeglądała ubrania, a ja czuję, że nie dam rady, bo moje zmysły są przegrzane. I wtedy najchętniej słucham muzyki, która leci w sklepie, albo patrzę przez dłuższy czas na jedną część garderoby. Ale wewnętrznie czuję się jak zombie. Mam wyłączoną zdolność koncentrowania się na wszystkim, co mnie otacza. Gdy czuję się przebodźcowana, wracam do domu i medytuję. Staram się nie przyklejać do swoich stanów emocjonalnych, bo wiem, że każdy w końcu minie – podsumowuje.

Teoria do zbadania

– Trzeba się przyjrzeć pojęciu wysokowrażliwości, bo coraz więcej klientów w gabinecie terapeutycznym pyta o nie lub nim się posługuje. Zaczyna być ono wykorzystywane do autodiagnozy i szerzej funkcjonować w tzw. poppsychologii, gdzie modne i popularne treści niejako stykają się z psychologią akademicką, ale są łatwiej przyswajalne i nie zawsze zweryfikowane – mówi psycholożka i psychoterapeutka Magdalena Oleśniewicz, która przygląda się również zagrożeniom, jakie może nieść nowa teoria. – Niebezpieczny wydaje się jakiś rodzaj wartościowania: my, wysokowrażliwi, jesteśmy inni, lepsi, ale też upraszczania świata, widzenia go w sposób czarno-biały. Obawiam się poza tym, że taka diagnoza może sprzyjać zewnętrznemu umiejscowieniu kontroli, myśleniu typu: taki jestem, tak mam, to świat musi dostosować się do mnie, jestem w tym bezradny. Te dwa elementy – czyli wartościowanie oraz odbieranie sprawczości autodiagnozującego się – budzą mój największy sceptycyzm.

Terapeutka zwraca uwagę na metodologiczne wątpliwości wobec konceptu wysokowrażliwości, który według niej nie jest dość dobrze opracowany teoretycznie i któremu brakuje solidnego ugruntowania naukowego. Jej zdaniem nowa teoria wprowadza do świata nauki pewien chaos informacyjny.

Niebezpieczny jest jakiś rodzaj wartościowania: my, wysokowrażliwi, jesteśmy inni, lepsi.

– W psychologii istnieją dobrze zbadane pojęcia, niejako mogące się wpisać w pojęcie wysokowrażliwości, takie jak reaktywność emocjonalna, która odnosi się do temperamentu. Jest to pewna biologiczna predyspozycja do reagowania na bodźce – tłumaczy. – Temperament można określić jako indywidualną naturę emocjonalną, uwzględniającą poziom energii, dominujący nastrój oraz wrażliwość na stymulację, czyli na bodźce. Osoby niskoreaktywne to osoby poszukujące stymulacji, aby zapewnić sobie optymalny poziom pobudzenia. Osoby wysokoreaktywne w tym samym celu, czyli zapewnienia sobie optymalnego poziomu pobudzenia, będą raczej unikały stymulacji i wolały spokojniejsze środowiska. Temperament z założenia mówi jednak nie o treści zachowania (co robię), ale o sposobie zachowania (jak robię). Może nas zatem predysponować do pewnych zachowań, ale jest to tylko jeden z kilku elementów w konstrukcji człowieka. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu, np. biologiczne komponenty, ale pamiętajmy, że na wiele innych rzeczy możemy wpływać.

Dominika Tworek

eprasa.pl 108212b8c8

Duda czyni cuda

Sporo pisaliśmy o „usychaniu" MSZ, o tym, że to ministerstwo, jeszcze nie tak dawno jedno z najważniejszych w systemie władzy, zostało zepchnięte na margines, a jego miejsce zajmują inne ośrodki. Że politykę europejską prowadzi Kancelaria Prezesa Rady Ministrów i sam Mateusz Morawiecki, a polityka obronna to już królestwo szefa MON Mariusza Błaszczaka. I że coraz bardziej w sprawy zagraniczne angażuje się prezydent Andrzej Duda.

O tym, że Duda znalazł wreszcie swoje miejsce w systemie władzy, świadczą nie tylko jego wizyty zagraniczne. Dowodzą tego również ruchy kadrowe w samym MSZ. Wiceminister Marcin Przydacz przyszedł do MSZ wprost z Kancelarii Prezydenta, za człowieka Dudy uważany jest też Arkady Rzegocki, główny kadrowy MSZ; Krzysztof Szczerski, ambasador przy ONZ, to były szef Kancelarii Prezydenta, a Marek Magierowski, ambasador w USA, to były rzecznik prezydenta i dyrektor w jego kancelarii.

Jak więc widać, Duda odstąpił Morawieckiemu kontakty z Unią Europejską, ale spraw strategicznych, kontaktów z USA, pieczołowicie pilnuje.

Poza tym Kancelaria Prezydenta jest dziś najlepszą trampoliną, jeśli ktoś marzyłby o dobrej placówce. Widać to zresztą po tegorocznych nominacjach ambasadorskich. Oto np. ambasadorem w Kanadzie został Witold Dzielski. Amerykanista, językoznawca, do roku 2007 uczył w liceum plastycznym i wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim. Potem trafił do ambasady RP w Waszyngtonie – i to koniec jego dyplomatycznych doświadczeń. Po krótkim pobycie w MSZ od 2015 r. pracował w Kancelarii Prezydenta jako dyrektor Biura Spraw Zagranicznych. I gdyby nie to stanowisko, trudno byłoby znaleźć powód, dla którego miałby jechać do Kanady. Bo na pewno nie byłyby nim umiejętności, które wychwalał wiceminister Szymon Szynkowski vel Sęk – że Dzielski jest „wieloletnim kapitanem amatorskiej drużyny koszykarskiej, posiada czarny pas aikido. Jest autorem tekstów wykraczających poza sferę aktywności służbowej. Jedna z jego powieści fantastycznych została opublikowana w 2014 r.".

Z kolei do Budapesztu, na stanowisko ambasadora, wysłany został Sebastian Kęciek, absolwent UJ, który pracę magisterską (na temat konstytucji Węgier) pisał pod okiem Krzysztofa Szczerskiego. I który też, poza epizodami pracy w resorcie edukacji i w KPRM, nie ma doświadczenia dyplomatycznego.

Dodajmy, że na tym samym posiedzeniu, na którym sejmowa komisja zatwierdzała kandydatury Dzielskiego i Kęćka, stawał Adam Kwiatkowski, ambasador w Watykanie. Jego CV także zawiera mocny epizod u boku Andrzeja Dudy – był sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta oraz szefem jego gabinetu. Ale polityczne korzenie Kwiatkowskiego są głębsze – był radnym PiS w Warszawie, potem posłem PiS. Współpracował z Jarosławem Kaczyńskim, gdy ten był premierem, i z Lechem Kaczyńskim, przygotowywał w Kancelarii Prezydenta wizyty zagraniczne. Na tę nominację ambasadorską trzeba więc spojrzeć trochę inaczej.

Taki mamy dziś w MSZ, ministerstwie lekko podupadłym, pluralizm.

Attaché

Jej Wysokość prababcia. Cztery pokolenia Windsorów świętują 70 lat panowania królowej Elżbiety II.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 108212b8c8

JOLKA

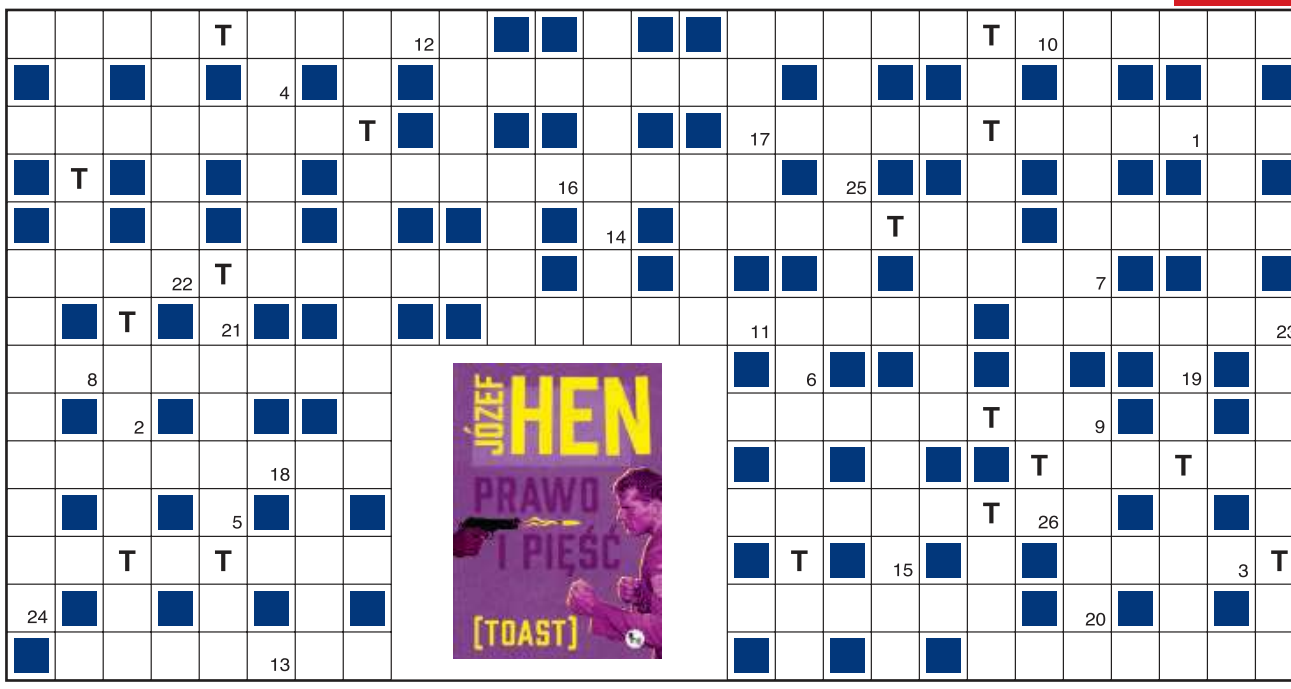

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- alfabet i elementarne wiadomości
- północne odgałęzienie Morza Śródziemnego
- „…i hrabini" Staśka Wielanka
- jego bratanicą Klara Raptusiewiczówna
- …PRZEGLĄDU – pożyteczne zajęcie
- lokomotywa na prąd
- swoje już przepracowała
- ciepła tkanina na koszulę w kratę
- Gąsienica, Bachleda lub Gut
- składana na tarlisku
- państwo z Isfahanem i Szirazem
- komiksowy …Żbik
- miasto na północ od Przylądka Dobrej Nadziei
- halicka nadana w 1580 r. Żółkiewskiemu
- cukier lub wyrób ze szkła ołowiowego
- chodzi po kolędzie
- czwarta część godziny
- sprytnie postępuje w trudnych sytuacjach
- …kłosowa – bylina o kolbowatych kwiatostanach
- największe jezioro Europy
- urządzenie do nanoszenia klejów
- zeszyt na zapiski
- szata liturgiczna, np. złota, zielona
- bohater „Do przerwy 0:1"
- kurtka lub gruchające gołąbki
- napój z browaru
- winobluszcz, wisteria lub wanilia
- gdy cena umiarkowana lub tekst zrozumiały
- metoda leczenia w onkologii
- „Ostatnia…", film o Beksińskich
- ośmiolatek dla ośmiolatka
- o ostrym, szarpiącym bólu
- młodzieńcza lub poranka
- Kargul dla Pawlaka (i odwrotnie)
- występki, wybryki
- uproszczone, wartościujące przeświadczenie
- o motocyklu sportowym
- w autobusie w godzinach szczytu
- przeciwieństwo Elizjum
- przypadek, zrządzenie losu
- klekotka, pleciuga
- pokonani przez Zeusa i bogów olimpijskich
- zasilenie konta bankowego
- konsekwentne dążenie do celu
- wystaje z nieoheblowanej deski
- gwałtowne przyśpieszenie
- ta to ma szyyyję

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1068". Do rozlosowania książki „Prawo i pięść" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 czerwca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1065" z nr. 21: ***Prawdę czyta się z twarzy.***
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Anna Czernik z Krakowa, Alina Jamroga ze Szczecina, Zofia Jamroga ze Szczecina.

eprasa.pl 108212b8c8

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Nie dziwmy się, że połowa Polaków uważa, że katastrofa w Smoleńsku była zamachem. Propaganda działa. I tak samo zadziała w przypadku kampanii wiążącej lidera polskiej opozycji z Putinem, oskarżającej Niemców i Tuska o kryzys energetyczny, inflację, konflikt z Białorusią i wojnę w Ukrainie. Oby tylko nie skończyło się kolejną tragedią. Mamy już ostatni moment, by ludzie wolnych mediów w Polsce zjednoczyli się w walce z propagandą i jej funkcjonariuszami. Brak przeciwdziałania i przyzwolenie na opowiadanie groźnych kłamstw w przestrzeni publicznej będą nas wszystkich drogo kosztować.

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Norwegia nie będzie sprzedawała ropy czy gazu taniej, niż sprzedają Europie Stany Zjednoczone czy Arabia Saudyjska. To biznes. Patrząc na norweskie dochody, pewnym wytłumaczeniem jest ich przeznaczenie, bo to fundusz inwestycyjny, ciułany przez Norwegów na potrzeby przyszłych pokoleń, gdy skończą się zasoby naturalne i przyjdzie im żyć z oszczędności. Trzeba żałować, że Morawiecki uszczypnął Norwegów za to, co powinno być jego strategicznym celem: zapewnić zamożność Polsce, gdy wykopana już zostanie ostatnia tona węgla.

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI,
PISARZ

Ocean romantycznie wygląda na zdjęciach. Na żywo oznacza życie na latającym na wszystkie strony kawałku plastiku. Nie byłem gotów na ten niemiłosierny ścisk. 12 osób na metrażu kawalerki. Ani na tropikalny upał oznaczający nieustającą obleśną lepkość, bo trzeba dozować wodę. Jednostkę wody można zużyć na prysznic, pranie albo kawę. Albo czyste gacie, albo kawa. Ja wybierałem kawę. I wszystko przed kamerami. Przy moim charakterze nie wiem, jak to przetrwałem bez jednej awantury.

TOMASZ CYLKA,
DZIENNIKARZ

Hala Izerska nazywana jest najzimniejszym miejscem w Polsce. Wszystko dlatego, że otaczają ją góry i wśród nich jest tylko jeden wyłom, którym uchodzi Izera. Ciepło z niecki ulatuje więc w przestrzeń, a w jego miejsce schodzi z gór zimne powietrze. W pobliżu chatki średnia temperatura w ciągu dnia nie przekracza bowiem 15 st. C. Nie ma tutaj miesiąca bez temperatur ujemnych. Rekord z zimy to minus 37 st. C. Dlatego na Halę Izerską mówi się Izerbejdżan. W weekendy po słynne naleśniki z serem i jagodami trzeba stać nawet ponad godzinę.

Gdybym była złotą rybką, moglibyśmy negocjować… Zimorodek po udanym połowie.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

JERZY URBAN O UKRAIŃCACH

Dziś Ukraińcy wymagają bezkrytycyzmu i niczym niezmąconych hołdów, co zapewniają im i PiS, i opozycja w Polsce.

PAWEŁ LISICKI O AMBASADOR GEORGETTE MOSBACHER

Wszędzie tam, gdzie uważała, że interes jej kraju tego wymaga, nie wahała się postępować stanowczo, ba – brutalnie.

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA O WOŁYNIU

Nigdy nie było dobrego czasu na rozmowę o czystce etnicznej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Ale zawsze jest dobry czas, by mówić, jak zła jest odpowiedzialność zbiorowa.

PROF. MAREK SAFJAN O ROZCZAROWANIACH

Najbardziej żałuję kooperacji z takimi ludźmi jak Kamil Zaradkiewicz, obecnie sędzia Sądu Najwyższego, czy Michał Warciński, dzisiaj sędzia Trybunału Konstytucyjnego.

GRZEGORZ KASDEPKE O KSIĄŻKACH DLA DZIECI

Rolą autora jest… uzależnienie dzieci od czytania. Świat wypełniony samymi czytelnikami byłby światem bez wojen.

KATARZYNA GRONIEC O ŻARTACH

Jestem starą boomerką, którą śmieszą seksistowskie żarty. „Niemniej w pracy bardzo mnie chwalą” – podpis pod wymownym rysunkiem Andrzeja Mleczki.

JANUSZ GAJOS O DEBIUCIE REŻYSERSKIM

Nowe i miłe doświadczenie. Zrozumiałem, co czuje człowiek, który chce trzymać w karbach całe dzieło.

SZCZEPAN TWARDOCH O ŚLĄSKIEJ ZUPIE WIGILIJNEJ

Konopiotka z siemienia konopnego i ze smażoną cebulą. Wegańska, cały tłuszcz jest tłuszczem wytłoczonym z siemienia. Je się ją z kaszą gryczaną.

eprasa.pl 108212b8c8

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Na złość Putinowi ogrzeją sobie uszy?

Szefowa niemieckiego Stowarzyszenia Niezależnych Biur Podróży (VUSR) zaproponowała, by w celu ochrony narodowych rezerw gazu rząd subwencjonował jesienne i zimowe wakacje emerytów w ciepłych krajach. Marija Linnhoff dowodzi, że władze mogłyby zaoferować seniorom bony o wartości 500 euro na dłuższe wyjazdy w miejsca takie jak Turcja, Majorka czy Tunezja, czego efektem będzie spadek zapotrzebowania na ogrzewanie. – Wszystkie sektory bez wyjątku muszą się włączyć w oszczędzanie energii w związku z obecnym ciężkim kryzysem – skomentowała Linnhoff. Jeśli chodzi o front urlopowy, chętnych do walki raczej nie zabraknie.

Być jak Lassie

Japończyk przedstawiający się jako Toko-san spełnił życiowe marzenie o zostaniu… psem. Kluczowe w realizacji jego planów było zamówienie hiperrealistycznego kostiumu owczarka szkockiego długowłosego, czyli collie, co kosztowało go równowartość niemal 70 tys. zł (12,5 tys. funtów). Sądząc z nagrań, które umieszcza na YouTubie, nasz bohater spełnia się w roli czworonoga. Ciekawe, co go zainspirowało – czyżby refleksja Tuwima, że najwierniejszy jest ten pies, na którego z biegiem czasu człowiek schodzi?

Z nieba chleb i coś do chleba

Sieć handlowa Walmart rozszerza usługę dostaw dronami. Do tej pory była ona dostępna tylko w jednym amerykańskim miasteczku, teraz powietrzną wysyłkę zamówionych artykułów będą organizować łącznie 34 placówki z Arizony, Arkansas, Florydy, Teksasu, Utah i Wirginii. Klienci mieszkający w pobliżu tych sklepów za jedyne 4 dol. będą otrzymywać zakupy o wadze nieprzekraczającej 4,5 kg prosto na trawnik przed swoim domem. Coś dla tych, którym nie chce się z samego rana latać po pieczywo!

Lepiej często niż częściej

Spotkania towarzyskie służą zdrowiu, ale pod warunkiem, że nie są zbyt częste – orzekli badacze z Uniwersytetu w Tilburgu. Zespół z niderlandzkiej uczelni przeanalizował odpowiedzi setek tysięcy respondentów z kilkudziesięciu krajów i ustalił, że regularne spędzanie czasu z przyjaciółmi, rodziną czy współpracownikami pozytywnie koreluje z samooceną zdrowia fizycznego jedynie do poziomu „kilku razy w miesiącu". Częstsze interakcje społeczne, zgodnie z interpretacją naukowców, nie tylko pogarszają nasz stan, ale także zwiększają ryzyko wcześniejszej śmierci. Obstawiamy, że szczególnie niebezpieczne są posiadówy ze szwagrem lub kolegami z wojska.

Pożegnanie z dryndaniem

Jak sygnalizowaliśmy zeszłotygodniowym zdjęciem, to koniec pewnej epoki: w Nowym Jorku zdemontowano ostatnią budkę telefoniczną. Z okolic Times Square zabrano ją do lokalnego muzeum, gdzie posłuży jako eksponat na wystawie prezentującej metropolię w czasach przed upowszechnieniem się telefonii komórkowej. Na podobne obiekty nadal można się natknąć w Londynie, jednak większość z nich stanowi jedynie atrakcje turystyczne, ponieważ nie da się z nich dzwonić (chyba że z własnego smartfona). Osiecka ujęłaby to krótko: dziś prawdziwych budek już nie ma…

eprasa.pl 108212b8c8

Każdy sposób dostarczania posiłku jest dobry. Indonezyjski obserwator ptaków uchwycił moment karmienia piskląt w iście cyrkowym stylu.

Zbrodnia i kara (dla awatara?)

Emiracki sekretarz stanu ds. sztucznej inteligencji zaapelował, by przestępstwa popełniane w wirtualnych rzeczywistościach nowej generacji były traktowane podobnie jak prawdziwe. Umar al-'Ulama podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos przekonywał, że tzw. metawersa, do których ma stopniowo przenosić się praca i rozrywka, są tak realistyczne, że gdy nasz awatar zostanie zamordowany przez innego, grozi nam ciężka trauma. Obstawiamy, że na nowe cyfrowe wyzwania zaraz znajdzie się odpowiedni werset w Koranie.

LEKTURA, OD KTÓREJ
NIE MOŻNA SIĘ ODERWAĆ
TYGODNIK ANGORA
ZMYSŁOWA ROZKOSZ CZYTANIA

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIS NA KSIĘŻYC, CARTERS NEWS/FORUM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 108212b8c8

Plakatowa zapowiedź

Patrycja Longawa – plakaty filmowe

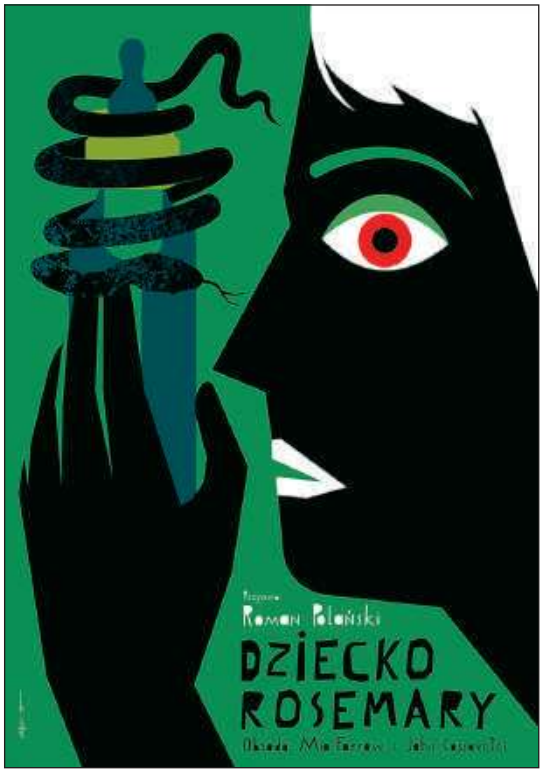

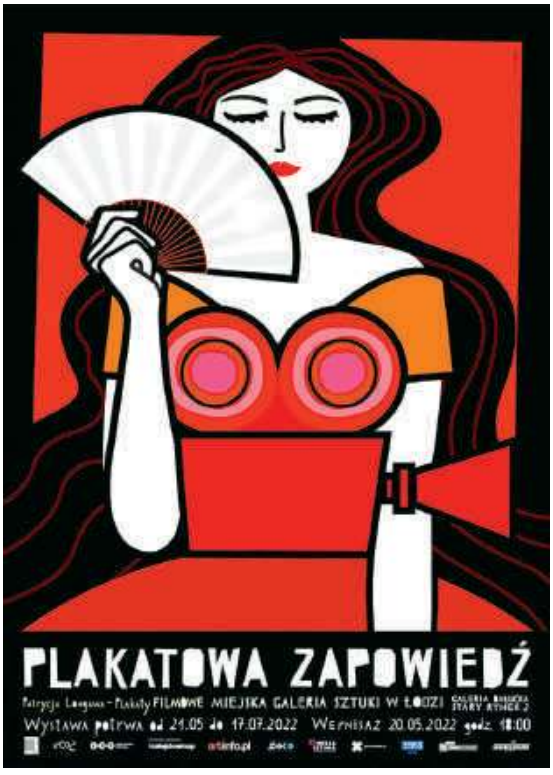

Projektantka graficzna Patrycja Longawa zajmuje się zarówno plakatem, jak i profesjonalną reklamą, grafiką projektową, ilustracją czy rysunkiem satyrycznym. „Plakat wymaga czujnego oka, nie tylko twórcy, ale i odbiorcy, co sprawia, że jest to bardzo wymagająca sztuka. Plakat należy tak zaprojektować, aby zaskoczył widza i zmusił go do chwilowego zatrzymania się i »wczytania się« w zawartą w nim metaforę. Powinien także operować pewnego rodzaju dowcipem, symbolem bądź lakonicznym skrótem myślowym”, podkreśla autorka w katalogu wystawy.

Galeria Bałucka
Łódź, Stary Rynek 2
do 17 lipca

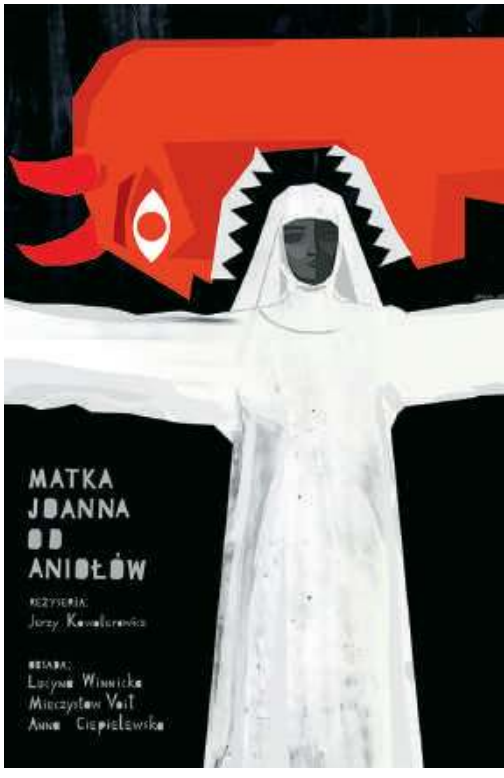

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 108212b8c8

WOJNA W UKRAINIE

16 milionów osób już teraz potrzebuje wsparcia.
PAH jest na miejscu i pomaga.

Wesprzyj nasze działania w Ukrainie:
www.pah.org.pl/wplac/

pah
Polska Akcja Humanitarna

fot. Agata Grzybowska / RATS Agency dla Gazety Wyborczej

JULIETTE BINOCHE

HÉLÈNE LAMBERT LÉA CARNE EVELYNE PORÉE
PATRICIA PRIEUR EMILY MADELEINE DIDIER PUPIN

MIĘDZY DWOMA ŚWIATAMI

Oparta na głośnym reportażu
opowieść o społecznych nierównościach

W KINACH OD 10 CZERWCA